

Nr 4 (95)

CZASOPISMO LITERACKIE

2023



ISSN 1732-1069



PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CIASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 4 (95) 2023

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska

Druk: Drukarnia Sonar Sp. z o.o.

ul. Kostrzyńska 89

66-400 Gorzów Wielkopolski

W numerze i na okładce prezentujemy zdjęcia autorstwa Tomasza Szulzyckiego, wykonane w ramach projektu „Postcards from Gorzów” Natalii Ślizowskiej

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

SWOJSKOŚĆ

Jest oswojonym kotem. Rosołem warzonym według receptury ulubionej babci. Widokiem z balkonu. Porannym zapachem kawy. Wieczornym spacerem po parku. Jest codziennym *dzień dobry* rzucanym do mijanych znajomych. Oczekiwaniem na tramwaj. Powrotem do domu. Telefonem do matki. Tęsknotą za synem. Ma w sobie ciepło wspomnień. Jest kolekcją zbieranych doświadczeń.

Tworzy bezpieczną przestrzeń, w której można żyć, tworzyć, planować. Sadzić się w swoim życiu wygodnie.

– Czy aby nie nazbyt wygodnie, by chcieć odejść od rutyny w poszukiwaniu NOWEGO?

Ale jest też wścibskim uchem sąsiadki. Wulgarnym napisem na bloku. Smrodem szczyzny w bramie. Plotką powtarzaną kolejnymi ustami. Nudą.

Jest paraliżującym strachem przed oceną. Kneblem poprawności. *Nicsięniedzaniem*.

Ta pozornie bezpieczna przestrzeń staje się ciasna jak spacerniak.

– Czy wtedy jest już wystarczająco niewygodnie, by chcieć NOWE odnaleźć?

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

MIESZKAMY SOBIE BYLE GDZIE

Janina Jurgowiak

Mieszkamy sobie byle gdzie,
nie w centrum – jak się nam zdawało.
Sąsiadów nie widać, nie słysząc...
Może ich nigdy nie było?
Może się wyprowadzili co do jednego
na drugi kraniec?
A może popełnili zbiorowe samobójstwo,
do jakiego i my zmierzamy?
Udajemy, że nie, alez skąd!
I systematycznie, po cichu, pomalutku
skradamy się ku nicości.

24.09.2023

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopiśmie i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.



TEATR MOSTÓW, CZYLI #JESTEMSTĄD

Konrad Pruszyński

*Lesie, ojciec mój, czarny ojciec,
ty mnie wychowałeś, ty mnie porzuciłeś.*

Bronisława Wajs – Papusza

Rozważając możliwość napisania tych kilku zdań, ważyłem wszelkie za i przeciw. Staram się być w życiu wierny zasadzie „nie słowa, a czyny niech o was świadczą”. Wielką trudność sprawia mi uniwersalne potraktowanie tematu, który, choć stosunkowo młody, stanowi ważny element mojego życia. Górnolotne te słowa. Choćby z tego powodu obawiałem się tegoż procesu. Jak tu bowiem pisać o czymś w ujęciu osobistym, tak istotnym, o czymś, do czego zdecydowana część odbiorców tego tekstu nie miała do tej pory dostępu? Przeważył jednak czysty pragmatyzm. Każde słowo, zadrukowana strona, koleżeński szept, a nawet cyfrowy lajk, follow czy inne udostępnienia są w tej chwili pomocne. Dlaczego by zatem nie napisać o „swojskości” Teatru Mostów?

Na początku, szczególnie tym, dla których wspomniana nazwa jest całkowitą pierwszą, przydałby się krótki wstępniak. Jako grupa działamy od 2020 roku. Nasze początki ściśle wiążą się (i komplikują zarazem) z czasem pandemii.

Foto: Paweł Kamrad



Jestem czysty w ZSS w Witnicy; Kamila Pietrzak-Polakiewicz, Konrad Pruszyński

Powszechny lockdown, brak w pełni niezależnej i swobodnej przestrzeni twórczej (próby muszą się gdzieś jednak odbywać), a w końcu zerowe budżety, 10-tyśięczna opłata za licencję dramatu, z którego rzecz jasna zrezygnowaliśmy. To była (i częściowo nadal jest) nasza rzeczywistość. Powstał autorski tekst. „Jestem czysty”, czyli kameralna sztuka na dwójkę bohaterów. Spektakl stworzyła czwórka ludzi: dwójka aktorów, reżyserka i twórca projekcji video. Premiera zakończona sukcesem. Krzesła na widowni kilkukrotnie dostawiane. Początek drogi. To był listopad 2021 roku.

Dalej zdarzyło się charytatywne czytanie performatywne w Teatrze Osterwy, które zrealizowaliśmy z etatowymi aktorkami tej sceny. W marcu tego roku druga autorska premiera – „Romantyczki”, udział w festiwalach, a w końcu we wrześniu trzecie z naszych teatralnych dzieci – „WERTER.pl”. Po drodze przydarzyły się jeszcze stypendia artystyczne i odznaczenia państwowe, a w marcu udało nam się sformalizować. Od tego czasu jesteśmy zarejestrowani i działamy jako stowarzyszenie.

Swojskość. Lokalność. Gorzowskość. To przymiotniki, które w Teatrze Mostów odmieniać moglibyśmy przez wszystkie przypadki. Każda osoba tworząca dotychczasowe spektakle czy wydarzenia sygnowane szyldem teatru #SzukającegoTego-Cołączy, związana była lub pochodziła z miasta żużla, kaset magnetofonowych, butek z pieczarkami i dziurawych dróg. Przygotowując kolejne realizacje, zupełnie naturalnym było dla mnie czerpanie z lokalnego zasobu przede wszystkim



Foto: Paweł Kamrad

Sesja promocyjna spektaklu *Romantyczki*; Klaudia Siewierska, Karolina Woźniak-Nocoń, Konrad Pruszyński, Natalia Skubiszyńska, Agata Iwaszko, Natalia Dębicka

młodych twórców. Mamy to szczęście, że w naszej małej ojczyźnie funkcjonują różnorodne instytucje zajmujące się nie tylko sztuką, ale również edukacją. Lokalne środowisko teatralne w niemal całej rozciągłości liczyło kiedyś Studia Teatralnego. Tam pierwsze kroki stawiałem zarówno ja, jak i wielu innych artystów związanych z Teatrem Mostów. Właśnie to miejsce, zespolone ściśle z gorzowskim Osterwą, nauczyło mnie, że inwestowanie w młodych, „swojskich” twórców ma sens i przynosi wymierne efekty. Nie ma nic lepszego, co jako animatorzy kultury możemy robić, jak właśnie wspieranie regionalnej twórczości, kreowanie gorzowskich gwiazd i osobowości.

Istnieje jednak druga strona tego zacnego medalu. Kultura i jej twórcy, zarówno w ujęciu miejskim, jak i ogólnopolskim, stoją przed licznymi wyzwaniami. Czasy mamy jakie mamy. Ciągła walka o fundusze, wieczne dylematy: sztuka czy biurokracja, sztuka czy komercja, zawód czy hobby? „Sorry, taki mamy klimat”. To zagadnienia szczególnie znane w niezależnym obiegu, w którym niewątpliwie funkcjonuje offowy Teatr Mostów. Promocja. To jedno z kluczowych zagadnień. Zabrzmiałoby to może jak zwykły frazes, ale teatr bez widza naprawdę nie istnieje. Żadna, nawet najlepsza sztuka nie ma racji bytu bez kogoś po drugiej stronie. W moim odczuciu teatr to najpiękniejsza ze sztuk, bo oparta na realnej obecności, na wspólnym łapaniu chwili obecnej, na nieustannym (nie tylko deklarowanym) przepływie emocji, przemyśleń i wrażeń. Teatr, jaki chcę stworzyć, to miejsce przyjazne.



Foto: Paweł Kamrad

Miejsce, w którym widzowie i twórcy będą się znali, będą ze sobą rozmawiali. Teatr relacji. To zresztą naturalne przedłużenie idei ukrytej w naszych nazewniczych „Mostach”. Most to przecież łącznik, forma zapewnienia wzajemnego dostępu i wglądu w coś, co jest po drugiej stronie, co jest inne, obce albo odległe. Tylko żaden most, ani tym bardziej żaden teatr nie zostanie zbudowany z pięknych słów czy deklaracji. Do tego potrzebne są fundusze, infrastruktura, promocja, a przede wszystkim ludzie i ich obecność.

Mosty to w końcu coś, co w sposób ściśle geograficzny lokuje nas nad rzeką, nad naszą ukochaną Wartą. Kiedy o niej myślę, pojawiają się w mojej głowie wciąż aktualne pytania o nasz stosunek do rzeczy, miejsc i wartości ponadmysłowych. Nie mam bynajmniej zamiaru zaprzeczać cudownym i życiodajnym korzyściom zapewnianym nam przez elementy świata natury – lasy, rzeki, łąki czy rozlewiska, których w naszym regionie przecież nie brakuje. Pragnę skupić jednak swoją uwagę na emocjach łączących nas ze światem fauny i flory, na odwiecznej mądrości zaklętej w przestrzeni natury. I to właśnie one motywują mnie do zastanowienia się również nad tym, co ważne w naszej swojskości, lokalności i gorzowskości. Ważni są ludzie i ważna jest kultura. Zwłaszcza w miejscu, które wciąż nieustająco łaknie własnej historii, poszukuje osobistej tożsamości i kreuje naszą małoojczyźnianą świadomość. Tak wielu młodych ludzi stąd wyjechało, tak wiele pięknych inicjatyw upadło pod wpływem codziennych wyzwań, braku wsparcia i osamotnienia. Inwestujmy w swojskość. Wspierajmy kulturę. Inaczej nasza przyszłość zostanie doszczętnie zubożona.

Teatr Mostów nigdy się nie ograniczał. Charakter naszej działalności (czytaj: brak własnej sceny) otwiera nas na możliwości związane z podróżowaniem, z docieraniem ze sztuką do różnych społeczności, również do mniejszych miejscowości bez stałego dostępu do teatru czy jakiegokolwiek sztuki. Jednocześnie Mosty od zawsze silnie zakorzenione były i są w gorzowskości. #JestemStąd – to hasło w pełni oddające nasz stosunek do lokalnych historii. Jaka będzie przyszłość? W przypadku tego typu inicjatyw jest to niemożliwe do przewidzenia. Staram się jednak imaginować ją sobie w zdecydowanie jaskrawych barwach. Wierzę, że Teatr Mostów przetrwa, że będzie działał tam, gdzie będzie przyjmowany, oczekiwany i potrzebny. Co Ty na to, „lesie, ojciec mój”?

KONRAD PRUSZYŃSKI: pochodzący z Gorzowa aktor, reżyser, autor sztuk teatralnych, krytyk teatralny, poeta. Założyciel Teatru Mostów. Autor sztuk: *Jestem czysty* (napisanej z okazji 30-lecia pracy twórczej Bogusławy Jędrzejczyk), *Romantyczki* i *Werter.pl*.

WIERSZE

Julia Kruszakin

język domem bycia

żywot
 trwanie jakieś
 przestrzeń bycia
 egzystencja bez istnienia
 byt i niebyt – jedno tworzą
 jak określić czas sumienia?
 brak mi słowa:
 to nie mgnienie wiatru – nie
 jak określić?
 kilka istnień w poprzek taktu
 krzywą rozwidlenia bytów
 różnorodność istnień
 obecności zgrzytów

 wielokrotnie liter multum
 spijał nektar ludzkich myśli
 by dominium-absolutum
 zmienić w ery fraz cyklicznych

 bez-szept struktur artystycznych
 (wypiętrzonych na kształt prozy)
 zamknął w akcie onirycznym
 bytów słowne krzykiem zgrozy

rymotwórcza to destrukcja
 –niewyobrażalność formy–
 paralelna barw konstrukcja
 rozpościera sztuk platformy

limeryczne płachty tkanin
 rozciągnięty wzdłuż Edenu
 rozmazany akord pianin:
 wiodąc w górę – na skroś verum

chimeryczne liter brzmienia
 wierszowane ogniem kwietnym
 zcieleśniły kształt rdzewienia
 kładąc akcent – ton szlachetny

domem bycia – język
 słów (nad)wymówionych
 rozpostartych fonetycznie
 skrętnie postrzępionych
 między wersy-strofy
 pozbijanych w jedno
 rozwleczonych dynamicznie
 wpadających w sedno
 b y t u

JULIA KRUSZAKIN: gorzowianka. Absolwentka III LO studiująca komparaty-
 stykę na UJ w Krakowie. Współtwórczyni strony www.zabytkigorzowa.pl. Jej
 tekst zadebiutował na łamach czasopisma „Pro Libris”.

MŁYNY MEŁŁY, MEŁŁY

Ryszard Jasiński

Świat zaczyna się przy lipie rosnącej u węgła chałupki z sosnowych bierwion i drózką pośród zbóż prowadzi do lasu. Na miedzy siedzi babcia, pasie krasulę. Na drzewie połysk gruszek, uczują osy. Świerszcze brzęczą w rżysku. Z chaosu półkoptków dziadek wyjeżdża wozem ciągnionym przez konia. Wóz drabiniasty, koń gniady, bat zbędny, lejce luźno w dłoni. Leżą na płachcie z koniczyną, patrzą na turkusowy prześwit w chmurach.

Z końskiej grzywy wiatr strząsa słoneczny proch.

Za garb pagórka chowa się słoneczna czerwień. Niewidoczna w dzień błyska pierwsza gwiazda. Liście fikają na wietrze. Cichutki zmierzch płoszy lisa. Turkot furmanki przeraża wróbla. Brzozy nurkują w dojrzewającym owsie. Wóz wtacza się w jar. Dziadek:

– Prr, ho, ho, prr.

Gniadosz strzepuje pył z grzywy. Furmanka zatrzymuje się. Dziadek i ja podziwiamy świetliki bezszelestnie sunące od grabu do grabu.

Bez troski czerwiec wchodzi w owies. Nastroszona olcha strząsa rosę z ubłoconych liści. Szast, szast, szast – dziadek wojowniczo kosą przelicza zwyciężone topiany, poharatane liście zaścielają brzeg potoku.

Nad tąką poranne słońce sprzyja motylom pawikom.

Wiatr beznamiętnie patroluje zagon ziemniaków. Babcia – okruszynka pośród jaskrów – siedzi na łące, ufnie wierzy, że drugi raz wejdzie do tej samej Rzeki.

Ciemnopopielaty wiór obłoku. Melodyjna olcha. Trapez łąnu koniczyny. Opodal tyczny groch. Na ściernisku baraszkują świerszcze.

Dąb wypisany z lasu garbi się na skarpie. Schyłek lipca chłapie się w blasku. Młta mgła. Wiatr również mięknie, powściągliwie pnie się na brzozy.

Pięcioletni skrab sięgam po suchy oset. Trzeba to oraz owo pojąć o tym, co ciut-ciut dalej niż nos. Dziadek, który ciągle się nie otrząsnął z ciężaru wojennych dni, ostrożnie cofa rączkę wnuka.

Krzyk jastrzębia dźga obłoki. Nie za chyżo, ale i nie za wolno, ledwo, ledwo, gniadosz ciągnie wóz drabiniasty pełen snopków. W jarze ukrytym pośród zagonów pszenicy kimają jodty. Na zagonie koniczyny rozleniwiona krasula. W burakach tyczny groch i bób na straży. Maki obok marchwi. Koniczyna przy kukurydzy. Modrość chabrów gasi fiolet wyki.

Pośród półkoptków wiatr niesie jęk ostrzonej kosy.

Pólna dróżka stroi się we wszystko, co najurodzivsze: topian, przetacznik, krwawnik, lebiodę, przytulię, oset i klekot kót.

Młyny mełły, mełły...

Jadę z dziadkiem do młyna. Gniadosz ospale ciągnie wóz z workami żyta i pszenicy.

– Dziadku, powie dziadek, co będzie, jak nas nie będzie.

– Innym razem.

– Obiecałeś...

– Nie będzie, co było. Hetta!

– Nie uda się odtworzyć?

– Z tego, co się rozpadło, nie można zrobić takiego samego jak przedtem.

– Dziadku, chciałbym byśmy zawsze byli w takiej chwili najlepszej, jak teraz, gdy jedziemy do młyna...

Śmierć dość długo tkwiła przy łóżku dziadka, odeszła, aż w końcu była bardziej wytrwała...

Październik obdziera modrzewie z igieł, ale jodły zachowują zieleń. Uspokoiwszy wiatr i przywoławszy mgłę, szepczą do chmur:

– Sypcie śnieg, śnieg, śnieg.

Śłońce wciska się między pagórki. Pesymizm spaceruje wzdłuż Tatyny.

Wówczas babcia białą i fioletową bibułę zwiija, tnie nożycami na kawałki. Robi kwiaty, których ogonki skręca cieniutkim drutem.

Z koszykiem w rękę i nożem w kieszeni idę do lasu w jarze. Wyszukuję najbardziej foremne krzyżyki na końcach jodłowych gałązek, odcinam, wrzucam do koszyka.

Babcia wysypuje zawartość koszyka na stół, z jodłowych krzyżyków splata wieniec. Jeden krzyżyk mocuje do drugiego miedzianym drucikiem, aż wieniec w sam raz na grób. Przywiązuje do wienca kwiaty z bibuły.

W milczeniu idziemy na zbożce za Tatarską Górką, na grobie dziadka kładziemy wieniec.

Dziadzio miał trumnę czarną, niebawem babcia jasnobrązową.

Teraz już oboje mieli tylko dla siebie to, co żywym niedostępne – wiekiowość.



Foto: Ryszard Jasiński

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat. W 2021 LWP wydało jego dwie powieści: *niewidzialną władzę*, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz *wrota gomory* (powieść eksperymentalną). W 2023 roku wydał zbiory opowiadań: *Król Błot* oraz *Dziewczyzna, która zgubiła imię*. Mieszka w Tuplicach.

WIERSZE

Agnieszka Moroz

Kiedy włączam suszarkę
czuję jak cofa się czas
Najpierw to jest szum w mojej głowie
i wrażenie że leżę wśród traw
a wiatr niesie ciąg strasznych słów
wypowiedzianych raz na zawsze

Później to dźwięk puszcanych od tytu
taśm z dzieciństwa
na których strumyk wciąż płynie z wolna
w śpiewanej przeze mnie piosence

Deszcz pada do góry
w kroplach odparowujących z włosów
a ja biegnę tyłem i pod wiatr
wracając stamtąd dokąd nigdy nie powinnam była pobiec

Myślę wtedy że jeszcze wszystko może się
nie zdarzyć
a szum wciąga i kołysze
jak melodia krwi
w najpiękniejszym brzuchu mojej matki

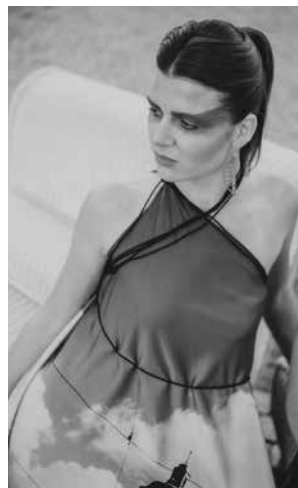
Jeśli byłam niemita to przepraszam
Zimą przybieram formę przetrwalnikową
Jak przerysowana komiksowa postać
mam nad głową dymek
z papierosa
i udaję
że bawią mnie wszystkie małe śmierci
z książki Najgłupszych zgonów świata

Nasza stara płyta Floydów zacina się
 zawsze kiedy Gilmour śpiewa
crazy crazy crazy
diamond
 A ja ozdabiam twarz tysiącem brylancików
 i wychodzę z domu
 jakby to wcale nie był zły znak

Co rano wypracowuję w sobie męską gruboskórność
 zapachem żywicy i kadzidłowca
 dźwiękiem ostrza sunącego po skórze w takt fatszowanych melodii
 kawą tak mocną że chce się zgrzytać zębami
 podcastem o wojnie na dobry początek dnia

Lecz moje oczy
 staroświeckie szklane kule pełne zwiędłych kwiatów
 nieodwołalnie czynią mnie kobietą

Syrena z lustra powiedziała mi
 szkoda że ja to nie do końca ty
 idealnie gładka twarz wydmuchana ze szkła
 na każde złe spojrzenie
 zimny rykoszet ma



Agnieszka Moroz: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka marszałka województwa lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@poławiaczkaKsiążek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

TRANSLANDIA, CZYLI ODER/ ODER¹

Maciej J. Dudziak



Jacek Lauda, *Przedostatni podwieczorek*

1/3

Oder ma różne znaczenia, a przynajmniej miewa. Najczęstsze skojarzenie – rzeka i wypadkowe jej wieloznaczności. *Oder* to jednak przede wszystkim potencjalna możliwość wyboru, to spójnik rozłączny, który równocześnie spaja. Subtelny paradoks przydający częściom wewnętrznej autonomii, treści własne, a łącząc, nadaje mnogości. *Oder* oddaje również zasadę rekurencji językowej w ramach gramatyki uniwersalnej Chomskiego, a równocześnie niezauważalnie przekracza imaginacyjne uniwersalia. *Oder* to separator, ale i łącznik. Równocześnie. Czy zachodzi zatem konieczność jednoznacznego wyboru? Tam czy tu? Z tym czy ty z tamtym?

W Translandii, krainie, w której czas i przestrzeń łączą się w jednym miejscu, wybiegając licznymi mackami i fluidami w przeszłość, nic nie jest jednoznaczne, a wiele prawd podlega rozmyciu i erozji. Translandia to mikrohistorie utkane pajęcą nicią przeszłości zatartej i nieopowiedzianej w strzępach zdziwień i wrażeń.

Pamięć jest krótka. Wykoślawiona i zmieniona doświadczeniem tego, co zaszło od punktu zero, stając się impresją. W rzeczywistości pamięć osobista żyje

1 Niniejszy tekst jest fragmentem książki *Translandia*.

własnym uśpionym życiem, nie mając za wiele wspólnego z tym, jak się rzeczy w zamkniętej już przeszłości miały. Do pamięci przyklejają się odrobiny późniejszych doświadczeń, tworząc mieszaninę fantazmatów i doświadczeń. Zostaje jednak to, jak pamiętamy. Jak w pamięci osobistej deponują się zapachy i dotyki.

Ta opowieść nigdy nie będzie zakończona i zawsze niepełna. Tworzą ją ułamki. Części całości w otwartym zbiorze. Każda część Translandii to ułamek będący sumą emocji, wspomnień, wiedzy, świadomości oraz wyborów codziennych strategii radzenia sobie w rzeczywistości. W Translandii prawda jest jedna, ale nie jedyna, zmienna i dopowiadana, przynależna jedynie miejscu i wzajemnie przenikającym się warstwom rzeczywistości. W Translandii nic nie jest oczywiste i z reguły sprzeczne z mazowiecką wersją lokalności.

Ruszam więc na wyprawę do Translandii z pytaniem, dlaczego myślę jak myślę i dlaczego jestem, gdzie jestem.

2/6

Na świecie pojawiłem się w kolejną rocznicę istotnych i nieistotnych ko-incydencji, w których czas zakręcony wokół przestrzeni, niczym flanelowy szal dyndał na szyi Chronosa. W tym dniu pełnym piekielnego żaru lejącego się z nie-ba pięć wieków wcześniej Ulrich von Jungingen wypowiedział wojnę Jagielle. Sporo później, choć w dniu identycznym, francuski parlament wydał dekret o wypędzeniu z kraju jezuitów, a raptem trzydzieści lat przed moim pojawieniem się w Translandii Amerykanie rozpoczęli erę globalnego strachu, zrzucając bombę atomową na Hiroszimę.

Dla mnie ważne jednakże było to, że były to czasy, gdy tanie nylony rajstop naszych matek i siostr gładko rozprawdzały włosy na tydkach, a spod spoconych czap ojców i dziadków powszechnie wyzierały się zakola wskazujące na szybkie przechodzenie z dzieciństwa do wieku emerytalnego.

Trzydzieści lat wcześniej, w imię czystości etnicznej, wszyscy moi przodkowie stłoczeni w towarowych wagonach i w sytuacji bez wyjścia opuszczali swoje rodzinne od zawsze Kołomyje i Drohobycze transportowani na Zachód.

Dni łączone się z nocami wciskały się w każdy kąt prowizorycznie montowanych składów kolejowych przesączając ból, stratę jak odciętą pępowninę w prze-rażenie i dezorientację. Jechali do Niemiec. Pociąg stanął. Dalej nie było już torów. Na stacji pojawiło się miejscowe UB i milicjanci w brudnych mundurach za to z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Kazali wysiadać, trzymając dłonie na lufach karabinów. Dziadek wyskoczył na peron. Rozejrzał się, biorąc do ręki grudę miejscowej ziemi. Piasek! Jeszcze do niedawna pracował przy ulicy Stryjskiej, obok dworca głównego w drohobyckiej rafinerii Polmin i piasek jako drogi, importowany materiał służący do czyszczenia wiertniczych instalacji, trzymany był pod kluczem. Raz, ukradkiem, tamiąc prawo, wsypał kilka garści

do kanki. Chciał pokazać dzieciom, jak wygląda reszta świata, w której jest piasek. Nie, tu nie chcieli wysiadać. Choćby, jak mówiono, na chwilę, aż wszystko ucichnie. Wiadomo: na piasku nic się nie urodzi. Dwa dni na dworcu z napisem Vietz/OstBahn trwały pertraktacje zmieszane z groźbami. Wreszcie machnęli ręką. Pod eskortą milicjantów w brudnych mundurach ruszyli długą kolumną szerokimi ulicami miasteczka. Doprowadzono ich na dziedziniec szkoły, na który wkradał się głębokim cieniem zwalsty budynek neogotyckiego kościoła. W szerokiej bramie wyjazdowej na szkolny dziedziniec mijali inną kolumnę równie wystraszonych, co oni, ludzi. Mówili po niemiecku.

3/4

Nasza kamienica dotykała szerokiego chodnika przypiętego do głównej ulicy miasta przecinającej je od zachodu na wschód. Kilkaset metrów w prawo mieścił się Dom Kultury zlokalizowany w dawnym Kultur Hausie (sic!) obranym przez miejscową NSDAP za swoją siedzibę. W jednym z bocznych skrzydeł mieściła się biblioteka pełna zapachu książek. Ciotka Anna będąca dyrektorem depozytu często wpuszczając mnie w obszary zakazane i ukryte dla większości czytelników. Z wypiekami na twarzy wertowałem przewodniki turystyczne, szukając informacji o naszym mieście. Już po kilku chwilach łatwo było zorientować się, że każde miasto i miasteczko w naszej okolicy zawiera wyraźną lukę: pierwsza wzmianka w XIII wieku, a kolejna o tym, że w 1945 roku powróciło do macierzy. 700 lat bez historii? Skąd zatem na browarnianej bramie, przez którą codziennie wchodzili i wychodzili podchmieleni pracownicy o przekrwionych oczach i tłustych włosach, data 1848? Skąd na zwieńczeniu naszej kamienicy data 1912? Mazowiecka wersja historii.

1/12

Przyszło mi dorastać w czasach, gdy z realnego socjalizmu pozostał już tylko deklaracyjny realizm, a jego w gorącej wodzie kąpany brat komunizm przynależał do zamkniętego zbioru historycznego. Długie dekady nowi depozytariusze naszego miasta nie czuli się u siebie. Odbudowa Warszawy i przyjaźń radziecko-polska również kosztowała, wymywając z miejskiej tkanki kamienice, fabryki i cmentarne płyty. Ta wszędobylska tymczasowość obsiadła elewacje, wykrzywiała chodniki, tworzyła ubytki w jezdniach wyłożonych granitową kostką jak w pozbawionej właściwej higieny jamie ustnej poddrohobyckiego chłopa. Tymczasowość rozpanoszyła się również w kolorach naszego miasta, które coraz szybciej wytracało naturalną różnorodność barw na rzecz powszechnej szarości obleczonej plamami wilgoci. Nigdy później, jak wówczas, nie doświadczyłem tyłu odcieni szarości. Nigdy później monochromatyczność nie mieściła w sobie tyłu półcieni i ćwierćbarw.

Wiosną i latem, w te dni szalejących słonecznych jezorów liżących dudniące witalnością zielenie liści, monochromatyzm naszego miasta ulegał zatarciu, przypominając o istnieniu innych, równoległych światów.

Popołudniami ojciec zabierał mnie do pobliskiej piwiarni o zalotnej nazwie Kubuś, na oranżadę. Miejsce to spędzało sen z oczu licznym matkom i żonom naszego miasta w trosce o mężów i synów spędzających tam długie godziny na rozmowach o długościach i szerokościach geograficznych. Ojciec, mój przewodnik po zaułkach miejskich, wspominał opowieści swojego ojca o jego mieście Drohobyczu, o śladowych, ale jednak, podobieństwach tych miast.

Jedną z opowieści była dominująca: rynek miejski w 1945 był kłębowskiem języków: polski, ukraiński i niemiecki mieszały się z gęsim śpiewem unoszącym się nad buchalteryjną agorą naszego miasta. 75 lat później sytuacja się powtórzyła.

4/12

Nie wiadomo, gdzie miasto zaczynało się i gdzie kończyło. Jego formuła, zwłaszcza gdy objęli je moi dziadkowie i babcie, miała charakter nader liquidowy, naznaczony i wyznaczony nie do końca dobrowolnym przemieszczaniem się.

Mieszkaliśmy w centrum miasta, w jednej z tych opastych kamienic sąsiadujących z *axis mundi* miasta. Mieszkaliśmy na wysokim pierwszym piętrze, którego właścicielem do roku 1934, podobnie jak i całej kamienicy, był David Goldstein.

Po 1934 roku mieszkanie zajmuje Herman Grundwelt, a Goldstein, jak i cała żydowska społeczność naszego miasta znika na zawsze z kart historii naszego miasta, pozostawiając po sobie nietknięty kirkut oraz synagogę. Te dwie ostatnie znikają również, ale po roku 1945. Niemal identyczna sytuacja dzieje się w podobnym czasie w rodzinnym Drohobyczu.

Na tyłach naszej kamienicy wciśniętej pomiędzy teren kościoła a pobliskiej szkoly, tej samej, gdzie moi dziadkowie mijali kolumnę dotychczasowych właścicieli naszego miasta kroczących pod lufami karabinów w kierunku Odry, znajdował się zarośnięty bujnym chwastem ogród. Można się było do niego dostać, przemierzając sfetorniały czworobok podwórka. Na jego dawno niepielęgnowanym zieleńcu porośniętym parasolowatymi łopuszanami i dzikim chrzanem, znajdowała się masywna brama. Wygięta czerwonością rdzy ogrodowa klamka obwiązana była łańcuchem zwieńczonym kłódką.

– To mój tata zamknął w taki sposób ogrodową bramkę. W tym samym dniu, w którym na zawsze musieliśmy opuścić nasze miasto – powiedziała do mnie Hilde Grundwelt rocznik 1937, córka Hermana.

Hilde ma teraz mniej więcej tyle lat, co ja, czyli pięć.

– Chodź, coś ci pokażę – szepnęła.

W świecie dziecięcych fantazmatów, tym bardziej w mojej Translandii, wszystko jest możliwe.

Wzięła mnie za rękę wcześniej, wydobywając spod czerwonej sukienki masywny stalowy klucz. Uśmiechnęła się.

– Ciii – przyłożyła palec do ust, uśmiechając się bladymi ustami... – Nie powinni nas słyszeć.

Zamek w zardzewiałej kłodce zaskrzypiał boleśnie i po chwili zmagają puścił, nieco uchylając ogrodową bramkę. Kilka metrów dalej wśród ciężarnych jabłoni i gruszy znajdowało się wejście do czteropiętrowej kamienicy niewidocznej z naszego mieszkania. Poprowadziła mnie klatką schodową na strych. W powietrzu czuć było zapach starego kurzu, przepoconych koszul i czegoś jeszcze, czego nie byłbym w stanie zidentyfikować.

– Spójrz – znów szepnęła, wskazując na rząd dyndających białych sukienek podwieszonych do potężnej belki podtrzymującej konstrukcję strychu. – To moja starsza siostra Marike, a tam ciotka Anna, tych dwóch nie znam – Hilde zmarszczyła czoło. – Chyba przyjechały niedawno do naszego miasta. O! A tutaj jest Sophi. Zawsze jej zazdrościłam najpiękniejszych sukienek. Policzysz ze mną, ile ich jest?

– Zdaje się, że dwanaście – sama odpowiedziała. – Dwanaście dziewcząt i kobiet. Dokładnie w wigilię 1 lutego 1945 roku poszło do nieba. Chyba...

4/5

Długa kościelna wieża w te południa naznaczone wszędobyłskim latem wtykała ostry romb cienia w nieodległy budynek kina znajdujący się ulicę dalej



Jedynе zachowane zdjęcie witnickiej synagogi (źródło: zbiory internetowe)

od naszej kamienicy. W czasach przesiąkniętych pospolitą wspólnotową nudą kino było nieuświadomioną formą zorganizowanej uciechy narodowej cementującej wielokolorowy witraż.

Kino w naszym mieście zostało zbudowane przez Richarda Tismera. Uroczyste otwarcie nastąpiło 20 listopada 1920 roku projekcją filmu „König von Paris” z Brunonem Kastnerem w roli głównej. Amant berlińskich salonów przybył do naszego miasta pociągiem z nieodległego Berlina. Jak podawała miejscowa prasa: *na stacji czekał na niego okazały zaprzęg konny, który ruszył w stronę centrum w szpalerze miejscowych i okolicznych wielbicielek i wielbicieli. Podobno tego dnia w witnickich hotelach zabrakło miejsc. Budynek kina zdobyły girlandy kwiatów.*

Kilka lat później nieme do tej pory kino zostało udźwignione i Kastner, mimo kilku prób, nie zdołał się w nim odnaleźć. Przyczyna była dość prosta: okazało się, że jąka się na tyle poważnie, że z konesera niewieścich serc stał się pośmiewiskiem. Nie zniósł tego i w wieku 42 lat popełnił samobójstwo.

W tym samym kinie, w tych samych drewnianych, ułożonych kaskadowo rzędach krzesel sześćdziesiąt lat później nasączany byłem zorganizowaną administracyjnie nienawiścią do wszystkiego, co łączyło się z byłymi mieszkańcami naszego miasta.

Rajmund Buławski, statystyk i jeden z fundatorów myśli kolonialnej dotyczącej mojej Translandii pisał tak:

[Zadaniem], które staje przed społeczeństwem polskim, jest stworzenie na przyszłym pograniczu polsko-niemieckim żywego muru elementu narodowego nie poddającego się destrukcyjnym wpływom ościennym, który by nadał ziemiom odzyskanym zdecydowane oblicze polskie i który by tak w czasach pokojowych, jak podczas zawieruch wojennych oparł się wszelkim wrogim zakusom naszego sąsiada zachodniego (...). Selekcja osób, które pójdą na nowe tereny, będzie musiała być prowadzona pod kątem widzenia wyłowienia najtęższych sił i to nie tylko, o ile będzie chodziło o szerokie warstwy włościan oraz robotników rolnych i przemysłowych, lecz także innych grup społecznych, a (...) znaczenie będzie miał właściwy dobór (...) elementu imigracyjnego. (...) Tworząc na prastarych ziemiach słowiańskich nowe życie, powinniśmy mu dać zdrowe podstawy biologiczne. Toteż muszą być spośród osób zgłaszających się do wyjazdu na zachód bezwzględnie wyeliminowane jednostki obciążone chorobami i ułomnościami dziedzicznymi, zwłaszcza umysłowymi.

Buławskiemu nie można odmówić podobnego żaru bijącego, niczym od Wandy Wasilewskiej.

Tuż przed stanem wojennym opuściliśmy opastą kamienicę w centrum, by przenieść się na drugi koniec miasta. Część fabrykancka z hutą, cegielnią i kaflarnią stanowiła do 1936 roku odrębną miejscowość o nazwie Schmelze. Po wytopie rud pozostawał błękitniejący urobek wykorzystywany do budowy ogrodowych murów i budynków gospodarczych, które napotkać można do dziś w różnych

częściach naszego miasta. Do tej pory okolica nazywana jest Szmelzownią. Sam niemiecki termin Schmelze oznacza proces wytopu, czyli przejścia substancji ze stanu stałego w stan ciekły, ten zaś ściśle wiąże się ze zjawiskiem krzepnięcia.

W nazwie *Schmelze* zatem ukrywa się ciągła zmiana stanów skupienia materii.

W moim mieście w latach 30. wybudowano kościół katolicki, który był współfundowany przez lokalnych działaczy NSDAP. Podobno część z nich, sądząc po nazwiskach pozostających na miejscowym cmentarzu, mogła pochodzić z Polski.

Sowieci w 1945 urządzili sobie we wnętrzu świątyni kino. Czterdzieści lat później chodziłem tam na lekcje religii i letnie msze. Pierwszy i ostatni raz ze zmlałem właśnie tam...



Spoglądam w oczy swoich psów: ufne, oddane. Jak to psy. Zastanawia mnie, co stało się z tysiącami ich czworonożnych braci i sióstr po 45. Czy w ich żyłach snuje się jakaś część tamtej Translandii? Wszak do tej pory powiada się, że dorodne okazy płoci to płocie... poniemieckie.

Dr MACIEJ J. DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem (1999)*, *Pejzaże (po)granicza (2007)*, *Hermeneutyka pogranicza (2011)*, *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza (2014)*. W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilnowskim pt. *Tomek na Alasce*.

PRÓBA UPORZĄDKOWANIA

Joanna Ziemińska-Kurek

*8 maja 2022 r.
niedziela, szósta rano
Spanga
gruchanie gołębia za oknem
oddech Adama
buczenie maszyny
do czyszczenia powietrza*

Pestka

1.

jak ziarna grochu
kołysani w strąkach
cząstce rzeczywistości

mogę jedynie
ręce podnieść
błogostawiona cisza

mogę wyszeptać
ciszę

2.

cisza jest bogactwem
cisza jest wszystkim

cisza wlatuje
bielą
ku bieli
przezroczystej

3.

oddech jest błogostawieństwem

wiem teraz

przyszłam tu
po kamieniach
trudu oddychania

4.

każde słowo
planetą
samoistną
krążące ciało niebieskie

pestka
z kosmosem
w swoim jądrze

5.

budzę się w nocy
poduszka jest poduszką
śpiew ptaka za oknem – wiosną

i żywe ludzkie ciało
istoty, która zaraz
otworzy oczy
i stanie się
dzień

6.

coraz mniej ptaków
za oknem w parku na rozlewisku
gdzie rok temu
dwa kilkanaście
roito się
od białego śpiewającego
życia

7.

pestka
tak pestka wiśni
słowo

zęby połamatałam na tym właśnie
dobierając się do środka
poprzez
słodko-kwaśną
zawartość
codziennych smaków

8.

biedna – ja
biedna

pięciu kłamaczów:
w języku łakomym
w palcach głodnych
w oczach ślepych
w uszach skołatanych
w nosie zadartym

i puste dłonie
wołające
do nieba

9.

kiedyś –
wiersze stroiły się
w kolorowe suknie
tańczyły według salonowych zasad
kompozycji i talentu
prestidigitatorów
z gołębiami w cylindrze
(nawet nie wiesz
o czym piszę
mój nieobecny czytelniku)

kiedyś – teraz
wiersze jak pestka
wypluta na betonową jezdnię
po czteropasmówce
pędzą tiry
tak samo znikają

10.

pozostanie
jeśli – pozostanie
na ile zresztą?

czają się groźnie
palce na czerwonym guziku

słodzą strachem
ostatnią herbatę

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie miejsca – odkrywanie siebie, czyli banały i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.

CODZIENNOŚĆ

HANNA KAUP

I

Codziennosc. Kiedy miałam trzy latka, instytucję zwaną przedszkolem uważałam za miejsce obce, w dodatku zagrażające mojej wolności, dlatego wytrzymałam tam trzy dni i... uciekałam. Od tej pory stroniłam od wszelkich organizacji, w których trzeba było stawać na baczność, nosić takie same mundurki, zrywać się z miejsc, gdy pojawiał się ktoś ważny czy bić mu gromkie brawa. Takie sytuacje mnie mroziły, wbijały w fotel i kazały czuć się w takiej grupie jak czarna owca. Nie wiem, skąd mi się to brało, bo nikt jakoś specjalnie mnie nie indoktrynował, a wychowanie to było raczej pusto brzmiące słowo, przez które prześliznęłam się bez nauczyciela i mistrza, choć oboje rodziców miałam.

Po mojej wspomnianej ucieczce mama nie zrezygnowała z pracy, by być ze mną w domu – dziś dopiero uświadamiam sobie, że nie lubiła dzieci – ale zrobiła wszystko, by spod zamojskiej wsi przyjechała prababcia Marysia i mnie pilnowała. Pilnowanie polegało na tym, że ta kochana kobiecinka o srebrnym warkoczku, który pomagałam – to słowo na wyrost – jej co rano zaplatać, gotowała i sprzątała, a ja klęczałam przed radiem marki Wola, kręcąc gałką w poszukiwaniu jakiejś muzyki. Wtedy było jej mało i w dodatku takiej jakości, że słuchało się tego jak przerywanej rozmowy prowadzonej przez krótkofalówkę. Jedyne, gdy strzałka nachodziła na miasto z napisem „Luxemburg”, docierały do mnie dźwięki, które od razu wpadały w ucho, ale zawsze za szybko się kończyły. Szukałam więc dalej, nastuchując pośród pisków i skrzeczeń czegoś, co pozwoliłoby uchwycić się innego świata. Bo, że gdzieś istniał, to czułam na pewno, choć nie rozumiałam, co oznacza ten Luxemburg, Kaunas czy Berlin. Jedyne zabawy mojego nieprzedszkolnego dzieciństwa polegały na zajmowaniu się sobą. „Idź grzecznie się pobaw” – słyszałam od babci. Ale w co? Jak w domu nie było zabawek.

Poza radiem Wola, mieliśmy też telewizor o pięknie brzmiącej nazwie Koral. Czasami babcia pozwalała mi go włączyć, jak nie było nikogo, ale wtedy najczęściej skrzeczał jak wrona Władysław Gomułka, plując do mikrofonu i wygrażając paluchem tłumom wpatrzonych w niego ludzi. Głównie mężczyźni. Później dowiedziałam się, że to towarzysze z jedynie słusznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie mogłam ścierpieć tego wrzasku. Pamiętam, jak znów, klęcząc przed leżanką – chyba śledziłam sploty tzw. kapy, którą nakrywano się ten mebel – odwróciłam głowę w prawo i z obrzydzeniem potączonym z pogardą – nie wiem, skąd u dziecka takie odczucia – rzuciłam w pustą przestrzeń pokoju: „I kto ciebie słucha, okropny człowieku?”.

Nie było wtedy jeszcze gazetowych programów telewizyjnych (gazet też w domu nie było), więc – w oczekiwaniu na coś z nieznanego mi, innego świata – skazana byłam na obecność tego straszego człowieka, który gadał i gadał, a czas włókt się niemiłosiernie. Kiedy wreszcie skończył, zdarzało mi się obejrzeć jakiś film. Oczywiście czarno-biały. Najbardziej pamiętam francuski, chyba odcinkowy. I chyba z Catherine Deneuve albo z Anouk Aimée, a może Jeanne Moreau. Pamiętam, jak zachwycałam się kobietą, która – zawsze elegancko ubrana – wychodzi z domu do pracy, a ta polega na tym, że spotyka się w kawiarni z ludźmi, pije kawę i rozmawia. Potem wraca do domu, otwiera wysokie i ciężkie drzwi mieszkania w paryskiej kamienicy, krząta się po pokoju, coś gotuje, wreszcie siada i pisze. Na maszynie. Jakież to było nadzwyczajne. Żaden ołówek, pióro czy rzadki w tamtych czasach długopis. Maszyna do pisania. I to uderzanie smukłymi palcami w klawisze, bardziej przypominające muzykę niż dźwięki z radiowej Woli. Jak ja wtedy marzyłam, że w przyszłości taka będę. Niczego nie chciałam, żadnych lalek czy ubranek dla nich. Chciałam, by w domu zjawiała się maszyna do pisania. Widziałam takie u niektórych ludzi, majestatyczne jak fortepiany, czasami też przykryte białą serwetą, żeby się nie kurzyły. Zostały tam po Niemcach, którzy po II wojnie światowej musieli uciekać z Zachodu tak jak Polacy z Kresów Wschodnich. Wiem, że wiele tych wyjątkowych urządzeń lądowało na złomowiskach. Jak mnie to strasznie bolało. Widziałam w tym urządzeniu człowieka, który wymyślił, skonstruował i wyprodukował coś tak niezwykłego. Kryła się w tym jakaś nadzwyczajność i tajemnica, a przede wszystkim możliwość tworzenia. Bo tego, że moja filmowa aktorka, pisząc na maszynie, tworzyła jakieś inne światy, byłam całkowicie pewna.

Tak więc obecność telewizora Koral nobilitowała. Nie wiem, jak ojciec to załatwił, ale jeszcze długo po nas, niewielu ludzi miało szklany ekran w swoich domach. Dlatego w niedziele – w soboty ludzie normalnie pracowali, by socjalistyczna ojczyzna rosta w siłę, jak mawiał polityczny wódz – schodziła się do nas rodzina, właśnie „na telewizor”. Starsi coś tam oglądali, gościli się, jedząc sałatkę jarzynową i ciasto, a dzieciaki musiały iść i „grzecznie się bawić”. Ale wtedy robiło się nas więcej i mogłam opuścić miejsce, w którym każdego dnia byłam uwięziona niczym księżniczka w wieży. Biegliśmy więc na dwór, na górki przy linii kolejowej, która jeszcze wtedy działała, bawiliśmy się w berka, chowanego czy w wojnę.

Czasami, gdy przyjeżdżało do nas wesołe miasteczko, szliśmy z mamą, tatą i wujostwem na spacer nad jezioro. Oczywiście, cudownie młodzi wówczas rodzice szukali dla siebie rozrywki. Próbowali więc swoich sił na wesołomiasteczkowej strzelnicy. Zdarzało się, że tata ustrzelił mamie jakiś sztuczny kwiatek, który lądował później w wazonie na stole. A mnie aż skręcało, bo choć nie znałam słowa kicz, to czułam je każdym porę swoim dziecięcym ciąłem. W strzelniczych budkach nie było nic innego poza kiczem. Może był ludziom potrzebny, by ubarwić

szarą i biedną powojenną rzeczywistość? W każdym razie każdy szanujący się młodzieniec przyjmował za punkt honoru obdarowanie swojej wybranki takim strzelniczym trofeum.

Wesołe miasteczko zawsze budziło we mnie uczucia, które nie należały do przyjemnych, bo nie dość, że strzelać nie umiałam, to na samą myśl o karuzeli robiło mi się niedobrze. Ale jak zdarzył się gabinet luster, wtedy była zabawa. Nie mogłam zrozumieć, jak to się dzieje, że moje odbicie to właściwie nie ja, tylko jakieś pokręcone dziwadło. Pamiętam, że wychodziliśmy stamtąd ze łzami w oczach, ale te były łzami prawdziwej radości – głównie mamy – co niestety z dzieciństwa wspominam jako rzadkość.

Pewnej słonecznej niedzieli, gdy znów pojawiło się wesołe miasteczko i poza strzelnicą miało coś, co dawało szansę na wygraną również tak małej dziewczynce jak ja, poczułam pierwszą w życiu szansę na zmianę swojego losu. Choćby na krótko. Choćby na chwilę. Otóż przez ladę jednej z bud zwisały dziesiątki różnokolorowych wstążeczek. Wystarczyło pociągnąć jedną, by stać się posiadaczką jakiejś niespodzianki. A były tam otwierane kolorowe książeczki, cudowne większe i mniejsze misie, zagraniczne lalki, baloniki, stodczyce i w najgorszym wypadku wspomniane kwiaty z malowanych piór. Te można było przeboleć, a gra była warta świeczki. W domu brakowało zabawek, więc nawet piłeczka na gumce czy jakiś gwizdek byłyby fajne. Rodzice kupili mi los. Pamiętam, że ledwie sięgałam nosem do lady. Pan lub pani – dziś już nie mam pewności – podał mi pęk kolorowych tasiemek i powiedział: „Ciągnij”. Jeszcze dziś czuję ten moment. Pociągnęłam. Zamarłam. Po chwili usłyszałam śmiech dorosłych i... chciałam zapaść się pod ziemię. Oto bowiem tata odbierał ohydnie brązową butelkę ohydnej jabola. Ja, dziewczynka tęskniąca za innym piękniejszym światem, wylosowałam coś, co zburzyło jak domek z kart moje naiwne marzenia. Wino marki wino? Naprawdę? Nie mogło zdarzyć mi się nic innego? Wraciałam do domu zbita psychicznie, zamknięta w sobie i zawstydzona, bo oczywiście dzieciaki zrobili sobie ze mnie pośmiewisko. I tylko starsi byli zadowoleni, bo spędzili popołudnie przed telewizorem, sącząc ten produkt z dodatkiem siarki.

Tak więc moja swojska codzienność w zamkniętej bańce trzypokojowego poniemieckiego mieszkania w niewielkim miasteczku na zachodzie Polski to było ciągle oczekiwanie. Głównie na mamę, która miała wracać z pracy zaraz po 15:00, ale najczęściej wyjeżdżała w tzw. teren. Wtedy pojawiała się późno i zmęczona. Ja z kolei, cały dzień grzeczna, marzyłam o tym, że się w nią wtulę, gdy wreszcie stanie w drzwiach kuchni. Gdy zbliżała się 15:00, siadywałam przed maleńkim kuchennym okienkiem wychodzącym na podwórkę i z pierwszego piętra obserwowałam, a to kury dziobiące resztki trawy, a to starszego sąsiada, który przysiadł na ławce albo jakieś dziecko wracające ze szkoły. Podwórkę było tak samo nudne jak moje dziecięce życie. „Babciu, która jest godzina” – pytałam co pięć minut, jakbym chciała przyspieszyć wytęsknioną bliskość.

II

Zima. Zimy w czasach mojego dzieciństwa były prawdziwe, nie to, co dzisiaj. Najpierw zapowiadał je listopadowy deszcz i wiatr – na samą myśl mnie trzęsie – a w grudniu to już mus było brodzić po pas w śniegu. Nigdy nie zapomnę tunelu – wyższego ode mnie – jaki tata musiał usypać od wyjścia z kamienicy, by dotrzeć do komórki znajdującej się na zewnątrz. Tam trzymaliśmy nie tylko drewno, bez którego w domu było piekielnie zimno, ale i kartofle. Tak, kartofle. Tego słowa używało się częściej niż dzisiejszych ziemniaków. I te kartofle kupowało się na worki, nie na kilogramy.

Komórka została jeszcze po Niemcach i ten ogromny pieniek, na którym rąbano się drewno też. Z tyłu, za komórką był kurnik, więc czasami, gdy nie dało się kupić mięsa – a w niedzielę koniecznie musiał być rosół – pieniek nosił ślady zbrodni. Dla rodziców to było coś zwyczajnego. Wychowani na wsi, od najmłodszych lat obserwowali, jak ich rodzice jednym uderzeniem siekiery ucinali głowy kurom, kaczkom czy innemu ptactwu hodowanemu w gospodarstwie na domowe potrzeby.

Ubojem w naszym domu zajmował się tata, ale kiedy zabrali go do wojska, mama nie miała wyjścia. Wybierała ze stadka jakąś znoszącą najmniej jajek kurę, łapała ją – co wcale nie było łatwe, więc i ja musiałam pomagać ją zaganiać – chwytając ją za nogi, kładła tebek na pień, zamachnęła się – jeszcze zdążyła tylko powiedzieć: „Nie patrz” – i... było po wszystkim. Najczęściej ptak jeszcze po ucięciu głowy rzucał się po ziemi, co wynika z budowy mózgu, którego niewielka część znajduje się w szyi. Wkrótce jednak ustawał ten swoisty dance macabre i mama niósła martwą kurę do domu.

Wiem, że w latach 40. minionego wieku, dokładnie 10 września 1945 r., w mieście Fruita stanu Kolorado zdarzyła się nieprawdopodobna historia. Farmer Lloyd Olsen próbował pozbawić głowy pięcioletniego kurczaka Mike'a, ale uciął ją tak nieszczęśliwie, że większość pnia mózgu została w nieobciętej części kręgosłupa. Kurczak nie widział i nie gdał, ale przeżył 18 miesięcy karmiony jedzeniem ze strzykawki i drobnym ziarnem. Właściciel nieszczęśnika został skrytykowany przez obrońców praw zwierząt.

Może mama i tata wiedzieli, jak ucinać głowy naszym kurom, bo nigdy nie zdarzyła się podobna sytuacja. A ten pieniek, na którym straciło życie niejedno pokolenie domowych kur, a który wydawał mi się ogromny, jakby miał średnicę co najmniej 300-letniego dębu, pewnie był znacznie mniejszy. Ale przecież patrzyła na niego mała dziewczynka, w której oczach świat miał rozmiary gigantyczne.

Kiedy więc wracaliśmy z kurą do domu, zaczynało się przygotowywanie jej do wypatroszenia. Mama gotowała wodę, wkładała kurę do dużej metalowej miski, która normalnie służyła nam do prania, po czym zalewała wrzątkiem. Zaraz

potem trzeba było szybkimi ruchami wyrwać pióra, a gdy ten etap został zakończony, na zakrętkę od słoika wlewało się denaturat, który po chwili płonął pomarańczowym płomieniem. Mama opalała w ten sposób wszelkie resztki upierzenia i chyba w jakimś stopniu rozprawiła się z salmonellą, o której nikt z nas w tamtych czasach nie słyszał. Clou kurzego misterium było patroszenie. Bardzo mnie to obrzydzało i od tamtej pory nie jadam podrobów, ale mama powtarzała tylko „Nie przesadzaj” i dalej robiła swoje, każąc mi układać na talerzu a to serce, a to wątróbkę, a to żółądek. Oczywiście, były też jajka, czasami w tak pergaminowej skorupce, że gdyby kurze darować życie, pewnie za dzień czy dwa pojawiłyby się w gnieździe. Te moje dziecięce asysty przy sekcji zwłok to były również pierwsze lekcje anatomii i zwyczajów żywieniowych kur.

Na zakończenie mama dzieliła korpus na części. Z szyjki, łąpek, grzbietu i kupra nawet – oczywiście oczyszczonego – z dodatkiem wołowiny i dużej ilości warzyw, gotował się niedzielny rosół, do którego mama zawsze sama robiła makaron. I to był najzdrowszy zimowy posiłek, który miał nas rozgrzewać i dodawać sił.

Czasami rodzice kazali mi iść do komórki po drewno, kartofle albo jakiś słoik z przetworami. Drzwi zamykały się na skobel – nie było żadnych klódek ani kluczy – więc każdy mógł sobie z nimi poradzić. Nie lubiłam tam chodzić, bo komórka, jak to komórka, nie była miejscem ani ciepłym, ani czystym, ani miłym. Ot, musiała pomieścić wszystko, na co nie było miejsca w domu, czyli po lewej stronie od wejścia drewno, które i ja czasami rąbałam na pieńku, szczególnie, gdy trzeba było oddzielić żywiczne cienkie szczapy, najlepsze do rozniecenia ognia; dalej ten ogromny pień z zawsze wbitym siekierą – nikt nie przejmował się, że jakieś dziecko mogłoby sobie coś zrobić; po prostu trzeba było uważać – za niewielkim ogrodzeniem z desek miejsce na węgiel, a na wprost drzwi – również odgródzone – kartofle i inne warzywa, które przechowaliśmy przez zimę. Pod sufitem półki ze stoikami ogórków, z dżemem, kompotem z wiśni czy śliwek i ewentualnymi puszkami, jeśli takie udało się kupić w większej liczbie. Oczywiście, zanim tata nie postawił drewnianego garażu, w komórce musiano znaleźć się miejsce na jego narzędzia.

Tata był człowiekiem bardzo praktycznym. Niczego nie wyrzucał, bo „to grzech”. Wszystko zbierał, bo „może się przydać”. Był samowystarczalny i gdy zdarzyło się, że coś przestawało działać, a półki sklepowe świeciły pustkami, on zawsze umiał naprawić. Mama mówiła na niego „złota rączka”. Szybko ta wieść rozniosła się po miasteczku i zawsze ktoś przychodził do taty z prośbą o pomoc. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Ponieważ rostałam przy nim, wydawało mi się, że każdy mężczyzna jest tak zaradny. Z czasem przekonywałam się, że nie i że to mój tata był prawdziwą „złotą rączką”, ale bez umiejętności zrobienia z tego pieniędzy. On po prostu nie cenił swojej pracy. Wyświadczał ludziom przysługę i cieszyło go bardzo uznanie, jakie mu okazywali. Mama denerwowała się na

niego, bo „nigdy nie miał czasu na dom”. Nie wiem, co miałby w nim robić, bo wspólnych tematów rodzice za wiele nie mieli, więc może lepiej, że wciąż naprawiał jakieś silniki czy inne rzeczy, niż miałby sprzeczać się z mamą.

Zimą tata organizował nam to, co pozostało w pamięci jako jedno z najpiękniejszych wspomnień: kuligi. Dziś zabrmi to jak brak odpowiedzialności, ale czasy były takie, że każdy, kto miał jakiś samochód – o wozach zaprzęgniętych w konie nie wspomnę – przywiązywał z tyłu dziecięce sanki i ruszał ubitą śnieżną drogą z bandą oszalałych z radości dzieciaków. Tata oczywiście jechał ostrożnie, ale wyobrażacie sobie 20-30 kilometrów na godzinę na sankach? Jeszcze po drodze, nad którą wisały lampy – inne niż dzisiaj – a w ich świetle mieniły się płatki spadającego śniegu? Ależ myśmy byli szczęśliwi. Nikt nie zwracał uwagi na zimno. Ważne było tylko to, żeby się trzymać i nie dać wywrócić na zakręcie. Wróciliśmy po takiej przejażdżce mokrzy od śniegu, często ze zgrabiętymi z zimna dłońmi i policzkami jak księżyc w pełni. W domu mama oczywiście wyrzekła, że znów ma robotę, bo rajtuzy, spodnie i rękawiczki trzeba było zaraz wyprać. Mokre od śniegu po wysuszeniu byłyby po prostu brudne. Trudno więc dziwić się mamy niezadowoleniu. Jedyna pralka w domu, to – zanim pojawiła się słynna Frania używana tylko do większych rzeczy takich jak pościel czy ręczniki i robocze ubrania taty – ręczna tarka. Wkładało się ją do białej emaliowanej miski ustawionej na jakimś zdezelowanym krześle, brato szare mydło marki Biały Jeleń, to samo, którego tata używał całe życie do mycia – rozkładało brudną rzecz na metalowej tarce i pocierało raz za razem z góry na dół. Domowa pralnia to było wydzielone w kuchni – przed drzwiami do spiżarki – niewielkie miejsce, nad którym wisała biała półka z belką poniżej, a na niej wykrochmalona makatka z optymistycznym napisem: „Świeża woda zdrowia doda”, „Miłość i zgoda domu ozdoba” czy nawet „Każda żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”.

Często stawałam przy tym pierwszym automacie pralniczym i szorowałam jakieś niewielkie rzeczy swoimi małymi rączkami. Potem suszyły się na sznurkach rozwieszonych nad kuchenką węglową albo na piecu. A gdy nadchodziła sobota, na środku podłogi mama rozstawiała okrągłą balię i nas w niej kąpała. Robiła tak też po naszym powrocie z sanny, gdy byłyśmy mocno zmarznięte. Zaraz potem, ubrane w piżamki, tuliłyśmy się do rozgrzanego niewielkiego pieca z rudych kafli, stojącego w małym pokoju albo ciemno brązowego – w większym.

Oczywiście nie codziennie tata urządzał nam kuligi. Normalnie, gdy całymi tygodniami zalegał śnieg i trzymał mróz, biegaliśmy na górki, by zjeżdżać z nich na sankach. Jaka ja musiałam być mała, że górka za domem, która w rzeczywistości jest niewielkim wyniesieniem terenu, wydawała mi się prawdziwym saneczkarskim stokiem. Ileż to razy wbiegaliśmy na nią, stawaliśmy w kolejce do zjazdu i rzucając się brzuchem na sanki, pędziliśmy na drugą stronę drogi – na szczęście tak mało uczęszczanej, że pojawienie się tam samochodu graniczyło z cudem.

Schodziły się tam dzieciaki z całej okolicy, ale to my mieliśmy najbliżej. Wystarczyło wyjść na podwórko i już. W listopadzie 1968 r. zaczęłam skarżyć się na ból biodra. Nie mijał też w grudniu. „Najeździłaś się na sankach, to sobie poodbijałaś w pachwinach” – mówili rodzice, gdy się skarżyłam. Cierpiałam więc każdego dnia bardziej i coraz częściej utykałam. Minęły święta z prawdziwą choinką, po którą tata zawsze sam jeździł do lasu i tak długo chodził, aż znalazł tę jedyną. Musiała być piękna, rozłożysta i o symetrycznych gałęziach. Nie jakiś tam szachtak. Tata oczywiście sam ją oprowiał, mocował tak, by można było dolewać do niej wody i najczęściej sam stroił. Szpic na górze, zaraz potem największe i najpiękniejsze bombki z brokatem, a im niżej, tym mniejsze. Pamiętam, kiedyś przed świętami usiedliśmy do stołu, tata pociął kolorowy papier na półcentymetrowe paski i pokazał, jak zrobić łańcuch. Kleiliśmy go całe popołudnie, a potem rozwiesiliśmy na naszej choince. Pięknie ją zdołił. Był też włoś anielski i długie cukierki w równie kolorowych co łańcuch papierkach. Trudno było je wykraść, bo te papierki strasznie szeleściły. Wisały więc tak długo, aż rodzice zezwolili nam po nie sięgnąć. Z czasem pojawiły się też jakieś lampki. Piękny to był widok. Jeszcze dziś na czarno-białych zdjęciach widzę wszystkie kolory naszego świątecznego drzewka.

Prezentów specjalnie nie pamiętam. Pewnie były to jakieś pomarańcze, banany, może czekolada czy cukierki, bo takich rarytasów na co dzień nie jadalśmy. W ogóle owoce cytrusowe pojawiały się w sklepach tylko przed świętami i ludzie wystawiali po nie w długich kolejkach. Na szczęście, tata sam je rozwoził z portów w Szczecinie czy Świnoujściu, więc zawsze coś nam do domu przywiózł.

Kiedy przyszedł styczeń, a potem luty i za nim marzec, kiedy nastąpiła wiosna, a noga wciąż bolała, jedno było pewne: Właśnie minęły moje ostatnie normalne święta. Mama zaprowadziła mnie do przychodni. Lekarz spojrział na mnie zza biurka, a na słowa mamy, że kręczą mnie nogi, autorytatywnie stwierdził: „reumatyzm” i przypisał debecylinę w zastrzykach. Żadnych badań, żadnego prześwietlenia, nic. Spojrział i wiedział. A ja po pierwszym zastrzyku nie mogłam ruszyć nogą. Nie miałam wtedy pojęcia, co mnie czeka i gdzie spędzę następną zimę.

III

Telewizor. Każde pokolenie wzrasta w innych warunkach i jest inaczej wychowywane. Moich rodziców wychowała wojna, tych którzy przyszli na świat po jej zakończeniu – ogromna bieda, a mnie – telewizor. To był prawdziwy cud techniki, dzięki któremu dowiedziałam się, że świat potrafi być piękny. Co prawda, pierwsza bajka dla dzieci „Jacek i Agatka” nie należała do takich, za którymi przepadałam. Ot, dwie drewniane kulki założone na wskazujący palec w czarnej rękawiczce przedstawiały głowy rodzeństwa i jego zabawy. Narratorką była Zofia Raciborska, odtwarzająca też rolę pani Zosi, czyli sąsiadki. Ale z braku laku,

trzy razy w tygodniu we wtorki, czwartki i soboty o 19:20 zasiadałam przed tą dobranocką. Chyba że akurat było lato i wołałam biegać po ulicach, bawić się z sąsiadką lub grać w palanta. Dopiero gdy robiło się ciemno, mamy zwoływały nas do domu.

Nie wiem, kto przyniósł na nasze podwórko ten rodzaj sportowej rywalizacji, ale wiem, że zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Niestety, musiałam trochę postać pod płotem i z zazdrością patrzeć, jak starsi koledzy chwytają kij, podrzucają piłeczkę, uderzają w nią i – oceniwszy siłę tego uderzenia oraz własne możliwości sprinterskie – pędzą do pierwszej lub drugiej bazy, zawracają i albo dobiegają do startu przed tym, zanim przeciwnik dorzuci tam uchwyconą piłkę – co oznaczało, że wygrali – albo muszą zamienić się miejscami i czekać na szansę jej przechwycenia. Kiedy wreszcie po raz pierwszy dostałam kij do ręki, wiedziałam, że będę mistrzynią. Oczywiście, na miarę mojej dziecięcej kategorii. Tak też było. Brałam kawał jakiegoś znalezionego drąga – coś na kształt dzisiejszego baseballowego, ale daleko mu było do jego gładkości – podrzucałam piłkę i zawsze czułam, czy uda mi się w nią wcelować. Były momenty zbyt dużych emocji, gdy paliło się szansę na wygraną, ale kto by tam umiał podchodzić do takiej frajdy ze zdrowym rozsądkiem. W końcu na tym polegała rywalizacja i fart, gdy odebrało się przeciwnikowi punkty. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że te emocje, które mną zawładnęły, to po prostu adrenalina. Uwielbiałam to uczucie.

Wszystkie mecze odbywały się za rogiem. Mieliliśmy tam ulicę, która kończyła się rondem, więc wykorzystywaliśmy to pole jako startowe. Nawet najsilniej uderzona brudnoczerwona albo brudnogrnatowa piłka (kolory wówczas były tak strasznie ponure) mogła lecieć i lecieć, bo ulica kończyła się dopiero za jakieś 100 czy 200 metrów. Sąsiednie domy też były bezpieczne, ponieważ w palanta grali ci, którzy potrafili uderzać na wprost. Ten, kto raz czy drugi trafił w okoliczny ogródek, był eliminowany z drużyn. Tak więc zanim nie zatrzymała mnie choroba, przez całe dni potrafiłam biegać od bazy do bazy i wracałam do domu, jak się już ściemniało.

Od dobranockowych „Jacka i Agatki” wołałam „Przygody Gąski Balbinki” i jej sepleniącego przyjaciela kurczaka Ptysia, choć były to tylko nieruchome rysunki, pod które podkładano głos narratorki Danuty Mancewicz czytającej dialogi Marii Terlikowskiej. Ale te dialogi były dowcipne, Balbina – choć mała – nie dawała sobie w kaszę napluć (trochę jak dzisiejsza Masza) i chyba miała podobny do mojego żywiołowy charakter. Z tego też powodu spośród licznych bajek, które z czasem pojawiały się w Telewizji Polskiej, najbardziej czekałam na czwartkowe przygody Bolka i Lolka. Tam dopiero się działo. Chtópaki zawsze gdzieś gnali i najfajniejsze było to, że na własną rękę. Ci mali bohaterowie – ukochani przez wiele pokoleń – z pewnością mieli w naszym wychowaniu spory udział. Nie każdy chciał być pokorny, uczynny i przyjazny jak Lolek. Rósł więc szereg cwanych Bolków, którym w głowie siedziało tylko, jak tu wykorzystać innych, by samemu się nie napracować. Nie

podobało mi się, że jako starszy brat, Bolek źle traktował Lolka. Ale jak na bajkę przystało, sprawiedliwości musiało stać się zadość, więc w finale Bolek dostawał za swoje, chłopczy się gozдили i wszystko kończyło się szczęśliwie.

Z innych bajek, które z czasem zaczęły się pojawiać, uwielbiałam Koziołka Matołka, „Porwanie Baltazara Gąbki” z tajemniczym szpiegiem z Krainy Deszczowców i oczywiście „Zaczarowany Ołówek” z Piotrkim i jego psem Pimpkiem, dla których nie było problemów nie do rozwiązania. Tu muszę dodać, że bardzo lubiłam muzykę każdej z bajek. Miała w sobie coś, co nastrojało optymistycznie, co czarowało i znów przenosiło w inny świat, daleki od codziennego nudnego życia dziecka z małego miasteczka. I jak tu nie wierzyć, że muzyka wychowuje? No jak? Ona załatwiała za rodziców całą robotę. Wypełniała dziecięce serce jakąś nadzieją i kazała z radością czekać na kolejne odcinki małych przyjaciół ze szklanego ekranu. Jak ja marzyłam, by choć raz mieć taki zaczarowany ołówek i narysować sobie np. ... nie, nie chciałam zabawek, zależało mi na czymś, co ułatwiłoby nasze codzienne życie. Nie myślałam o konkretach, bo wiedziałam, że takie cuda możliwe są tylko w bajkach, ale żyło we mnie wewnętrzne przekonanie, że przecież to, co rysuje Piotrek, jest do zdobycia. Trzeba tylko mieć pieniądze. Niestety, tych za wiele w domu nie było. Nie mam pojęcia, ile zarabiali rodzice, pamiętam tylko, że mama skrzętnie notowała w 16-kartkowych zeszytach w kratkę wszystkie swoje wydatki. Czasami siadali z tatą przy stole, liczyli, analizowali i zastanawiali się, na co ich stać. Przy dwojce dzieci – z czasem doszło trzecie – dodatkowej babcinej buzi do wykarmienia, pieniędzy nigdy nie było w nadmiarze.

Pod koniec lat 70. tata zdecydował, że zwolni się z pracy kierowcy w PTHW i stanie na taksówce. Kupił nieco przechodzoną warszawę, dłuższy czas ją remontował, dopieszczał, zdał egzamin taksówkarski – co wcale nie było wówczas łatwe, bo niechętnie w socjalistycznej ojczyźnie przyznawano licencje prywatyzatorom – i odtąd jego miejscem pracy stał się przystanek przy dworcu kolejowym. Tato został panem swojego losu. Niestety, rzadziej widywałyśmy go w domu. Kiedy wracał, liczył zarobione pieniądze, a wszystkie dziesięciotótki pakował do puszek po dużym groszku konserwowym. Oczywiście, najpierw po użyciu tegoż do niedzielnej sałatki jarzynowej, spawał wieko, wycinał otwór jak w skarbonce i stawiał na szafie tak blisko ściany, by żadne z nas nie mogło tam dosięgnąć. Mamie wydzieliał po 100 zł dziennie. Tyle samo, czyli czerwony banknot z robotnikiem – a gdy nastąpiła ich wymiana, z Waryńskim – na dwa dni, czyli sobotę i niedzielę, co mama – i my też – uważała za niesprawiedliwe. Tata jednak tak zdecydował i nie było gadania. Dlatego, kiedy zdarzało się, że brakowało pieniędzy, mama w tajemnicy przed nim wyciągała jakieś dziesięciotótki. Musiała potem dokładnie tak samo zabezpieczyć papierem otwór i tak samo ustawić puszkę na szafie. Tato był podejrzliwy i zawsze wyczuł, że coś tam grzebałyśmy, ale dowodów nie miał. Dziś pewnie zamontowałby tam kamerkę.

Co robił z tymi puszkami wypełnionymi pieniędzmi? To był jego sposób na wakacje. Cały rok zbierał – niechętnie dawał choćby grosz na dziecięce potrzeby – ale jak wyjeżdżaliśmy na wakacje, te puszki to były jego bankomaty. Zabierał ze sobą, ustawiał pod siedzeniami w aucie i miał. Nie, żeby nagle stawał się jakoś rozrzutny, nie, ale pozwalaliśmy sobie nawet na wizyty – rzadkie, bo rzadkie – w karczmach czy restauracjach. Przywoziliśmy też pamiątki z podróży, ale w bardzo ograniczonej liczbie. Trzeba więc było dokładnie zastanowić się nad zakupem czegokolwiek, bo potem było: „Już ci kupiłem”, „Już dostałaś”, „Wystarczy”. A któremu dziecku wystarczy jakaś ciupaga? Raz chyba dostałam kierpce, ale to już był wydatek związany z moją przynależnością do zespołu tanecznego. W pierwszych klasach szkoły podstawowej nauczyliśmy się tańczyć „Zasiali górale”, więc poza spódniczką, białą bluzką i wyszywanym cekinami serdakiem z kolorowymi wstążkami, musiałam mieć kierpce. I to była sytuacja podwójnie wyjątkowa, bo gdyby w domu były kierpce, dostałabym je po starszej siostrze, jak większość rzeczy.

Taniec to był mój żywioł, choć słowo „żywioł” jest na wyrost wobec tego, co oferowały dzieciom tzw. zajęcia pozalekcyjne. Jedyne, co nam było wolno, to właśnie jakieś ludowe tańce, nie żadne rock and rolle, modern jazz, hip-hop czy break dance, których po prostu nikt wtedy nie znał. To, co szło z Zachodu, było źle widziane, więc nie zaszczepiało się w dziecięcych głowach upodobania do nowoczesnych wygibasów. Nas uczyło się polskich tradycji. Jedyne, co docierało do mnie w tych dziwnych czasach, to programy muzyczne nadawane „na żywo” przez BBC, Radio Luxemburg czy produkcje telewizyjne Voice Of America. Tego zawsze było mi mało. Głosy trąbki, klarnetu czy saksofonu urzekały mnie jak żadne inne instrumenty. Ta harmonia, która wybrzmiewała w czystości dźwięków, i do tego cudownie ochrypty głos Louisa Armstronga w „Hello Dolly” czy „What a Wonderful World”, znów były czymś niedoścignionym i dalekim. Albo występy orkiestry Glena Millera ze słynnym utworem „Chattanooga Choo Choo”. Tęskniłam za każdym wieczorem, gdy w telewizji mogłam obejrzeć i wystuchać muzyki zza oceanu.

A kiedy udawało mi się trafić na film z Fredem Astaire’em, Ritą Hayworth, Katharine Hepburn albo Ginger Rogers, nie wychodziłam z podziwu nad ich tanecznym kunsztem. Oni frunęli, unosili się nad podłogą na skrzydłach muzyki, w której było więcej życia i piękna niż w całej smutnej Polsce. W dodatku Fred śpiewał, prowadząc swą partnerkę po parkiecie z taką lekkością, jakby tańczył z motylem. Scenę z „Heaven” i Ginger Rogers – wyglądała jak anioł – zapamiętałam na całe życie. Wtedy też zakochałam się w stepowaniu, czyli rytmicznym wybijaniu muzyki specjalnie podkutymi butami. Najciekawsze było to, że kiedy w latach 60. wpatrywałam się w ten cudowny świat szklanego ekranu, wszystkie programy i koncerty miały przynajmniej 20 lat, bo powstawały w Ameryce w czasach, gdy Europa owładnięta była zbrodniami szalonego Hitlera. Stąd często mówiło się, że w rozwoju jesteśmy 20 lat za Murzynami.

Niestety, niespełnione pozostały moje marzenia o tym, by choć w części tak tańczyć jak oni. Bo jakżeby mogła tak tańczyć inwalidka z krótszą nogą i usztywnionym biodrem, którego panewka – nie wiedzieć czemu – tak wcześniej poddała się zjadliwym prątkom gruźlicy.

HANNA KAUP: nauczycielka, dziennikarka, poetka, społeczniczka. W latach 2005-2009 była redaktorem naczelną tygodnika „Ziemia Gorzowska”, obecnie prowadzi portal www.egorzowska.pl. W l. 2004-2005 (wraz z Markiem Piechockim) realizowała w Jazz Clubie Pod Filarami interdyscyplinarne wydawnictwa kulturalne *Re-animacje Sztuki*. W 2005 roku założyła Grupę Literacką Wiązałdo działającą przy Stowarzyszeniu Twórczym Wena. Pomysłodawczyni (wspólnie ze Stowarzyszeniem Ruchu Miejskiego Ludzie dla Miasta) i redaktorka wydawnictwa *Dariusz Kostrzewa, czyli gorzowskie historie w karykaturze* (2021). Od 2016 roku tworzy (wspólnie ze Stowarzyszeniem św. Eugeniusza de Mazenoda) biuletyn *Łączą nas ludzie i miejsca*. Autorka tomiku poezji *44 zaskoczenia* (2003) oraz opowiadań włączonych do tomu *Świat i ja, moje dobre i złe dni* (2004).



Jerzy Hajduga

JESIEŃ W LATACH

grabki niesie druga też
z grabkami

uskrzydłona

usiądź a dlaczego
by nie dłużej
pogadać

konkretna

wrzesień o siódmej
wieczorem razem
pod rękę

jesiennie nam

w czterech ścianach
przy winie i bez
winy

od drzwi do
drzwi

wszystkie
otwarte

tyk

MAM BOSKIEGO TRENERA

a co tam że ze mnie
ostatni włokę się
na pierwszego

zapłakać

zdarza się najgorzej
nocą ani śladu
po łzie

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuścić od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022) Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

ROZMOWY PODSŁUCHANE

Olga Smolec-Kmoch

Od niedawna podsłuchuję ludzi w naszym mieście. Nie korzystam z nielegalnych urządzeń. Korzystam z ucha. A nawet dwóch. Własnych. Podsłuchuję strzępki rozmów w miejscach publicznych. Moim ulubieńcem jest komunikacja miejska, ale wyławiam ciekawostki wszędzie, gdzie są ludzie. Oto krótkie zapisy wyrwanych z kontekstu rozmów, którym kontekst staram się nadać ja.

[2.09.2023 rok, sklep z odzieżą używaną ul. Chrobrego]

Trzy czasy miłości

Poznaliśmy się na potańcówce w remizie. Ja – stara panna, do trzydziestki zostały mi już tylko dwa lata. On – łamacz niewieścich serc i codzienny gość snów wielu dziewcząt z okolicy, niekiedy również łózek. Kochałam jego duże spracowane, a mimo to zadbane dłonie. Paznokcie z płytką gładką jak jezioro w najspokojniejszy ze spokojnych dni. Jego włosy w kolorze gorzkiej czekolady i usta słodkie jak akacjowy miód. Jego wyrzeźbione ciężką pracą ciało. Kochałam troskę, jaką mnie otaczał, i słowa, które szeptał każdego dnia wprost do mojego ucha. Poczucie odpowiedzialności za mnie, za siebie, za nas. Nienawidziłam wtedy, kiedy nie odwracał wzroku od kobiet, które zerkały na niego, naiwnie trzepocząc przy ciężkimi od nadmiaru tuszu rzęsami. I wtedy, kiedy zdarzyło mu się nie wrócić na noc do domu. Każdy ma prawo posiedzieć do rana z kumplami przy wódeczce – tak się tłumaczył. Wierzyłam i kochałam dalej. Kochałam, kiedy czule zajmował się pierworodnym i kiedy ze łzami w oczach tulił do szerokiej piersi wymarzoną córeczkę. Był wtedy tak prawdziwy i odarty z maski narzuconej społecznie męskości przypisanej takim jak on. Był mój. Kochałam go, kiedy odchodzili bliscy, a on zawsze był przy mnie ze swoim ramieniem, które przyjęło tak wiele łez, że dawno powinno już utonąć. A ono wciąż dryfowało przy mnie, nawet kiedy nie potrzebowałam ratunku.

Kochałam swojego męża. Rzadko tylko nienawidziłam.

Od ślubu minęło ponad czterdzieści lat. Kocham jego coraz drobniejsze dłonie z paznokciami pokarbowanymi biegiem czasu. Jego włosy bielutkie jak śnieg i usta szepczące wciąż po tylu latach wyznania miłości. Jego wątle, blade ciało. Kocham za to, że jeszcze przy mnie jest. Za wsparcie i przyjaźń, która z wiekiem tylko się umocniła. Za bezgraniczną miłość, jaką darzy nasze dawno dorosłe wędług PESEL-u, ale dla nas wciąż najukochańsze dzieci i wnuczeta. Jest mój. Kocham jego ramię, które choć już nie ma w sobie tej siły fizycznej, to wciąż dryfuje na oceanie moich łez.

Kocham swojego męża. Dziś.

Rok temu nasz świat zachwiał się w posadach od dwóch słów: rak trzustki.
Dziś mój świat runął.
Będę kochała swojego męża. Zawsze.



[29.09.2023 rok, autobus linii 122, kierunek Osiedle Staszica]

Starość się Panu Bogu nie udała.

Strzyka, łamie, ćmi, rwie, tupie, drze, kłuje. Wszystko.

Przynajmniej śmierć nie boli. Widziałam przez okno.

Babcia Józia była stara. Bardzo. Ciało miała zadziwiająco zdrowe, choć strzykało, łamało, ćmiło, rwało, darto, kłuto. Chorował umysł. Józia lubiła tańczyć. Zrywała się z łóżka, kiedy ustyszwała Wodeckiego, i wirowała w duecie z niewidzialnym partnerem. Wyglądała elegancko w koszuli nocnej z bazaru. Zawsze była damą.

Zauważyła mnie przez okno, zapraszając gestem szczupłej dłoni ozdobionej ródowymi pamiątkami błyszczącymi złotem próby 585 do wspólnego wirowania w takt ulubionej muzyki. Podeszłam do okna, by powiedzieć, że dziś spieszę się na autobus, że wpadnę jutro.

Józia upadła na podłogę z szerokim uśmiechem na twarzy.

Umarta.

Czy gdyby śmierć bolała, jej ofiara uśmiechałaby się?

[26.09.2023 rok, tramwaj linii nr 1, kierunek Wieprzycze]

Wystarczy błysk w twoim oku, który z mocą lasera wypala mi dziurę w sercu i umyśle. Przez ten otwór przelewają się później cały rozsądek i ostatki nieudawanej miłości. Pozostaje pustka. Wielka jama bez dna ani sufitu. Niemożliwa do wypełnienia czymkolwiek. Każda szczerłość pozostaje w próżni. Poza mną.

A ty się uśmiechasz pod nosem, mijając mnie na ulicy. Codziennie.

Ta miłość nie powinna była mi się przydarzyć. A jednak się przytrafiła w ciemnym zaułku mojego serca. Nie dałeś mi nic poza uśmiechem, kiedy co rano mijaliśmy się w drodze do pracy. To było dla mnie aż nadto. Każdego dnia chłonęłam ciebie każdym zmysłem. Wyczekiwałam chwili, w której znów spojrzę w zielony bezkres twoich oczu. Pięć dni w tygodniu przez jedno mgnienie byłeś tylko mój. A ja byłam tylko dla ciebie. Zawsze byłam, choć ty o tym nie wiedziałeś.

I pewnie dalej o tym nie wiesz, ale mój świat się skończył, kiedy dostrzegłam na twoim palcu życiową zmianę.

Po czterystu dwudziestu siedmiu porankach twój uśmiech po raz pierwszy sprawił mi ból. I teraz boli codziennie.

OLGA SMOLEC-KMOCH: rocznik '85. Od dawna pracująca słowem, od dawna właścicielka Wydawnictwa Na Szczęście, od zawsze mól książkowy próbujący swoich sił pisarskich w krótkich formach. Członkini Nieformalnej Grupy Literackiej Płóczkowe Dziewczęta, z którymi wydała 4 tomiki opowiadań. Mieszkanka Gorzowa, szczerze dostrzegająca jego głęboko ukryte piękno.

CZERWIEC

Kalina Moskaluk

Mówisz że miasto leży na fotelu dentystycznym
Światło prosto w oczy
Nie zazna spokoju nawet próbując je zamknąć
Czerwień i naczynia krwionośne to wszystko co widzi
Czerwiec

Ja mówię o kontraście
Pomiędzy podekscytowaniem wokół
I lękiem w środku
Czekam na listopad
Kiedy koc i ciepła zupa będą kotysać do snu
Wszystkich jednakowo

Struś pędziwiatr przez miasto
Niczym palce które całują wszystkie winyle w sklepie
Napędce skradzione buziaki

Czekamy na chłód na peronie
Na pociąg i na chłód w głowie

Łzy na policzkach nie wprawiają mnie w zakłopotanie
Pot sptywający po tydkach – tak

Następnego lata rozwiążemy to lepiej – mówimy
Więcej dramatyzmu na niebie, w lesie i w nas
Do następnego lata

KALINA MOSKALUK: urodzona w 1996 roku w Gorzowie. Debiutowała tomikiem *Człowiek otwarty*, za który otrzymała wyróżnienie za debiut podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich 2017. W latach 2015-2018 związana z Toruniem, gdzie zdobyła licencjat z kognitywistyki, następnie z Uniwersyteciem w Lund, gdzie uzyskała stopień magistru językoznawstwa, specjalizując się w semiotyce poznawczej. Od roku 2021 ściśle związana z artystyczną dzielnicą szwedzkiego Malmö, gdzie pracuje jako baristka i studiuje pracę socjalną. Mieszka w Eslöv na południu Szwecji.

SPACER

Jerzy Alski

Arystoteles w „Poetyce” formułuje pewną sugestię: *Poeta powinien przedstawiać raczej zdarzenia niemożliwe lecz prawdopodobne, niż możliwe, ale nieprawdopodobne*. Komentarzami tego zdania i jego interpretacjami można niezgorszą bibliotekę zapełnić, można je wszystkie przeczytać i nadal być w tym samym miejscu: zderzenia z czymś, co nie do końca jest niezrozumiałe i wydaje się wskazówką niezwykle cenną, ale... Z powodu tego „ale” cztery przymiotniki, odpowiednio użyte w sentencji Stagiryty, wyjąłem z niej i uszeregowałem inaczej, ciekaw, co wówczas powstanie. Poniższe opowiadanie jest dzieckiem tego szczególnego eksperymentu.

Spacer

– Krzysztof? – zapytał mój przyjaciel. – Piszesz skandaliczne powieści, skądś czepiesz natchnienie, zapewne również ze wspomnień. Co nam opowiesz?

Od kilku lat, w mniej więcej stałym gronie, spotykaliśmy się w okolicach Bożego Narodzenia u mojego przyjaciela. Nikt z nas nie miał specjalnych zobowiązań, bo nie tylko dzieci dorosły, ale i wnuki co najmniej szykowały się do wielkiego skoku. Pozostawieni samym sobie, z mniej więcej siedemdziesięcioletnim bagażem doświadczeń i wspomnień w wypadku większości z nas, urządzaliśmy sobie własny wieczór wigilijny na sposób pozagrobowy – w końcu jeszcze żyjemy, ale kogo, poza nami, to obchodzi. Pomysł pochodził od mojego przyjaciela właśnie – uniwersyteckiego profesora, zajmującego się naukami tajemnymi, z poczuciem humoru przedstawiającego niekiedy siebie jako kolejne wcielenie Hermesa Trismegistosa, mieszkającego w pięknej, poniemieckiej willi na Pogodnie. Samotnie, bo jedno dziecko w Edynburgu, drugie w Bostonie, a żona na cmentarzu – w ładnym, budzącym ciepłe uczucia grobowcu, goszczącym we wnętrzu już trzecie pokolenie. Wojowników, przesiedleńców, uzurpatorów, kobiet pięknych i mężczyzn dostatecznie nieodpowiedzialnych, aby te piękne kobiety w nich się zakochały, rodziły im dzieci, wychowywały je i starzały się z pełną uroku godnością. Potem powstawały krypty, piramidy i groty – kawerny na najpiękniejszym europejskim cmentarzu, a wiem, co mówię, bo odwiedziłem chyba wszystkich pretendentów do tytułu – ten, w tym mieście, był absolutnie wybitnym przedstawicielem sztuki sepulkralnej i być może dlatego kolejne pokolenia tutaj żyjące wydawały się obdarzone większą niż gdzie indziej wrażliwością i wyobraźnią – od lat ten cmentarz był ulubionym miejscem spacerów młodych mam, pchających przed sobą wózki z niemowlęcią zawartością. Przypuszczałem, że niemal wszyscy obecni na

spotkaniach byli wożeni w wózkach po cmentarnych alejach i nawet towarzysząca mi pięćdziesięcioletnia piękność, wystylizowana na bohaterkę powieści Jane Austen i – miałem nadzieję – zastanawiająca się, czy emocje towarzyszące długim zimowym wieczorom przy kominku w moim towarzystwie będą dostatecznie zajmujące, też tam była wożona, nawet jeśli datująca się od lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia moda na przechadzki po centralnym cmentarzu tego miasta, w siedemdziesiątych nieco przygasta, przenosząc niemowlęta do Parku Kasprowicza, na przykład. Atmosfera w nim panująca była inna – brakowało aury stuleci: na cmentarzu przechadzali się ci, którzy później tam zamieszkowali, przechadzający się po parku potem szli gdzie indziej.

– Krzys – dotknęła mojej ręki. – Co ty nam opowiesz?

Było to niesłychanie miłe z jej strony. Ten gest. W końcu byłem beznadziejnie stary. Tak beznadziejnie, że czasami z trudnością znosiłem samego siebie. Pytanie mojej rozważnej i romantycznej przybliżyło mnie do wizji zimy ociepłej jej obecnością, zaś dotyczyło kontynuacji pewnego obyczaju, który rok temu zagościł w naszym przedpogrzebowym gronie za sprawą gospodarza właśnie, który wówczas barwnie opowiedział o swojej niezwykłej przygodzie w Kairze.

Tuż przed przełomem tysiącleci w kairskiej Bibliotece Narodowej, właściwie w jej przepastnych kazamatach pełnych skrzyń zaplombowanych od nie wiadomo kiedy, odkryto kilka koptyjskich manuskryptów z komentarzami do życia i poczynąń Apolloniusza z Tiany. Owego maga, cudotwórcy i czarnoksiężnika żyjącego w pierwszym stuleciu naszej ery, podróżnika wędrującego aż do Indii, komentatora braminizmu i zoroastryzmu, człowieka – według jemu współczesnych – obdarzonego boskością, czemu on sam nie zaprzeczał, podając się niekiedy za syna Boga. Pewne analogie do postaci Jezusa były czytelne. Znakomitą jego biografię – a czytałem ją – napisał w drugim stuleciu Flawiusz Filostratos, na polecenie Julii Domny, cesarzowej rzymskiej, matki cesarza Karakalli i ciotki jego siostrzeńca, Heliogabala, też cesarza Rzymu, choć przelotnego, genialnie opisanego przez Antonina Artauda – surrealistę wszech czasów – w urzekającej książce „Anarchista ukoronowany”. Nie bez powodu podaję te związki, ponieważ tak właśnie się bawiliśmy – poszukiwaniem relacji poprzez tysiąclecia. Heliogabal był anarchistą, ponieważ mógł – będąc cezarem bogiem. Czy wyobrażał sobie ograniczenia? Kasjusz Dion pisze, mając na myśli Heliogabala: „ta kobieta”. Z mojego punktu widzenia jest to trafne, bo tylko kobiety nie znają ograniczeń – żadnych. Być cezarem to za mało, trzeba jeszcze być kobietą. Natomiast – wracając do postaci Apolloniusza z Tiany – ma ona zakotwiczenie również w rodzimej historii. Według pewnych uczonych, Apolloniusz z Tiany przybył na ziemię tego kraju niemal dwa tysiące lat temu i we wnętrznościach Wzgórza Wawelskiego własnoręcznie zakopał czakram, kamień – talizman, promieniujący na Europę potęgą i cudowną siłą. Nie czuję się upoważniony do ocen – w końcu mógł przybyć i zakopać.

Przyjaciół mój wydarł z ministerstwa grant, poczynił z kairską biblioteką niezbędne uzgodnienia, po czym udał się do ziemi Ramzesów i Saladynów. Warunki zastał więcej niż świetne; pracował nad manuskryptami niemal izolowany od świata, w gabinecie z widokiem na Nil. Biblioteka położona jest na prawym brzegu rzeki i właśnie ona sprawiła pierwszą niespodziankę mojemu przyjacielowi. Zakładał, że Nil, w dolnym biegu płynąc przez połacie do pewnego stopnia suche, nawet jeśli jego wiosenne, żyzne wylewy od niepamiętnych czasów były regularne, będzie miał kolor szary, może zielony. Oczywiście zapomniał, że wraz z Tamą Asuańską wylewy stały się historią. Swoją wiedzę o rzece opierał – jak sam przyznawał – na opisach Miki Waltariego, Williama Goldinga i Normana Mailera i tak właśnie popełnił niewybaczalny błąd – Nil był zupełnie inny. Był niestety wyrazisty, od bladego turkus, poprzez głęboki błękit, aż po wieczorny ametyst. Bywał chabrowy, szczególnie w łagodnych podmuchach wiatru, w którym wędrowały po nim łodzie o niespotykanym gdzie indziej ożaglowaniu. Są i motorówki, dodał ze śmiechem, dużo motorówek, a nawet milionerskie jachty, ale kto by na nie patrzył, wobec tak unikalnego piękna leniwie toczącej się, wielkiej rzeki. Siedział tak nad tymi manuskryptami, odpisywał co istotniejsze frazy, patrzył na rzekę, aż po tygodniu chyba, do gabinetu, po tysięcznych przeprosinach, wszedł jeden z kustoszów biblioteki prowadząc za sobą postawnego, śniadego mężczyznę. Był to Kopt, jak się mój przyjaciel zorientował po wytatuowanym na jego przedramieniu krzyżu i natychmiast odpowiednio go pozdrowił, czyniąc mu tym wielką przyjemność. Kopt ów okazał się naukowcem, pracującym na uniwersytecie w Bejrucie, a do Kairu przygnął go te same manuskrypty, co mojego przyjaciela, tyle że on był tu za ich sprawą już drugi raz. Pragnął wymiany spostrzeżeń, na co mój przyjaciel z radością przystał. Rozmawiali w przerwach w pracy przy kawie, rozmawiali wieczorami, siadając w którejś z niezliczonych jadłodajni nad brzegiem Nilu, rozmawiało im się coraz lepiej, aż ów Kopt zaproponował mojemu przyjacielowi, że pokaże mu coś, co nawet rodowitym kairczykom jest niemal nieznaną i czego się boją. Uczynił tę propozycję, mitygując się tysięckrotnie i przepraszając, że pragnie zająć czas mojego przyjaciela, jakże cenny, ale warto, powtarzał, naprawdę warto. Mieszkańców tamtych krain cechuje niestety uprzejmość i delikatność w stosunku do osób, które uznają za należące do swojego kręgu. A co to takiego, zapytał mój przyjaciel. Miasto umarłych, odpowiedział Kopt. Zastyszane przez mojego przyjaciela legendy o tym miejscu sprawiły, że aż się wzdrygnął, na co Kopt oświadczył, że bez obaw. Ja stamtąd pochodzę, powiedział, i ze mną będziesz absolutnie bezpieczny, nawet jeśli słyszałeś o turystach, którzy tam weszli, ale nie wyszli nigdy. Przyjaciel mój wiedział, że było ich wielu, ale Kopt zapewnił go, że wejdą i wyjdą, będąc z uprzejmością witani i żegnani. Przyjaciel mój na propozycję przystał.

Tutaj trzeba, opowiadał mój przyjaciel, wyjaśnić, co to takiego jest, to miasto umarłych. Na wschodnich krańcach Kairu od niepamiętnych czasów istniała

nekropolia, jeszcze zanim Saladyn postawił swoją cytadelę, nadal będącą warownią niejako graniczną, choć nie wiadomo jakiej granicy broniącą. To za nią rozciąga się miasto, w którym mieszkają umarli, w uporządkowanych schematach alejek, posiadający drobne, pionowo stojące płyty nagrobne, groby rozleglejsze z kryjącymi je płytami, tomby będące architektonicznymi konstrukcjami, z kamieniem wykładanymi lochami dla zmarłych, aż po pałace kryte kopułami, pod którymi, obok sal dla zmarłych, są sale do biesiad, jakie żywi mogą podejmować dla uczczenia tych, którzy odeszli. Czas powstania pierwszego sepulkarium ginie we mgle historii, podobnie we mgle historii ginie chwila, w której któryś z żywych uznał, że mieszkać tutaj byłoby całkiem przyjemnie. Obecnie, jak się szacuje, w kairskim mieście umartych mieszka do dwóch milionów ludzi. Zajmują groby, katakumby, murowane grobowce i pałace dla zmarłych. Rodzą się tam, wzrastają, kochają się, mają dzieci, wychowują je, starzeją się i umierają, chowani w kolejnych grobowcach. Z wielkiej metropolii kairskiej kradną prąd i wodę, na co miasto zgadza się, nie bardzo wiedząc, co z tak egzotyczną hubą zrobić. Zgadza się aż tak, że w nekropolii – mieście umartych – pobudowało drogi, pobudowało szkoły, pobudowało na jego obrzeżach osiedla z zaproszeniem skierowanym do mieszkańców miasta umartych. Nie skorzystali, woleli mieszkać w grobach. Też wolalbym, powiedział tamtego wieczoru mój przyjaciel. Nie potraficie sobie tego wyobrazić.

Nie potrafiliśmy, a on opowiadał. Mieszkańcy są ludźmi biednymi – kontynuował – w znaczącej części skrajnie, ale nie tylko. Wyprzedzając bieg zdarzeń: już w mieście umartych, w drodze do rezydencji rodziny mojego nowego znajomego, widziałem nieźle zaopatrzone targowisko, sklep z używanymi skuterami i motocyklami, ze dwie restauracje – wszystko to w otoczeniu grobów, które przez mieszkańców nie są niszczone, o nie! Można było sformułować tezę, że oni wręcz dbają o nie, ponieważ z nich korzystają. Oczywiście, jest tam raczej brudno – po zaułkach poniewierają się blachy i kartony – ale bez przesady. Nawet niektóre reprezentacyjne arterie naszych metropolii potrafią wyglądać podobnie. Mój nowy znajomy przywołał taksówkę, opowiadał dalej profesor, po czym odbyła się pełna gestykulacji dyskusja, z której jakiś konsensus wykuł się w końcu i ruszyliśmy. On się boi wjechać do miasta, wyjaśnił mi w trakcie jazdy znajomy, ale nie szkodzi, zostawi nas blisko i niewiele będzie do przejścia, a spacer też to i owo postawi ci przed oczy. Kopuły i minarety cytadeli Saladyna przesunęły się obok nas, taksówka stanęła przy nieco dziwnym, jakby przypadkowo poskładanym murze, wysiedliśmy. Za rogiem było wejście do miasta – nekropolii – od wejścia wiodła w głąb całkiem szeroka ulica. Chodźmy, powiedział Kopt. Witaj w mieście mojego dzieciństwa, w moim mieście. Dziwne było coś takiego w tym miejscu usłyszeć, bo przecież był on jak najbardziej żywy, a miasto było miastem umartych.

Aleja, jeśli można tak ją nazwać, po obu stronach odgradzona była od terenów grobowych różnorodnymi, kolorowymi i dość chaotycznie stawianymi murkami, odnosiło się wrażenie, że jakby dla zachowania odrębności, czy też intymności poszczególnych kwater. Gdzieniedzie mury otwierały się i można było dostrzec zagospodarowane groby i grobowce. Krzesła rozstawione przy kamiennych płytach, suszące się na sznurach pranie, sterta talerzy przy cebrzyku. Był stały szum: ludzkie głosy, krzyki dzieci w głębi alei grających w piłkę, warkot samochodu, motocykla, muzyka rozrywkowa i jazgot telewizorów dochodzące z różnych stron. Rząd skuterów z wywieszonymi cenami, targowisko, o tym już wspominałem, kontynuował profesor. W prymitywnej, ale jednak restauracyjce, wypiliśmy piwo – o dziwo schłodzone. Bar był oparty o pionowo stojące płyty nagrobne, piwo zostało wyniesione z wnętrza grobowca. Kilku rosyjskich Afrykanów na nasz widok głośno wyraziło swoje niezadowolenie, jeden z nich mnie potrącił. Mój kolega i przewodnik powiedział coś do nich, odniostem wrażenie, że ostro. Ukłonili się i odeszli.

Jeszcze dwa skrzyżowania, na obu rosty rachityczne drzewka, jeszcze kamienna droga i za zakrętem zaułek. Mur nieco wyższy, w nim otwór sklepiony półkoliście, opatrzony dwuskrzydłową bramą, za nią krótka sień z wyłożonymi pod ścianami wytartymi dywanami i podpierającymi te ściany zydłami. Naprzeciwko dziedziniec z sadzawką, w której pluskało się kilkoro dzieci i na wprost jakby mauzoleum, z kolumnadą na froncie, od góry zamknięte przestrzeloną otworami kopułą. Przy sadzawce płyty nagrobne, po obu stronach dziedzińca grobowce, z których wyszło kilka osób, na widok mojego towarzysza natychmiast dających upust radości. Objęcia, poklepywania po plecach, głośne okrzyki, kolejne osoby unoszące z radością ręce do góry. Stałem z boku. Znam nieco język arabski, ale zorientować się w rozgardiaszu powitań było niemożliwe. Wreszcie wszyscy zwrócili się ku mnie, kolega ujął mnie za rękę i przedstawił. Odniostem wrażenie, że miejscowi byli na nasze odwiedziny przygotowani. Obyczajowość tamtych krain zaskakuje za każdym razem – osoby mieszkające na cmentarzu raczej nie będą należeć do elit kulturowych, niemniej grzeczność, delikatność, otwartość na osobę, która obcą już nie jest, bo została przyprowadzona przez ziomka, wszystko to było zaskakujące i zaskakująco miłe. Większość postugiwała się językiem angielskim, nawet jeśli łamanym. Zostałem oprowadzony: mieszkać w tombach grobowych szło całkiem nieźle, te większe były podzielone na pokoje, były tam dywany, łóżka, stoły i stoliki, komputery, nawet rozłożone szachy zauważyłem, łazienka była skromna, ale z bieżącą wodą, wychodek na zewnątrz i w oddaleniu. Zapachy były różne – kamienie, które nas otaczały, pachniały sucho, w tę suchość wkradał się przejrzysty zapach wody z sadzawki, miodową wonią wabiły tamaryszki w kątach dziedzińca, wreszcie były zapachy z paleniska na podeście mauzoleum, tam piekło się mięso i warzywa. Teraz zacznijcie sobie wyobrażać tę ucztę, powiedział profesor.

Biesiada miała miejsce w mauzoleum, kontynuował. Zapewne sala została zaprojektowana z przeznaczeniem na libacje dla zmarłych, spoczywających, jak się zorientowałem, piętro niżej. Kamienny stół z poduchami rozłożonymi wokół, kobiety i mężczyźni wnoszący potrawy, napetniający szklanki i kielichy, coś absolutnie niezwykłego!

Dostawnie dziesiątki misek, miseczek, talerzyków. Makaron z ryżem jada się tam do wszystkiego i nawet jeśli zestawienie wydaje się dziwne, smakuje znakomicie. Większość dodatków oparta jest o ichni odpowiednik bobu – ciecierzycę – przyrządzaną na dziesiątki sposobów. Falafel, smażone kulki ze zmielonej ciecierzycy z czosnkiem, mają smak niezrównany. Podobnie mahshi, mięso mielone, którym nadziewa się bakłażany bądź zawija się je w liście winogron. Grillowana ryba, pamiętam, że nazywali ją buri, niezwykle wyrazista w smaku. Można ją porównać do okonia, ale to odległe porównanie. Gospodarze twierdzili, że ta ryba jest tylko w Nilu. I najlepsze, zamyślił się profesor. Uśmiechnął się, widać do wspomnień. Pieczona jagnięcina z bakłażanami, jarmużem i orzeszkami piniowymi. Niezrównany smak. Zapytałem o przepis i otrzymałem go. Ze dwa razy próbowałem to odtworzyć, ale efekty były odległe od pierwowzoru. Tak, moi drodzy, zamyślił się znowu, tak się jada w mieście umarłych, takie są tam przyjęcia. Tacy tam żyją ludzie, nawet jeśli gwałtowni wobec przybyszów, zazdrośnie strzegący swojego kawałka świata. Wcale im się nie dziwię. Wewnątrz swojej spoteczności są przyjaźni i życzliwi, a teraz, proszę, wyobraźcie sobie dwa miliony przyjaznych sobie ludzi tutaj, gdzie żyjemy. Oczywiście, podjął profesor, jest w tym fascynacja egzotyką, ale do dziś wydaje mi się, że w kairskim mieście umarłych do szczęścia jest jakby bliżej. Dla nich, tam, szczęście jest daleko prostsze.

Grubo po północy zacząłem się żegnać, opowiadał dalej. Zapraszano mnie na nocleg i to gorąco, ale przedziwna atmosfera cieni przesuwających się wokół grobów, migotliwych lampek, arabskich głosów, odległego szczekania psów – wszystko to budziło we mnie niepokój. Niezrozumiały dla mnie, bo rzadko byłem przyjmowany i podejmowany w podobnie otwarty sposób. Przyjaciel mój, teraz już przyjaciel – Daoud – przeszedł do grobowca po lewej, wyszedł po chwili. Taksówka będzie za kwadrans, powiedział. Ta sama, kierowca zostawił mi numer telefonu. Rozpocząłem pożegnania. Daoud odprowadził mnie i potem wracał. On się czuł tutaj u siebie.

Kierowca patrzył na mnie jakby z urażoną ulgą. Wrócił pan, powiedział dość płynną angielszczyznę, a już myślałem, że pana też zjedzą. Jak to – zjedzą, zapytałem zaskoczony. Oni tam jedzą ludzi, wyjaśnił. Może nie wszyscy, zmytygował się, ale Sudańczycy i reszta dzikich z południa to na pewno. Jedzą ludzi, a co im nie smakuje, to sprzedają na targu. Odwiozę pana, tutaj nawet stać to strach.

I to jest koniec mojej opowieści, powiedział profesor. Napijmy się.

Popijaliśmy.

– To ta jagnięcina? – zapytał kolega prowadzący klasę fortepianu w akademii muzycznej.

Profesor chwilę milczał. – Była świetna, wiercie mi i poprzestańmy na tym. Mnie nie chciała taka wyjść, a próbowałem.

Popijaliśmy.

– Stuchajcie – powiedziała rozważna i romantyczna, wówczas jeszcze mi nie towarzysząca. – A gdyby wprowadzić zwyczaj? Ktoś ma opowiedzieć historię. Na każdym spotkaniu, co roku. Krzysztof, ty będziesz następnym. Bardzo jestem twojej historii ciekawa.

Siedemdziesiąt kilka lat mojego życia znaczyło wiele niezwykłych zdarzeń. Piękne kobiety, dramatyczne rozstania i niekiedy równie cudowne powroty. Albo nie, i wtedy właściwie wystarczyło poczekać. Następna piękna była nieuchronna. Często trudna, ale lubiłem trudności. Ciekawiły mnie, czy można je rozwikłać, oswoić. Bywałem porzucany, ale radość życia przeważała za każdym razem. Nie rezygnowałem, być może właśnie dlatego zdarzało mi się tak wiele. A poza tym? Windsurfing przez lata, do sześćdziesiątki. Snowboard i przepastne krajobrazy lodowców przez kilkanaście lat. Kiedy zasypiam, mam je przed oczami – nieugięte w swoim trwaniu. Szybkie samochody. Ostatni z nich, relikw minionej epoki, dwuosobowy kabriolet, dogrzewałem wczoraj rano, ciemną, grudniową porą. Wreszcie samoloty. Pilotowałem je, aby dowiedzieć się, jak się czują ptaki. Wydawało mi się, że pojąłem. Zdarzały mi się rzeczy niezwykłe, odległym ich odbiciem były opowieści, które od ponad dziesięciu lat spisywałem, nie bardzo dbając, co się z nimi potem stanie. Miały czytelników, a we mnie było z tego tyleż radości, co zaskoczenia. A teraz miałem opowiedzieć historię. Rozważna i romantyczna czekała na nią. Mój przyjaciel profesor ustawił poprzeczkę wysoko, ale w żadnym wypadku nie zamierzałem rezygnować.

– To było też na przełomie tysiącleci – rozpocząłem. – Byłem wówczas stałym gościem w Czarnocinie i najpierw muszę opowiedzieć o nim. Miejsce było dość magiczne, a bez magii tej historii nawet polizać się nie da.

Teraz się zamyśliłem. Jak to opisać? – Magia tego miejsca – zacząłem – ogniskowała się wokół olbrzymiego jak na wiejskie warunki budynku, do końca wojny będącego szkołą Hitlerjugend, potem jakimś prewentorium dla dzieci, na koniec ośrodkiem kolonijnym i sportowym, prowadzonym przez pogodną, energiczną, cierpliwą i tolerancyjną parę: Magdę i Pawła. Tolerancyjną dla zdziczałego windsurferów, którzy, nominowawszy siebie „Alien Riders”, tam właśnie załęgali się i urządzili sobie rodzaj ula. Należałem do Alienów – zamyśliłem się znowu. – Miejsce i to, co tam się działo, opisałem w swojej pierwszej powieści. Zamiast próbować po raz kolejny opisać coś, co właściwie jest nieopisywalne... – obejrzałem się na przyjaciela. – Kiedyś ci ją podarowałem, tę pierwszą. Masz ją jeszcze?

Profesor wstał i wyszedł. Wrócił po chwili, podał mi powieść. – Proszę. Mam wszystkie i dbam o nie. Jak mogłeś zapytać w taki sposób, a nie po prostu poprosić? Rozważna i romantyczna położyła rękę na moim ramieniu.

– Centrum naszych wieczornych i nocnych poczynañ był bar, tak zwany stary, bo był jeszcze nowy. Był tam olbrzymi kominek, stół, krzesła i fotele, kontuar, za nim lodówka, kuchenka gazowa, szafki ze szklankami i talerzami... – potrząsnąłem głową. – Nie, nie umiem tego opowiedzieć. Niech mówi powieść – otwożyłem książkę.

– *Bar był w budynku. Budynek, olbrzymi zresztą, był na skraju wsi. Wieś była trochę nad zalewem, trochę koło lasu, a trochę wśród łąk. Był też tam koniec drogi, dalej biegła ścieżka i był rezerwat. Wjeżdżając do wsi, tuż za sklepem skręcano się w lewo, droga prowadziła ze dwieście metrów przez las wprost na spot: wyasfaltowany parking, pas trawy, hangar po prawej, wąska plaża i dalej woda aż po horyzont. Na horyzoncie majaczyły rozmaiteści po niemieckiej stronie, a w połowie odległości tkwiły pylony toru wodnego. Jeśli natomiast za sklepem pojechano się prosto, po przejechaniu pięćdziesięciu metrów trafiato się na ów budynek. Dalej droga zwęzła się nieco, był mostek nad kanałem, szlabanik w poprzek – swoiste drzwi do lasu, i ścieżka. Być może właśnie dlatego – z powodu położenia w miejscu, w którym cywilizacja dość gładko przechodziła w naturę, zwyczajnie tam panujące równie gładko z cywilizowanych przechodziły w bardziej naturalne, w wypadku surferów chciwie wysuwając macki w kierunku zdziczenia – ale pozostając ciągle na skraju cywilizacji i w żadnym wypadku nie rezygnując z jej, tak przecież zabawnych, atrybutów.*

– W żadnym wypadku – zaśmiałem się cicho i przełożyłem kartkę.

– *Są też windsurferzy osobami goniącymi za nowinkami, co niekiedy ociera się o gadżeciarstwo. Ktoregoś razu Krzysztof, wchodząc rankiem do baru po takim właśnie rozrywkowym wieczorze, wśród imponującego chaosu doliczył się pięciu laptopów, sześciu ostro wypasionych aparatów fotograficznych, trzech kamer, siedmiu porzuconych aparatów komórkowych, beładnie porozrzucanej drobnicy w postaci memory sticków, pendrive'ów, cdromów, kabli, ładowarek. Pejzaż wydat mu się malowniczy, odszukał zatem swój aparat i zrobił kilka zdjęć. Poszedł po kabel i przerzucił je od razu na laptopa – swojego. Też był trochę gadżeciarzem. Z ekranu laptopa odkleił wcześniej kilka plasterków ogórka.*

– To też cytat – wyjaśniłem. – Wątpię, żeby udało mi się lepiej to opowiedzieć. Teraz kilka zdań o życiu nocnym.

– *Wieczorem surferzy zazwyczaj urządzają grilla, a potem się bawią. Z reguły są to nieopisane pijaństwa, połączone z dość ekstremalnymi zabawami, wśród których na przykład jazda samochodami bez świateł w środku nocy uchodzi za dość nobliwą. Prowadzą też wówczas rozmowy o posmaku egzystencjalnym, aby*

podkreślić, że ból istnienia nie jest im obcy. Niektórzy są przekonani, że zostali na Ziemię podrzuceni przez ufo, że pochodzą z innej planety i że mają misję. Coś w tym jest być może, bo odloty są częste. Są też dziewczyny; te jeżdżące na desce zachowują się jak windsurferzy, te niejeżdżące zachowują się jak dziewczyny. Wszystkie są bardzo miłe i wszystkie używają zwrotu: spaaadaj, kiedy coś im nie odpowiada. Atmosfera wieczorem i nocą jest niemal olimpijska.

– Nie zwariowałeś od tego? Ach, nie. Zawsze byłeś niezrównoważony – cicho roześmiała się rozważna i romantyczna. Odgarnęła włosy z twarzy.

Profesor nalewał alkohol, reszta czekała.

– Nie – odpowiedziałem. – Jeszcze jeden fragment. O tym, jak to się dla mnie zaczęło.

– Przypomniał sobie, jak przyjechał tu pierwszy raz, ładne parę lat temu, onieśmielony trochę towarzystwem, którego przecież nie znał wtedy, a które sprawiało wrażenie niesamowitej młodości potężnej z niejaką bywałością w surfer-skim świecie. Potem okazało się, że i oni byli nieco onieśmieleni siwym, jak mu potem opowiadano, dorsem, który z fajką w zębach wszedł do wody, odpalił sprzęt i dopiero potem wyrzucił papierosa. Wśród palących stało się to potem pewną manierą, o czym długo nie wiedział. Onieśmielenie minęło, kiedy okazało się, że jeździ normalnie, czasem z przodu, czasem z tyłu, że miewa normalne, czyli odleciane pomysły, że w sumie jest normalny, czyli równie szurnięty jak wszyscy wokół. Niemniej różnica wieku długo nie dawała mu spokoju. Było coś niezwykłego w zgodnym, choć hałaśliwym życiu grupy, w której najmłodszy miał wtedy siedemnaście lat, centrum ogniskowało się między dwudziestym, a jeszcze nie trzydziestym rokiem życia, potem byli Paul i Zwierzak – po trzydziestce, i on – koło pięćdziesiątki. Trochę wygrywał pozakalendarzową sylwetką, a że z miejsca poinformował wszystkich, że siwy jest od czternastego roku życia, równie dobrze mógł mieć lat pięćdziesiąt jak i sto pięćdziesiąt. W każdym razie bawił się świetnie i nie tylko bawił, bo było to cały czas niesłychanie interesujące studium środowiska, w którym dawać i brać oznaczało coś jakby innego niż w świecie zaczynającym się sto metrów dalej.

– To ostatni cytat – powiedziałem. – Teraz będzie serio.

Śmiechy. Talerzyki, widelczyki, makowiec, sernik. Jeszcze trochę alkoholu.

– Ty bywasz serio? – zapytał profesor. – Cały czas mam wrażenie, że tkwisz w jakiejś autoironii, na samego siebie patrząc jak na klauna. Przepraszam cię, ale wrażenie jest nieodparte.

– A w której z nich wtedy się kochałeś? – zapytała szeptem rozważna i romantyczna.

– W żadnej – odpowiedziałem. – Rozpacziałem po wszystkich. Wydawało mi się, że żadna z was już mnie nie nawiedzi, że jestem wyklęty. Było mi źle.

– A teraz? – zapytała. Przesunęła rękę.

- Wolalbym mieć dziesięć lat mniej.
- Ja nie wolalbym. Będziesz opowiadać, czy się pokłócimy?
- Będę opowiadać. Nie będę się kłócić.
- Szkoda – rozważna i romantyczna sprawiała wrażenie rozczarowanej.
- Dlaczego?
- Moglibyśmy się potem pogodzić.
- Przecenisz mnie – mruknąłem.
- Opowiadaj. Wszyscy czekają.

- To był pierwszy weekend lipca. W prognozie pogody wiatr zanikał, ale dla soboty trzymał wyraźne dwadzieścia kilometrów na godzinę, a od tej wartości zaczynała się jazda w ślizgu. Przyjechałem w piątek wieczorem. Nie był to dla mnie najlepszy okres. Świeżo po orzeczeniu separacji z moją ówczesną żoną, w trakcie urządzania nowego lokum dla siebie, zajmowałem się głównie rozpamiętywaniem, cośmy oboje z naszą niemal bajkową relacją zrobili. Bo była bajkowa – może nie nieustannie, ale przez niemało lat byliśmy niestychnie takimi na siebie, otwarci na świat tego drugiego, ciekawi reakcji. Jednocześnie odważni w relacjach, bo czasy były jeszcze odległe od współczesnej swobody erotycznej, a kiedy przyniosłem do domu polaroid, ona natychmiast zabrała go do sypialni. To nie może zginąć, oświadczyła, będziemy kiedyś starzy i będziemy sobie patrzeć. Mam trzy takie polaroidowe zdjęcia i czasami je oglądam. Są brawurowo piękne.

- Masz jeszcze tego polaroida? – szeptem zapytała rozważna i romantyczna.
- Cicho.

- Najgorsze, że córka była przeciwko mnie – podjąłem. – To dawno w niej minęło, ale wówczas bolało. Kilka lat później córka powiedziała do mnie, że nie idę przez życie, a życie przechodzi przeze mnie. To jest w tej powieści – stuknąłem palcami w okładkę – i jest to trafne, bo od zawsze nad walkę przedkładałem swoiste wtopienie się. Wówczas nasza relacja zaczęła się zmieniać, ale to było daleko przede mną. Tamtego piątku jechałem na spot z nadzieją znalezienia się w świecie, w którym o tym wszystkim choć trochę mniej będę pamiętał. Że wiatr, żagiel, otoczenie niczego niezakłamujące, zabawa, nawet jeśli chwilami dzika... Oczywiście było to niemożliwe – sięgnąłem po kieliszek – dlatego nawet jeśli jakoś działałem, to nieudolnie. Nerwowo, z irytacją, ciągle nie mogąc się uwolnić, wejść w radość, w klimat tak, jakby poza spotem nic nie istniało. Chciałem – i nie mogłem. Tamte związki były zbyt... – zastanowiłem się. – Nie, zbyt silne było poczucie bezradności.

Napiłem się. Rozważna i romantyczna patrzyła na mnie z zastanowieniem. Profesor sięgnął po butelkę, dołał mi. – Opowiadaj.

Roześmiałem się. – Niemal jak wtedy. Bo kiedy wjechałem na parking, Ded – niekoronowany przywódca Alienów – wyszedł do mnie z butelką i kieliszkiem.

Mocno, zapytał, czy tak sobie. Mocno, odpowiedziałem. Nalał mi. Masz, i chodź na wściekłe. Wściekłe to był spirytus z tabasco – mieszanka, która by umartego obudziła. Jeśli obudziła, to do kolejnych irytacji. Zdawałem sobie sprawę, że jestem nie do zniesienia. Pływałem w akwarium, w którym wszystkie ryby i rybki tulą się do siebie i zdawałem sobie sprawę, że gryzę. Beznadziejna i nieudolna pirania – skazana na głód, bo nie tego oczekiwała, że ktoś bezceremonialnie przytuli się, obejmie, pocałuje. Nie umiałem sobie dać z tym rady. Byłem wrogiem i świata, i samego siebie – odetchnąłem. – To trochę nieudolne i nieudane, wiem. Nie umiem tego opowiedzieć właściwie. Żadne z egzotycznych zdarzeń tamtego wieczoru, a było ich jak zwykle niemato, nie dało rady wytrącić mnie z ponurego egotyizmu.

Umilkłem i przez chwilę panowała cisza.

– Następnego dnia wiało z pewnością i to od rana. Kłaniające się sosny, na które patrzyłem przez trójkątne okienko spartańskiej sypialni na piętrze, ilustrowały to wyraźnie. W hallu powiedziałem głośno: wieje, zszedłem na parking, wsiałem do samochodu i pojechałem na spot. Wyglądało to przepięknie: długi jęzory wiatru nadchodzące od niemieckiej strony, liźnięcie i zaraz ucisk na twarzy, pierwsze grzywy piany na toczących się ku plaży falach. Za mną hamowały dwa kolejne samochody: Tomi i Olgierd. Telefon, Ded. Wieje? Wieje. Śniadanie? Potem. Jadę.

– Można zapytać – zacząłem znowu – jak po takim pijaństwie można być w stanie wejść na deskę i nie tylko wejść. Pojechać! Mieliśmy to przećwiczone i doskonale wiedzieliśmy, że po pierwszym kwadransie, czasami bolesnym, będzie lepiej i lepiej. Po kilku minutach znosiłem sprzęt na wodę, ale nie byłem pierwszy, Tomi był, jak zwykle, szybszy. Dociągnąłem zamek pianki, to jeden z rytualnych gestów, i pojechałem. Wierzcie mi, kiedy wieje, a surfer wpina się w trapez, wszystko inne dla niego przestaje istnieć. A zwrot przez rufę w ślizgu jest przeżyciem wręcz metafizycznym. Jestem ja, na mieniącym się nieustanną zmianą oceanie, w chybotliwej równowadze przerzucający żagiel i natychmiast startujący do następnej przygody. Była, a jakże! W niegłębokiej wodzie mój kolega zbierał się do startu, a mnie podeszła fala. I przeleciałem nad nim! Wrzeszczeć z radości to za mało, żeby wyrazić siebie. Euforia – to towarzyszyło mi na wodzie, towarzyszyło każdemu z nas. Jadąc z deską ponad wodą, z jedynie statecznikiem w niej zanurzonym, byłem w stanie zapomnieć. Potem zjeżdżałem na plażę, leżałem na piasku i śmiałem się. I startowałem znowu. Opowiadam o tym bo... ach, nie wiem. Koło południa przyjechał Zwierzak. Jechał od rana, z Berlina, bo tam mieszkał i pracował, ale niemal każdy weekend spędzał z nami. Był fenomenalnym kawalarzem, żartownisiem, autorem pomysłów, za której można było co najmniej do aresztu trafić, był Alienem... Właściwie był jak my wszyscy.

Zamyśliłem się.

– Opowiadaj – szturchnęła mnie rozważna i romantyczna.

– Co... – ocknąłem się. – Tak, już.

– Wiatr wiał może do czwartej, w międzyczasie dowoziliśmy z ośrodka prowianty, ze sklepiku piwo. Pajda chleba, parówka w zęby, popić piwem i dalej na wodę. Wykwintne dania nadejdą wieczorem z pewnością, teraz należało łąpać, co się da. I łąpaaliśmy, tego dnia do samego dna wiatrowej studni, jaką był ten odciniek wybrzeża. Po piątej wiatr padł, Ded z Olgierdem i dziewczynami zabrał się w ośrodku za przygotowywanie grilla, ja z Paulem i Zwierzakiem pojechałem do Stepnicy na zakupy. Na głównym zakręcie drogi przez miasteczko jest taki sklep... – zamyśliłem się. – Znali nas tam dobrze i tym razem też, jak zwykle, wychodził mi obajuczeni. – Co jest z tobą, Dok! – zapytał Zwierzak. – Kryzys życia uczuciowego – odpowiedziałem. W Alienach miałem ksywkę Dok. – A potrzebujesz? – Czego? – zapytałem. – Takiego życia uczuciowego – odpowiedział. Zastanowiłem się. Puść to, co ci kradnie spokój – wiedziałem to dobrze. Chciałem... i nie mogłem. – Jedź – powiedział Zwierzak. – Mam coś, może ci utatwi.

Napiłem się.

– Wieczór rozwijał się zgodnie z regułą przyjętą w tej części świata. Sterty sałatek, sterty mięsa, stopniowo dogorywający grill, stopniowo narastająca muzyka. Pamiętam, że tego wieczoru było dużo Santany, a do Santany nie sposób nie tańczyć. Pieprzę to, powiedziałem i odwróciłem się od zgietku rozkwitających dziewcząt. Wtedy Zwierzak powiedział: macie i wyłożył dwie brunatne, żywiczne grudki w torebce. To jest czymś nadziewane, ale nie wiem czym. Podobno świetne. Ziółto było na spocie obecne, czasami coś silniejszego, nikt się nie zdziwił. Wykruszyłem papierosa, skubnąłem haszyszu z grudki, zmieszałem, potem powolutku upychałem mieszankę. Zapatką. W pustym papierosie marki „West Light” – pamiętam. Ktoś jeszcze obok mnie był zajęty. Niektórzy tańczyli, niektórzy spali, czas zaczął się rozciągać. Przypaliłem, zaciągnąłem się, weszła Jola. Była lekarzem na obozowym turnusie, podobnie jak ja była po przejściach. Trzymała się od Alienów na dystans, ale czasami rozmawialiśmy. Zaciągnąłem się jeszcze raz. Musiałem mieć mało pogodny wyraz twarzy, bo zatrzymała się i spojrzała.

– Chcesz? – zapytałem i podałem jej jointa.

Wzięła, zaciągnęła się. – Ciągłe nie możesz?

Pokręciłem głową, rozłożyłem ręce.

– Dok, idź na spacer – powiedział z kanapy Ded. – Długi, żebyś siebie z siebie wywietrzył.

– A wiesz?

Jola położyła mi rękę na ramieniu. – Idź – powiedziała. – Może to dobre. Jakbyś się zgubił, to dzwoń.

– Wrzuciłem papierosy i komórkę do plecaka, zaciągnąłem się jeszcze raz i wyszedłem. Kopuła nieba była niezwykła. Galaktyki, odległe i te bliskie, a dostrzegąłem i te, i te, w niesamowitej głębi nad głową, obracały się z barokowym dostojeństwem. Gwiazdy błyskały, ciągnęły się za nimi warkocze, widowiskowe były ich bliskie spotkania. Niekiedy z nieba spadały meteory, płonęły ogniska na księżycu. Zaciągnąłem się znowu. Przez otwarte okna baru wybiegły jaszczurki i ukryły się w trawie. – Dajcie spokój – powiedziałem. – Wezmę rower. Nie kręćcie się pod kołami, kochane.

Cichy śmieszek, tuż przy mnie. Nie zareagowałem.

– Stałem na plaży i patrzyłem w niebo. A tam uwodził karnawał, feeria kwitnących gwiazd. Były jak kwiaty, rozsypujące swoje nieprawdopodobne barwy. Nigdy takich nie widziałem. Granatowo-purpurowa, albo błękitno-pomarańczowa – na przykład. Spadały na mnie z tych nieprawdopodobnych głębin, obejmowały, wracały do nieba. Przez ledwo słyszalny szum wiatru co jakiś czas przebijał się niestychanie niski, zwolna wibrujący dźwięk. Drżenie świata? Obiema rękami trzymałem kierownicę roweru. Dotknąłem dzwonka i wówczas z głębi zatoki rozległy się dramatyczne takty „Arii królowej nocy” z „Czarodziejskiego fletu” Mozarta. Nigdy wcześniej i nigdy później nie słyszałem sopranu tak czystego, takiej giętkości i mocy. Wsiadłem na rower i pojechałem.

– Dokąd? – zapytał znany na Pomorzu historyk mediewista. – Bo brzmiało to, jakbyś... – nie dokończył.

– Powoli – napiłem się odrobinę, odstawiłem kieliszek. – Miało tak zabrzmieć.

Rozważna i romantyczna spojrzała na mnie z rozbawionym niedowierzaniem.

– Nie utopiłem się, przecież widzisz – uśmiechnąłem się do niej. Jeszcze chwilę milczałem.

– Kiedy stoi się na plaży w Czarnocinie i patrzy w głąb zatoki, na lewej krawędzi pola widzenia majaczy Trzebież. Jedna ze stynniejszych przystani żeglarskich, urokliwe miasteczko... Za nim jest tylko Nowe Warpno i potem już Niemcy. Przy korzystnym wietrze można do Trzebieży na desce dojechać, to jest sześć, może osiem kilometrów, a po drodze jest jeszcze wysepka o nazwie Chętminek. Od brzegu chaszczce niemal nie do przebycia, dalej zarośla kłębiące się wśród drzew, dawny domek latarnika, nikt tam dzisiaj nie mieszka. Parę razy myślałem o przejechaniu na desce na drugą stronę... – zawałem się. – Teraz to pragnienie stało się nieodparte. Siadłem na rower i przy koloraturowym sopranie urzekająco wyśpiewującym nienawiść do Sarastra wjechałem w zatokę.

– W akwalungu? – zapytał profesor.

– Nie – odpowiedziałem. – Po prostu pojechałem.

Wszyscy czekali.

– Początkowo jechałem wzdłuż wybrzeża i nawet niespecjalnie zdawałem sobie sprawę, że jadę po wodzie. Mrok sitowia po lewej, daleki brzeg i pylony toru

wodnego po prawej... Natomiast kosmiczna orgia nad głową i jej odbicie w tuskowanej wodzie, mieszające obrazy, mieszające kolory, zmieniające obraz znad głowy w rozbitą na miliony kropelek wizję, którą miałem pod stopami... Zatrzymałem się. Za sobą po lewej miałem Stepnicę, trochę światła w oddali. Ja, siedzący na wodzie i rower obok mnie, było to cudowne absolutnie i nie zamierzałem zastanawiać się – jak? To nie była moja sprawa. Woda pode mną poruszała się, pamiętam, że trochę zwymiotowałem. Wyciągnąłem papierosy i teraz już nie pamiętałem, czy wcześniej przygotowałem kolejnego jointa. Być może tak, w każdym razie zapaliłem i wtedy rzeczywistość wybuchła. Zostałem zabrany w kosmos. Trzymałem się kurczowo powierzchni, trzymałem się wody, teraz twardej i elastycznej, rower leżał obok mnie, kołysał się, widziałem to. A po chwili zostałem zabrany w kosmos...

– No... – rozważna i romantyczna była niepewna. – No, dobrze. Dalej.

– Nie ma tam niczego, czego byśmy nie wiedzieli – powiedziałem. – Już teraz nasza wiedza jest wystarczająca, takie odniosłem wrażenie. Postępując tak, tworzymy metamorfozy. Postępując inaczej, niszczymy je. Kosmos jest schyłkowy, powiedział mi to. Nie pytajcie, w jaki sposób, ale powiedział. Kosmos jest osobą, chce trwać, podoba mu się to, że istnieje. Nasze relacje albo go tworzą, albo niszczą. Jest stary, my zdarzyliśmy się trochę za późno. Ale ponieważ cały czas dążymy, żebyśmy powstał, my albo ktoś podobny, to uzależnił od nas swoje istnienie i patrzy z żalem. Bo miało się zdarzyć coś innego. Jest rozczarowany, zaniepokojony nie. Bo może odejść, następny jest nieuchronny. Tylko nie wiadomo, czy z nami. A my w nim więcej niszczymy, niż tworzymy. Rzeczy nie mają znaczenia, powiedział, wszystkie wasze rakiety i bomby atomowe. Nie ta skala. Natomiast każdy nasz drobny krok, krok każdej i każdego z nas, jest albo na tak, albo na nie. I tych na nie jest coraz więcej, a on – Kosmos – nie chce umierać, tak powiedział.

– Krzyś – powiedziała cicho rozważna i romantyczna. – Opamiętaj się.

Opamiętałem się.

– Opowiadał to zdarzenie tak, jak je pamiętam. Nie fantazjuję, nie ubarwiam. Cały czas mam świadomość, że jest w tym haszysz i coś, o czym Zwierzak nie wiedział, czym jest. Niemniej było to wszystko absolutnie realne. Jak to, że teraz opowiadam. Nie wiem, jak to się stało, że jechałem rowerem po wodzie, nie wiem, jak widziałem te wszystkie galaktyki, nie wiem, dlaczego biegały wokół jaszczurki i przede wszystkim nie wiem, jak to możliwe, że rozmawiałem z kimś, kogo można nazwać... Nie, kogo uważałem za Kosmos. Rozmawiałem z nim i nawet jeśli dziesiątki razy przepowiadałem sobie w pamięci tę rozmowę, głośno mówię o niej po raz pierwszy. Ona jest naiwna, ta rozmowa, może nawet prymitywna, ale była taka, jak wam teraz opowiadam. To było ponad dwadzieścia lat temu, a wystarczy, że zamknę oczy. Możecie mi wierzyć lub nie, ale ani wasza wiara, ani niewiara nie wpłynęły na fakty tworzące to zdarzenie. Ja ocknąłem się z tego na czarnocińskiej plaży, następnego dnia i z gigantycznym kacem.

Chwila ciszy.

– Podniosłem rower i pojechałem na Chetminek. Nieprawdopodobna głębia otwierała się nade mną, jej odbicie, w postaci feerii kolorów miałem pod kółkami roweru, skręciłem bardziej na prawo. Bo dlaczego nie w nieznanne, nigdy dotąd nie zaznałem takiej wolności. Podłoże stało się bardziej wyboiste, czułem każdą nadchodzącą falę. W urzekającym przejrzystości blasku olbrzymiego księżycza zakręciłem wokół czerwonej boi, wjechałem na plażę przy domku latarnika. Byłem trochę zmęczony. Odłożyłem rower, położyłem się na piasku, ręce podłożyłem pod głowę, widowisko uspokajało się, choć ciągle miało tę nieprawdopodobną głębię i obracające się w różnych płaszczyznach galaktyki o zjawiskowych kolorach. Trochę czułem się jak noworodek – świat był mi zupełnie nieznan, a teraz go poznawałem. Czułem się też... – zastanowiłem się – bezludny. Wyspa była bezludna i ja razem z nią. Moja bezludność miała znaczenie o tyle, bo przez chwilę zastanawiałem się nad nią, że byłem bezludnym człowiekiem, bez samego siebie w sobie. A kto tam był, nie wiedziałem. Ktoś inny, może jakiś inny ja. Bezludny domek latarnika tkwił w mroku za mną i nagle wbiegły tam wszystkie jaszczurki. – To już zostańcie – powiedziałem. – Dziękuję za towarzystwo.

Księżyc znowu ściemniał i znowu zapłonęły na nim ogniska, a ja postanowiłem przejść do Trzebieży piechotą. Od Chetminka nawet dwa kilometry to nie były i tylko cesarskie okręty mogły mi zagrozić, płynąc nocą od morza do warowni. Miałem nadzieję, że albo nie płyną nocą, albo zdotam przed nimi umknąć. Wszedłem na wodę i powędrowałem w stronę świateł na drugim brzegu. Tytanik jednak nadpłynął, migocząc pochodniami na niedosiężnych wysokościach. Usiadłem na fali i patrzyłem, jak monstrum mnie mija. Dobięła mnie muzyka trąb i kotłów. Kapitan wyszedł na skrzydło mostka i rzucił mi z wysokości butkę z serem. Byłem głodny, jadłem ją, kiedy czarny kadłub Tytanika mijają mnie, siedzącego na fali i jedzącego butkę. Kiedy oddalił się, znowu poszedłem. Było blisko, coraz bliżej, wyszedłem na plażę, położyłem się na piasku i zasnąłem. Kiedy zbudziłem się, było dość jasno, piasek był wilgotny, a nade mną stał policjant.

– Co pan tutaj?

– Przyszedłem... – obawiałem się powiedzieć za dużo. – Chyba coś mi wyleciało z pamięci.

– Dokumenty?

– Nie mam.

– Co zrobimy?

– Zaraz... – próbowałem zebrać myśli. Przypomniałem sobie, co powiedziała Jola: gdybyś się zgubił. – Mam telefon. Zadzwońię do osoby, która jest wiarygodna i ona panu wyjaśni. Mogę?

– Proszę.

Trzy sygnały. – Gdzie ty jesteś, gdzie zginąłeś, wszyscy się niepokoiimy. Krzyś? Jest piąta, gdzie byłeś tyle godzin?

– Na spacerze – odpowiedziałem. – Jolu, mam prośbę. Tutaj jest pan policjant, a ja nie mam dokumentów. Powiedz mu, proszę, kim jestem, a ja potem potwierdzę. Oddaję telefon.

– Czekaj! A gdzie to jest: tutaj?

– W Trzebieży.

– Dżizas – Jola westchnęła. – Dobra, oddaj ten telefon.

Policjant słuchał, zadawał pytania, ja czekałem. Jeszcze nie zastanawiałem się nad wyjaśnieniem tego, co się zdarzyło. Skończył, oddał mi telefon.

– Ta pani jest lekarką?

– Tak.

– Pan też jest lekarzem?

– Tak.

– Jak pan się tu dostał?

– Nie wiem – rozłożyłem ręce.

– Panu też by się lekarz przydał – mruknął policjant. – Da pan radę wrócić?

– Tak.

Przerwałem opowieść po raz kolejny, sięgnąłem po koniak, rozejrzałem się. Wszyscy czekali na ciąg dalszy. Niektórzy z wyraźną fascynacją w spojrzeniu, niektórzy z uśmiechem niedowierzania. Wcale im się nie dziwiłem. Zacząłem znowu mówić. O tym, że do dzisiaj nie rozumiem, co się wówczas wydarzyło, bo nawet jeśli był to ciąg halucynacji po haszyszu zmieszonym z nieznanym narkotykiem, to w jaki sposób znalazłem się w Trzebieży? Policjant na odchodnym podał mi numer telefonu do centrali taksówek, bo tylko tak mogłem wrócić. Zdolność chodzenia po wodzie zniknęła, co sprawdziłem. Ale przynajmniej wykąpałem się i otrzeźwiałem jeszcze bardziej. Tutaj potrzebne jest kilka uwag terenowych. Czarnocin i Trzebież leżą na przeciwnych brzegach zalewu i jeśli w linii mniej więcej prostej, biegnącej po wodzie, dzieli je raptem parę kilometrów, to podróż łądem z Trzebieży do Czarnocina z konieczności biegła przez najbliższy most przez rzekę, a ten był w centrum miasta, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Plus drugie pięćdziesiąt i razem robiło się sto kilometrów, a to mało nie było. Czyżbym przejechał tę trasę rowerem, halucynował po drodze, rower gdzieś porzucił i doszedł do Trzebieży? Sto kilometrów, w niemałej części przez ruchliwe miasto, po narkotykach? Próbowiałem znaleźć racjonalne wyjaśnienie już choćby dlatego, że przyjęcie tych zdarzeń takimi, jakimi je pamiętałem, było absolutnie pozaracjonalne. Zadzwoeniłem do Joli jeszcze raz.

– Wrócę taksówką.

– Nawet myślałam po ciebie pojechać – powiedziała Jola – ale to koszmarnie daleko. Poza tym ten rower. Do mojego samochodu on się nie zmieści.

– Nie mam roweru – odpowiedziałem. – Zostawiłem go.

– Lepiej go znajdź, bo będzie awantura. Gdzie go zostawiłeś?

– Na Chełminku.

– Gdzie??!

– Na Chełminku, przecież mówię. Przy dawnym domku latarnika.

Cisza, jak we wnętrzu dzwonu tuż przed uderzeniem.

– A jak tyś go tam zaciągnął? – w pytaniu wyczuwalna była niepewność. Coś jakby otwarcie drzwi do otchłani i co tam takiego jest.

Zastanawiałem się, ile mogę Joli opowiedzieć. W zasadzie... – Pojechałem na nim – powiedziałem. – Pojechałem rowerem na Chełminek, przez zatokę. Potem zostawiłem tam rower i piechotą poszedłem do Trzebieży. Nie wiem jak i nie wiem dlaczego, ale tak było. Nie wymagam, abyś mi wierzyła. Rower jest na Chełminku, przy domku latarnika.

– Dobrze – Jola chwilę milczała. – Wracaj. Może potrzebny ci będzie psychiatra, albo neurolog. Wolabym, żebyś już tu był. Przynajmniej byłbyś pod jakąś ochroną.

– Dwie godziny – odpowiedziałem. – Co najmniej tyle to zajmie. Ale wracam.

Rozważna i romantyczna skubała rękaw mojej marynarki i uśmiechała się.
– Chciałabym tam być – powiedziała cicho.

– Wróciłem taksówką – kontynuowałem. – Po ponad dwóch godzinach stałem na schodkach do baru, w miejscu, w którym zaczął się mój nocny spacer. Było jasno i żadne jaszczurki nigdzie nie wbiegały, ani wybiegały. Poza tym było spokojnie i pustawo. Jola pociągnęła mnie do swojej lekarskiej klitki, jeszcze wszedłem do baru, gdzie Olgierd próbował ogarnąć wczorajszą imprezę. Był sam.

– Reszta na wodzie?

Popatrzył na mnie dziwnie, pokręcił głową. – Za słabo wieje. Wzięli tódż i poptynęli na Chełminek.

– Po co?

Prychnął. – Po rower. Ded się wygłupia, jak zwykle. Podobno ufo cię porwało.

– Powiedziałaś im? – odwróciłem się do Joli.

Rozłożyła ręce. – Chodź do gabinetu.

– Zaraz przyjdę – na zabałaganionym stole dostrzegłem torebeczkę, którą przywiózł Zwierzak. W środku potyskiwały resztki. Dyskretnie ściągnąłem ją, ukryłem w dłoni. Idąc do gabinetu Joli, starannie ją zwinąłem i schowałem do kieszeni.

Jola zbadała mnie metodycznie. Żrenice, odruchy, zbornosć, objawy oponowe. Rozmawialiśmy spokojnie, zauważyłem, że w ogóle uspokoiłem się. Nie myślałem z aż takim dramatyzmem o tym, że życie mi się rozleciało, a jeśli już, to posklejam je, a przynajmniej dam sobie radę. Na koniec Jola z szuflady wydobyla alkomat, zmieniła ustnik.

– Dmuchnij.

Dmuchałem.

Popatrzyła z niedowierzaniem. – Dmuchnij jeszcze raz.

Dmuchałem jeszcze raz.

– Jesteś trzeźwy – stwierdziła Jola. Popatrzyła na wskaźnik jeszcze raz. – No, trzeźwy.

– Prawie nie piłem wczoraj.

Jola usiadła. – W odróżnieniu od reszty. Tu się wczoraj wyrabiało... – nie dokończyła, wpatrzyła się we mnie. – Co to było?

– Nie wiem – odpowiedziałem, zgodnie z prawdą. – Opowiedziałem ci to wszystko tak, jak się zdarzyło. Jest to niemożliwe, wiem. Ale ja to przeżyłem, nocą, na zatoce. Nie przejechałem stu kilometrów do Trzebieży na rowerze i nie halucynowałem po drodze. Byłbym się parę razy zabił, tak sędzę. Jest jeszcze... – zamyśliłem się.

– No?

– Mógł mnie na narkotycznym haju ktoś wywieźć do Trzebieży i tam zostawić. A ja sobie po drodze wyhalucynowałem to, co pamiętam.

Jola zaśmiała się. – Wczoraj nie było tu nikogo, kto by cię gdziekolwiek wywiózł. Chyba że ufoludki. Poczekajmy na ten rower.

– Oby go tam nie było – mruknąłem.

Był. Nieśli go jakby w triumfie: Ded, Zwierzak, Paul i Tomi. Leżał na plaży przy domku latarnika, powiedział Ded. Znalazłeś się w rękach sił obcych i niezrozumiałych. To były istoty z innej galaktyki. Zmieniły ci grawitację, pojechałeś i zobaczyłeś. Ale dlaczego ty?

Też nie wiedziałem. Parę miesięcy minęło, zanim ta historia przycichła, choć na zawsze pozostała kompletnie niezrozumiałym zdarzeniem. Spotykaliśmy się potem wiele razy, urządzaliśmy podobne wieczory, przywoziliśmy na te spotkania niejedne mieszanki, ale coś takiego nikomu z nas nie zdarzyło się już nigdy. To, co przeżyłem, powoli przechodziło do kategorii zdarzeń z innego świata, a że świat w Czarnocinie był inny niż gdzie indziej, być może od niego do galaktycznych tripów było po prostu bliżej?

Profesor żegnał nas wylewnie. – Może w okolicach Wielkanocy kolejne spotkanie? I koniecznie przygotuj następną opowieść. Nie wierzę ci ani trochę, że to przeżyłeś – zastanowił się. – Ale dlaczego nie? Skoro to takie zajmujące? Przecież nie żyjemy w jakichś grobowcach. Szczęśliwego Nowego Roku wam życzę.

Rozważna i romantyczna spojrzała na mnie. – Taksówka czeka. Jakby pod miastem umarłych, ale natchnąłeś mnie. Jeszcze żyję.

Wracaliśmy razem, każde ze swoimi nadziejami na niesamotność. Oboje patrzyliśmy przed siebie, bardzo starannie. Trochę inaczej było z rękami. Rozważna i romantyczna delikatnie ścisnęła moje palce.

– Ty masz jeszcze tę torebeczkę?

– Tak.

– I... coś w niej jest?

- Odrobina.
- Próbowałaś?
- Nie.
- A... - zawahanie w jej głosie. - A mógłbyś mnie zaprosić na spacer?

05.01.2023. godz. 20.14.

Wstęp 10.09. 2023.

JERZY ALSKI: pisarz, felietonista, kompozytor, myśliciel. Członek ZLP. Miłośnik życia i uważny obserwator ludzkiej natury. Mieszka w Myśliborzu. Wydał kilka powieści, m.in.: *Za dużo miłości* (2011), *Prezent* (2012), *Mowa pogrzebowa* (2017), *Ekosystem* (2019), *Zachwyć* (2021), *Lot* (2021), *Kobiety i Grześ* (2022). Alter ego uznanego lekarza Krzysztofa Ansilewskiego.



REFLEKSY I REFLEKSJE

Tomasz Korbanek

Miedziane stońca pętgają w szybach
blokowisk,
pomiędzy placem
zabaw a parkiem
szukam spokoju, gram
w chowanego;
wygaszam ekran komórki, moszcząc
myśli w hamakach
klonów i brzoź,
nieosiągalny
od teraz aż
do odwołania
zmieniam swój stan
skupienia.

TOMASZ KORBANEK: poeta. Gorzowianin. Przez lata członek nieformalnej grupy Poeci Okrągego Stołu. Zadebiutował w „Pegazie Lubuskim”; jego wiersze ukazały się też w antologii *Słowa rodzq wiersz* (2010). W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągego Stołu*, ukazał się jego tomik *Krajobraz z brzoźq*.



NARODZINY

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Było w niej coś zaskakującego. Niby najzwyczajniejsza na świecie i trudno było zwrócić na nią uwagę, jeśli zmysł wzroku nie był dla kogoś najważniejszym ze zmysłów, a jednak odcinała się od rzeczywistości. Kolorem, swobodą i wdziękiem, z jakim leżała odłogiem. Jakby ziemia stała się albinosem... Albo raczej, jakby ktoś ją wyjąłowił. Wśród tej śmiesznej tąki nadrzeczej, tego nieużytku, w jakiejś odległości od brzegu, na tyle bezpiecznie ułożona, by nie przykryła jej nawet woda roztopów – leżała sobie żółta wyspa piachu. U jej stóp płynęły wodorosty rachitycznej trawy. Umykały w dal smagane wiatrem okręciki drobnych różowych kwiatków. Ośmiornice szarych ostów bezskutecznie próbowały wdrapać się na stromiznę tej wyspy.

Leżała sobie żółta wyspa piachu.

Nikt jej nigdy tutaj nie przywiózł i nie wysypał. Nie stanowiła produktu ubocznego w procesie budowy jakiegokolwiek domu. Nie naniosiła jej rzeka, która i tak tutaj nigdy nie podpływała.

Leżała sobie żółta wyspa piachu.

Właściwie to nikt jej nie lubił.

Wzbijająca się ku niebiosom biedronka, przyciężkawa i nieporadna, nigdy nie doleciała do Boga ze swym wstawiennictwem. Malutkimi łapkami coraz bardziej rozpaczliwie wkopywała się w piach, ztorzecząc i pomstując, więc nigdy nie dostąpi zbawienia. Żółta wyspa piachu pochowała ją na wieki. Malutki kopczyk z zakopaną biedronką rozdmuchał wiatr, a pokruszone skrzydełka leciały daleko – ostatecznie wywalając się z prochu.

Mrówki też próbowały. Chciały spożytkować żółtą wyspę na mrowisko. Złośliwie zasypywała im korytarze, uderzając głazami kamyczków w niewinne kropki mrówczych głów. Uśmiercała je po kolei serią z piaskowego karabinu, a tym, które uparcie budowały labirynty korytarzy, zasypywała drogę odwrotu. Niczym szaniec broniła dostępu do siebie. Mrówki zaczęły omijać ją z daleka, traktując jak cmentarzysko swych siostr, które już w wieczności, niczym Syzyf, bezskutecznie przenoszą sterty kamyczków, a praca ich nie ma końca.

Leżała sobie żółta wyspa piachu.

Nie była niczym domem. Nikt nie przebijał jej korzeniami i nie truł żywicą. Nie wiadomo, co działało się z wodą, którą piła łapczywie i zawzięcie. Nie wiadomo, do czego chciała ją spożytkować. Jeszcze na deszczu, a już znowu była całkiem sucha. Po raz kolejny z nadzieją wypatrywała deszczowych chmur.

Raczej wołała chmury. Z nimi nie musiała, jak ze słońcem, walczyć o prymat. Żółty z żółtym gryzł się niemitosiernie. Nie masz prawa być żółtym, jeśli chcesz stać się ulubieńcem słońca. Dla słońca żółte jest już wypalone. A wypalone to takie, które się skończyło.

Skończona żółta wyspa piachu, o prawie idealnej linii brzegowej, paradoksalnie jednak wzrastała pod słońcem. Bo przecież ktoś ją karmił i poił. Ktoś musiał dostarczać tego żółtego pokarmu, którym napętniał się jej brzuch. To nie tylko przetrawione biedronki i zagrzebane we wnętrzu mrówki. To nie tylko chropowate łapy ostów, które próbowały ją pochwycić i zdobyć. Był taki jeden bocian, który zapadł się czerwoną łapą do jej wnętrza, ale nigdy nie zdradził tajemnic. Nigdy też nie przyleciał więcej na tę łąkę, a nawet do tego gniazda.

Traciło się przekonanie o symbiozie w naturze, obserwując żółtą wyspę piachu, która nikomu nie była potrzebna. Nawet gdyby mysz polna chciała wybudować sobie norę... Budowanie na piasku pozbawione jest sensu. Mysz była o tym głęboko przeświadczona.

Leżała sobie żółta wyspa piachu.

Ale pewnego razu stała się jeszcze bardziej brzemienista. Na szczycie ukazał się większy nieco kopczyk niż taki codzienny – z pogrzebaną w środku jeszcze jedną biedronką. Rósł i rósł. Dzień cały. Jakby zazdroszcząc słońcu, wykształciła w swym wnętrzu promień, który wystać chciała tam – wysoko – do nieba – do słońca, aby stoczyć nierówną walkę.

Dzień drugi przyniósł ześlizgiwanie się piachu z kopczyka na szczycie.

Trzeciego dnia wyspa zaczęła usychać z pragnienia. Stała się jeszcze bardziej żółta i błagała o deszcz.

Czwarty dzień sprowadził wiatr. Nakazał kłaniać się w pas przed wyspą rachitycznym ostom, kłaniać się w oczekiwaniu na cud.

Dzień piąty uposażył wyspę piachu w umiejętność wydawania dźwięków. Sypała piachem z szumem i szelestem, szmerząc i sycząc.

Dnia szóstego widać było czerwoną kroplę krwi na szczycie – zadośćuczynienie biedronkom za żywienie się nimi przez lata.

Czerwony mak przyszedł na świat o brzasku. W południe, jeszcze nieświadomy swego piękna, nieruchomo spoglądał w niebo...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).

WIERSZE**Aneta Długotęcka****ciężko**

znów ciężko znormalnieć
podwinąć rękawy do pierogów
ubarwić korzenne ludki
choinki gwiazdki
z kątów kurz przegonić pora
świerk mruga zadziornie
dziękuję za świąteczny strój
kolędy w radiu dobijają uszy
lista zadań czeka w kolejce
muszą odstać swoje
przed nimi wciskają się
leniwe plany

świąteczny sprint

jak szczury w wyścigu
biegamy nawet przed świętami
ostrzymy zęby na okazje
trzeba kupić najmodniejsze prezenty
zastawić stół obficie
sianko pod obrusem to rzadkość
na przykryciach coraz częściej królują łososie
karp jest zbyt tłusty
w okresie mody na fit i light
kolędy śpiewają gwiazdy w TV
nam lepiej wychodzi karaoke
niektórzy nawet myślą święta
pogoda w tym pomaga
szkoda tylko dzieci czekających na śnieg
do kościoła nie mają z kim pójść
liczy się tylko wolne od pracy
tych kilka godzin bezmyślnego siedzenia

wieczorem

wieczorem
przychodzi do mnie ciepło
zwija się w kłębek
pomiędzy zgiętymi kolanami
a klatką
pazurami wczepia się
w pusty brzuch
słyszysz bicie serca?
może miarowe wznoszenie
przychodzi
i odchodzi
bez zawołania
nigdy nie wiesz
na jak długo

ANETA DŁUGOŁĘCKA: fotografka i poetka. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z RSTK i nieformalną grupą fotograficzną fCzasowicze. Przez lata należała też do grupy Poeci Okrągłego Stołu. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stołu* ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*.



SWOJSKIM SPOSOBEM

Janina Jurgowiak

Było to w czasach nie tak odległych, a jednak dalekich, kiedy nie było komputerów, telefonów komórkowych, a zdobycie takiego zwykłego było nad wyraz trudne. Uciążliwość ta polegała na oczekiwaniu w nieskończenie długiej kolejce, która jakoś dziwnie prawie się nie skracała, a to z powodu spryciarzy, którzy umieli sobie „załatwić” to чудо, przy pomocy którego można było rozmawiać z kimś mieszkającym na przykład w Gdańsku. A jak się miało dużo czasu, dzięki panienkom w Centrali, można było potążyć się nawet z Nowym Yorkiem. Otóż taki szczyt techniki zapragnęła mieć pani Irena. A że była osobą energiczną, przedsiębiorczą i zdecydowaną, przystąpiła do działania. Oceniała swoje walory charakteru, zwłaszcza temperament, dar przekonywania, serdeczność i wygadanie. Jak dotąd rubaszny język i bezceremonialny sposób bycia otwierały jej wszystkie drzwi. Pani Irena była w obojętności na wskroś swojską kobietą. Zaopatrzywszy się w koniak o cesarskiej nazwie i trzy pęta swojskiej kiełbasy, ignorując dociekliwą rejestratorkę, wtargnęła do gabinetu i zdębiała, bowiem tabliczka na drzwiach głosiła DYREKCJA, a tu jeszcze jedna przeszkoda. Sekretarka.

- Pan Dyrektor pani nie przyjmie – oznajmiła.
- Kochaniutka, co nie przyjmie – pani Irena w mig odzyskała rezon. – Co nie przyjmie? Przyjmie, mnie przyjmie.



– Nic z tego. Teraz ma naradę z gośćmi z Warszawy – ściszyła głos. – Niech pani przyjdzie jutro. I dodała całkiem już głośno: - niech pani stąd wyjdzie, bo wezwę straż.

– Pożarną? – zażartowała pani Irena i rozsiała się na krześle dla petentów. – No to ja poczekam. Co tam jutro... Nie dokończyła, bo niespodzianie otworzyły się drzwi osobistego gabinetu Pana Dyrektora, a z nich kolejno wychodzili, ściskając dłonie goście z Warszawy. Zdawkowe słowa pożegnania przerwał radosny okrzyk pani Ireny:

– Pan dyrektor! Kochaniutki! Musisz mi załatwić telefon. Tylko nic nie mów, ja wiem, że potrafisz i możesz. Jak nie ty, to kto? Szybko, bo to bardzo ważne. Ja muszę. Ty musisz... Twoja córka, moja córka, sam wiesz, ta sama szkoła, jedna klasa... – lawina słów niemożliwa do zatrzymania. Goście pośpiesznie opuszczali gabinet, sekretarka to wypychała panią Irenę do wyjścia, to wypychała „prezenty” do jej torby, które nie wiadomo kiedy znalazły się na biurku, Pan Dyrektor głośno protestował. Krzyki sprowadziły woźnego, który miał stać na straży powagi Urzędu, a która to powaga została naruszona przez jakąś niezrównoważoną petentkę. Pani Irena rzuciła się do ucieczki przed zasapanym woźnym. Pozostała po niej uwodzicielska woń swojskiej kielbasy.

A telefon pani Irenie przyznano. Sam Pan Dyrektor podpisał, co trzeba. Nie mógł ryzykować ponownej kompromitującej wizyty swojskiej baby ze swojską kielbasą.



TORBA

Ferdynand Głodzik

Przymuszony przez rodzinę uległem w końcu atmosferze przedświątecznej zakupowej gorączki. Nie przepadam za tą ciżbą ludzi i drucianymi wózkami, za długimi kolejkami do kasy, za tym dobijaniem się do regałów wiecznie obleganych przez pazernych i ciekawskich.

Nie było jednak rady. Trzeba jak co roku przejść ten męczący rytuał.

Pierwsze wrażenia tłoku objawiły się już na parkingu.

Przed laty powiadano, że aby skomplikować ludziom życie, wystarczy im ponumerować siedzenia w autobusie. Nieraz przekonywałem się o trafności tego porzekadła, widząc tęgie kobiety przepychające się w obie strony w wąskim przejściu między siedzeniami z wypchanymi do granic zdrowego rozsądku torbami podróżnymi. To jednak było dawno. Od tego czasu wymyślono znacznie okrutniejsze sposoby dręczenia ludzkości.

Takim wymysłem jest plac przeznaczony zarówno do ruchu pieszego, jak i dla samochodów. Koszmarny parking przed marketem. Ani kierowcy, ani piesi nie czują się na nim swobodnie, a do tego wzajemnie sobie przeszkadzają. Gdy usiłowałem jakoś dotoczyć się do wolnego miejsca na parkingu, przede mną zaparkował spory samochód dostawczy z krzykliwą reklamą wymalowaną na bokach i ekscytującą nazwą firmy: „Bies Straganow!”

Z samochodu wylał krępy, krótko ostrzyżony facet z komorą przy uchu, w rozpiętej skórzanej kurtce, z której wylewał się spory brzuch.

Lawirując między regałami, powoli wypełniałem listę zakupów.

W tasiemcowej kolejce do kasy, kilka osób przede mną, ustawił się rzeczony Bies Straganow z wózkiem wyładowanym czubato całymi pakietami towarów, którym nie miałem ochoty bliżej się przypatrywać.

To dziwne, że czas płynie najwolniej wtedy, gdy za wszelką cenę chciałoby się go skrócić. Na przykład w kolejce do kasy. Pokrętny wąż kolejkowiczów, garbaty wyładowanymi czubato wózkami topniał powoli.

Znużona kasjerka wolnymi, choć regularnymi ruchami przesuwiała kolejne towary przed czytnikiem. Jakaś starsza kobieta zapłaciła rachunek i pośpiesznie ładowała swoje cenne zakupy do cienkiej torby foliowej.

Gdy odeszła od kasy, torba pękła pod ciężarem zawartości, wypadł z niej jakiś stoik z gulaszem czy klopsikami i rozbił się o podłogę.

Bies Straganow, który właśnie przeładowywał swoje zakupy ponownie do wózka, pośliznął się na zawartości rozbitego stoika i runął jak długi na ziemię, uderzając po drodze masywną głową w barierki.

Włączył się system alarmowy, podbiegł ochroniarz z zamiarem udzielenia pomocy czerwonemu ze złości delikwentowi.

Zawsze mnie zastanawia, jakim cudem te cienkie foliowe torby, które nie mogą udźwignąć nawet kilku butelek czy stoików, mają być najtrwalszym geologicznym świadectwem naszej cywilizacji dla przyszłych pokoleń.

Wyrzucane do śmieci jako bezużyteczne i dziurawe, będą podobno zalegać na wysypiskach śmieci, a potem w ziemi na bardzo długie lata.

Dawno minęły czasy, gdy klient przynosił do sklepu ze sobą własną torbę na zakupy, choćby płócienną. Zwyczaj oferowania klientowi torby foliowej do pakowania zakupów przy kasie nie był kiedyś znany.

Bywało, że klient, który zapomniał torby, nie mógł zrobić zakupów, bo nie miał ich w czym wynieść ze sklepu.

W myślach przeniosłem się wstecz o szmat czasu do małego miasteczka, w którym i mnie zdarzało się zapominać torby i taszczyć potem w rękach do domu kilka najniezbędniejszych artykułów pierwszej potrzeby. Czasem ekspedientka Geesowskiego sklepu znajdowała jakieś wyjście dla nieporadnego zapominalskiego, ale były to rzadkie przypadki. Dla niektórych przybywających na zakupy z okolicznych wsi ratunkiem był Wuja Ignac.

Nie wiadomo nawet, jak się ta heca z torbami zaczęła. Prawdopodobnie Ignacowa, robiąca w Geesach w mięsny wystrzał kiedyś kogoś z krewnych, czy bliższych znajomych do swojego domu po torbę, no i tak się zaczęło. Wuja Ignac prowadził w miasteczku nieźle prosperujący warsztat rymarski. Przypadkowi goście spośród znajomych i dalszych krewnych nie byli zbyt mile widziani, chociaż ich wizyty nie zdarzały się często. Wuja Ignac wskazywał takiemu torbaczkowi krzesło i, nie przerywając pracy, spoza odchylonych okularów prowadził z gościem niespieszny dialog. Rozmowy to były przeważnie nijakie, bo i o czym tu gadać. Przyjdzie na przykład taki Plesiewiak z podniesionym kołnierzem, w czapce naciśniętej głęboko na uszy, z oczami solonego śledzia, rozsiada się i bajdurzy. No, bo jakże tak od razu ujawnić na progu cel wizyty. Nie wypada, trzeba wpieryć zagaić, pogadać, choć nie bardzo jest o czym. A to krowa mu się ociełiła, a to wiosna była za zimna, lato za suche, a to wapna zabrakło w Geesach i takie tam. Ulubionym tematem Plesiewiaka było jednak drutowanie świń. Mógłby o tym godzinami.

Wuja Ignac nasłuchiwał się tego tyle, że nieraz był już gotowy zadrutować Plesiewiaka, byle tylko przestał gadać. Gdy wuja Ignac, gryząc sfatygowanymi nieco zębami wędzonkę czy świąteczną szynkę, natrafiał na coś twardego, nieraz wydawało mu się, że trafia na drut Plesiewiaka.

W końcu Plesiewiak dochodził do sedna sprawy: prosił o pożyczenie torby, bo akurat przypomniał sobie o niej, jak siedział już w autobusie do miasteczka i nie sposób było się wracać.

Wuja Ignac wygrzebywał z szuflady sfatygowaną szmatę z uszami i z grzeczną miną wręczał potrzebującemu, chociaż w myślach najchętniej dożyłby do tej torby jeszcze kij, a może i dzielił nim Plesiewiaka po grzbiecie, byle się szybciej wynosił.

Torby przeważnie wracały do właściciela po dłuższym czasie, chociaż czasem sfatygowane nieco. Bo też i różne towary w nich przenoszono, od ogórków i kapusty, do gwoździ trzyciałowych.

Z tymi gwoździami był rzeczywiście problem, bo nijak je schować do kieszeni, a prosić Kubalskiego w sklepie żelaznym o torbę lub cokolwiek, do czego można było je wsypać nie przyszło nikomu do głowy. Kubalski zawsze w tym samym lekko przekrzywionym kaszkiecie przypominającym tęb gwoźdźcia świeżo wyciągniętego ze starej belki, w lekko przybrudzonym fartuchu roboczym, mrukliwy, z nieco szorstką miną, jak Geesowska mumia. Prosić takiego o torbę to tak, jakby proponować „aby napompował nafty wprost do kieszeni, zamiast do bańki lub butelki. Byłem niedawno w tym miasteczku. W sklepie żelaznym Kubalskiego jest teraz Mini Sam czynny bodaj całą dobę, a dom po Wuju Ignacu wykupiło jakieś podejrzane towarzystwo zjeżdżające się tam najwyżej w weekendy. Nikomu chyba nie przyszłoby do głowy iść tam po torbę.

Przypadkowemu gościowi co najwyżej zarzuciliby torbę na tęb i solidnie go obili, a może i nawet okradli.

Kasjerka wydała resztę stojącej przede mną klientce. Moje zakupy powoli podjeżdżały na taśmie do kasy.

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księga imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.



ERATOSFERA (FRAGMENTY)

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Wtedy, tamtego dnia, głośny dźwięk telefonu wyrwał ją ze świata *Sztuki uczyć*. Szok, radość i niedowierzanie. Wygrała konkurs! Kiedy ponownie sięgnęła po książkę, zauważyła, że spomiędzy stron wysunął się paragon i kartka od naczelnika poczty: „Nie zapomnij zabrać listu! Uważaj na siebie. Piotr”. O cholera! Na śmierć zapomniała. Jakiś czas temu ktoś przyniósł na pocztę list, który prawdopodobnie nigdy nie trafił do adresata. Wszyscy wiedzieli, że w takich sytuacjach należy odesłać zaginioną korespondencję do archiwum w Warszawie, jeżeli nie jest ona zbyt stara. Listy, które bardzo długo błąkały się po świecie, trafiały do antykwaratów, muzeów, zbieraczy staroci i ludzi kochających historię. Kiedy parę tygodni wcześniej powiedziała w pracy, że wybiera się do stolicy, naczelnik poprosił ją o małą przysługę; jego przyjaciel prowadził niewielką gietdę staroci w Warszawie, więc chciał przekazać mu tę pamiątkę. Nie zawiozła tego listu, bo zapomniała. Ale teraz znów jedzie i tym razem nie pozwoli sobie na takie roztargnienie. Nie mogła wtedy przypomnieć sobie, gdzie schowała paczuszkę od naczelnika. Teraz na szczęście ma ją pod ręką.

Korespondencja datowana była na dość odległe lata. Adresata z pewnością nie było już wśród żywych. Pokusa, żeby otworzyć kopertę, okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek, poczucie lojalności i wpojone zasady. Musiała rzucić na to okiem. To jej szczęśliwy dzień, dziś dowiedziała się o zajęciu pierwszego miejsca w konkursie i dziś karteczka od naczelnika wysunęła się z książki. To znak. Na pewno. Wiedziała, że szuka dla siebie usprawiedliwienia, więc lepsze takie niż żadne.

Był to list kobiety o imieniu Barbara do kogoś, kto nazywał się Horacy Blum, datowany na 1939 rok. Kartki były zniszczone i postrzępione od wielokrotnego kontaktu z ludzkimi dłońmi, atrament wyblakły. Mimo że pismo było staranne, tekst nietatwo dało się odczytać.

13.12.1939 r.

Dr Horacy Blum, Berlin, Linenstrasse 9 m. 3

Drogi Horacy,

bardzo ciężko jest mi to pisać, jednak uważam, że bez wymiany informacji oboje pobędzimy w tym okrutnym świecie. Nie widziałam Cię już blisko cztery miesiące... To bardzo długo. Na tyle długo, że nie mogę sobie przypomnieć, jak reagujesz, kiedy jesteś zły, radosny czy smutny. Chyba muszę jednak zaryzykować przekazanie Ci ważnych informacji bez względu na konsekwencje.

Od Twojego nagłego wyjazdu wszystko się zmieniło. Najbliższa rodzina i przyjaciele stali się wobec mnie bardziej oschli i surowi. Ciocia Aniela w każdą niedzielę daje na mszę, modląc się o rychły Twój powrót, ale widzę po jej minie, że

tak naprawdę marzy o tym, abys się w moim życiu nigdy nie pojawił. Ja myślę inaczej. To znaczy jeszcze tak myślę, ponieważ brak wiadomości od Ciebie sprawia, że zaczynam się przychylić do zdania ciotki. I nie ma chwili, abym nie zastanawiała się, czy milczysz celowo, czy może stało się coś strasznego, o czym nawet boję się pomyśleć. No i wszyscy na mnie wilkiem patrzą... Nie powinnam się przejmować, ale chyba nie umiem.

W tych nerwowych czasach staliśmy się inni. Często wrogo do siebie nastawieni, podejrzliwi i zamknięci w sobie. Do wioski przyszedł głód, przyszły choroby. Szerząca się śmierć, która nie patrzy na status, pozycję czy majątek. Dla wszystkich jest jednakowa i bierze, co chce, jak swoje. Na szczęście na razie omijają nas w tej głuszy prawdziwe napięcia i walki, naloty i przemasze wojsk, ale nie zmienia to faktu, że każdy z nas czuje tę wojnę, każdemu przyniosła jakieś straty, ból i strach.

Patrząc na sąsiadów i znajomych, którzy bez wyraźnej przyczyny życzą sobie nawzajem jak najgorzej, mam pewność, że wszystko jest możliwe. Brat zabije brata, ojciec syna, a syn matkę. Ludzie w strachu robią najgorsze rzeczy. Myślę, że nie tylko w strachu. Górę nad wszelkimi innymi cechami wzięła chciwość. Poczynam się, że może tak mi się tylko wydaje, że może to jedynie moje subiektywne odczucia, ale chyba się nie mylę.

Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda świat z Twojej perspektywy. Jakkolwiek by patrzeć, stoimy po przeciwnych stronach barykady.

Idą święta, ale nikogo nie cieszą. Pierwsze święta tej wojny, której miało nie być, która miała się zaraz skończyć, tymczasem pochłania coraz więcej ofiar. I może nie byłoby to dla mnie aż takie straszne, gdyby nie coś bardzo ważnego, o czym muszę ci napisać.

Drogi mój Horacy, chciałam Ci to powiedzieć osobiście, ale nie jest nam dane. Być może już Ci doniesiono, że spodziewam się dziecka. Naszego dziecka, Horacy... Naszego zespolonego „my”, które przyjdzie na świat. Świat, który nie jest ani piękny, ani bezpieczny. Rozwiązanie nastąpić ma w maju.

Tak więc widzisz sam, skomplikowało się życie... Staram się nie opuszczać domu, czas spędzam głównie w ogrodzie, póki pogoda dopisuje i mróz nie daje się aż tak bardzo we znaki. Doktor mówił mi, że powinnam jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu, jeść dużo warzyw i czerwonego mięsa. Rady, z którymi nie wiadomo co zrobić. Pomijając puste spiżarnie, wiesz, jak bardzo nie lubię mięsa, krwi i widoku, jaki pojawia mi się natychmiast przed oczyma – pomordowanych zwierząt, ich krzyku i wołania o pomoc.

To wszystko jednak nic w porównaniu z faktem, że najwięcej bólu sprawia mi Twoja nieobecność i Twoje milczenie.

Będziemy mieli dziecko, Horacy... Czy Ty wiesz, jaka to odpowiedzialność?

Wierzę, że nie zasmuci Cię ten list. Tymczasem pozdrawiam Cię i ślę uściski od rodziny

Barbara

Od tamtego momentu Dorota przeczytała list kilkakrotnie, za każdym razem zastanawiając się, jak potoczyły się losy wojennej pary. Zdarzało się, że i wieczorami, przed zaśnięciem, myśli jej wędrowały do ciężarnej Barbary i oddalonego od niej doktora Bluma. Czy żyją gdzieś potomkowie tego związku? Zajmowanie myśli tymi nieznanymi ludźmi stało się dla Doroty stałym zajęciem. Lubiała sobie wyobrażać ich życie w różnych wariantach, lubiała snuć ich historię według własnych wyobrażeń. Gdyby to dziecko żyło, miałoby teraz... Miałoby siedemdziesiąt dziewięć lat. Całkiem możliwe, że żyje gdzieś na świecie razem ze swoimi dziećmi i wnukami.

By móc spokojnie o nich porozmyślać, może nawet dorobić ciąg dalszy w krótkiej noweli, musi najpierw uporać się ze sprawami, które tyle razy odkładała na później. Dać sobie czas na odpoczynek i psychiczny relaks. Pojechać do Warszawy, oddać list, porozmawiać z wydawcą. Odwiedzić rodzinę. Posiedzieć w odludnym miejscu, schować się przed wszystkimi, wynająć mały domek pośrodku puszczy i spróbować autoterapii przez kontakt z przyrodą. Może uda jej się wyjść z dołka, może odzyska nie tylko spokój, ale i radość? Przede wszystkim musi jednak spotkać się z Mikołajem.

Przyjaciel był wiecznie zajęty. Co rusz trafiały mu się jakieś ciekawe tematy, które z pasją opisywał w gazecie. Jeździł w teren, bawiąc się również w fotoreportera, odnajdował interesujące miejsca i ludzi. Tonął w swojej pracy tak bardzo, że nie miał czasu odebrać telefonu, oddzwonić czy wysłać krótkiego esemesa. Dlatego należy się wreszcie spotkać, pogadać, pośmiać, powspominać, wystuchać się nawzajem. A potem wyciszyć i wymyślić dalsze losy tych dwojga nieznanych jej ludzi. Odłożyć na bok poezję, która wypaliła jej dziury w sercu.

Kończyła pakować walizki. Początkowo chciała pojechać pociągiem, jednak po namyśle wybrała samochód, który pozwoli jej na większą swobodę. Wczesnym rankiem zapakuje się do swojej Landrynki, jak pieśzcotliwie mówiła o ciemnozielonym land roverze, zamknie mieszkanie, zostawi klucz sąsiadom, by wpadli od czasu do czasu je przewietrzyć i odebrać pocztę. Teraz kąpiel i do łóżka. Z lampką wina na lepszy sen.

Wyszła z łazienki w szlafroku i turbanie z ręcznika na mokrych włosach. Mimo chodem spojrzała w lustro – ze swojego wyglądu była raczej zadowolona. Gdyby nie chłód w spojrzeniu, może mogłaby mieć więcej przyjaciół; ludzie pewnie interpretowali go jako wyniosłość albo pogardę dla innych. Niby cieszyła się i uznaniem, i sympatią, ale z daleka. Zawsze z daleka.

Na ciemnym biurku stał otwarty laptop. Odruchowo usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać wiadomości. Po chwili wstukała w wyszukiwarkę: Horacy Blum.

Kim jesteś? Kim byłeś, doktorze Blum?

Na ekranie pojawiło się kilkanaście informacji, z których wyselekcjonowała kilka. Niestety, żadna nie pasowała do Horacego. Blum żył w innej epoce. Wyobrażała go sobie jako postawnego mężczyznę z czarną brodą, pejsami i w czarnym kapeluszu.

W nocy śniła jej się rozmodlona Aniela, która z niechęcią patrzyła na coraz większy brzuch Barbary. Ta czerwieniła się pod wpływem wzroku ciotki i odwracała głowę od Chrystusa wiszącego na krzyżu, którym okazał się doktor Horacy Blum. W rękę trzymał tomik jej poezji. Czytał, nie podnosząc wzroku, dopóki ktoś z tłumu wiernych nie zaczął krzyczeć: „Czytaj głośno! Chcemy Świąteł ciemności! Chcemy Świąteł!”

Jezus o twarzy Bluma spojrzął w jego stronę i kilkakrotnie powtórzył: „Każdy ma własne światło w głowie. Własne światło w najciemniejszym nawet łbie”.

(...) Odwinęła niedużą paczkę. Był to misternie wykuty w kamieniu labirynt, który na wzór starożytnych miał tylko jedno wejście, będące zarazem wyjściem, nie miał dodatkowych ścianek, ślepych korytarzy i zaułków. Labirynt przedstawiał prosty schemat i był kopią znaleziska z Rocky Valley, którego powstanie datowano na około tysiąc czterysta lat przed Chrystusem.

Doskonale znali ten motyw. Labirynt kreteński z jedną spiralną drogą. Oboje jednocześnie pomyśleli o tym samym. W domu rodzinnym Doroty w gabinecie dziadka wisiła duża mapa. Gdy byli dziećmi, nazywali ją „mapą skarbów”. Nanie-siono na nią ważniejsze znaleziska archeologiczne, zabytki i cuda świata, a oni byli na tyle dociekliwi, że szukali informacji na temat każdego z tych odkryć. Przerzucali strony książek i atlasów, zbierając dane dotyczące tych miejsc z szaloną pasją i głodem wiedzy. Teraz mieli przed sobą coś, co wyglądało jak oryginalny rysunek skalny. Kamień był okazały i ciężki; prezentował się bardzo wytwornie.

– O rany! Wracasz z wyprawy archeologicznej? Cudo! – Mikołaj delikatnie dotykał chłodnego przedmiotu.

– No! Tak to trochę wygląda, tyle że oryginalna rzeźba w skalnej ścianie jest większa. Ale ta kopia wygląda przepięknie! Jak praca człowieka z minionych epok, jak oryginał!

– Zastanawiam się, do czego mogło to komuś służyć...

– Nie mam pojęcia. Może jako przycisk do papieru? Albo po prostu ozdoba.

– Czy ten antykwaryusz mówi coś o pochodzeniu tego kamienia?

– Trochę. Że też jest stary i może mieć około stu lat albo i więcej. I że trafił na niego przypadkiem na jakiejś wyprzedazy garażowej. Leżał na ogrodowym stole między książkami, jakby zostawiony przypadkiem.

– A ty? Jak go wypatrzyłaś?

– Kiedy przekazałam mu list do Bluma, powiedział, że chciałby się jakoś za moją fatywę odwdziżyć, żebym poszukała sobie czegoś, co mnie interesuje, a on da mi na to rabat. Oczywiście grzebałam w książkach, kilka nawet kupiłam, a kiedy podeszłam do lady, zauważyłam ten kamień przy kasie. Nie za bardzo chciał go sprzedać, mówił, że jest wyjątkowy, ale w końcu go przekonałam. A wiesz czym?

Dorota poszła do tazeniki i wróciła z dużym wisiosem na łańcuchu. Zawieszka wykonana była z oksydowanego srebra i przedstawiała motyw labiryntu.

– Powiedziała mu, że to mój konik, moja pasja i tak dalej. I dał się przekonać. Może również ze względu na znajomość z Piotrem.

Mikołaj zmiędlił pod nosem jakieś wyzwisko.

– A książki? Jakie przywiozłaś?

– Oj, potem, Mikołaj. Na przejrzanie kartonu z Abażuru zostało nam kilka dni. Weźmy się za to!

– Ale najpierw... coś mi powiedz.

– Co takiego?

– Wróciłaś jakaś inna. Powiedz mi prawdę. Co się stało? Oprócz zmęczenia, podróży i tym podobnych bzdur.

Nie odpowiedziała od razu. Trudno było coś przed nim ukryć. Był spostrzegawczy, czasem aż za bardzo. I zbyt szybko wyciągał wnioski. Najczęściej trafne i to ją denerwowało. Mikołaj był okazem. Tak, to najlepsze określenie. Wyjątkowym okazem połączenia bystrości umysłu z niezwykłą intuicją, której jej często brakowało. Miała wrażenie, że legendarne kobiece przeczucia jej nie dotyczyły, za to przytrafiały się nader często Mikołajowi. Nie było sensu kłamać.

– Źle się poczułam w drodze powrotnej. Już na peronie zrobiło mi się słabo, a potem w pociągu usnęłam tak twardo, jakbym... umarła. Tak się czułam. Jakbym wpadła w jakąś czarną przepaść i tkwiła w niej, nie mogąc się wydostać. To nie był sen, to było jak przejście w inny wymiar. Mikołaj, ja nie bredzę. Ja naprawdę tak się czułam. Czułam chłód kamiennych ścian i wilgoć, która spływała po nich ciężkimi kroplami. Tam było jak w grobie! Oddychałam ciemnością, która była lepka jak smoła. I... Nie wiem, jak to powiedzieć. Czułam się nie sobą, jakby te wrażenia nie dotyczyły mnie, a jednak to ja je przeżywałam.

Mikołaj patrzył na nią czujnie i przez chwilę nic nie mówił. Odezwął się dopiero wtedy, gdy Dorota objęła obiema rękami swoją otuloną turbanem głowę.

– Wierzę ci.

– Wierzysz? Naprawdę?

– No jasne. Ale przejdź się do lekarza.

– Pójdę, jeżeli te zawroty się powtórzą.

Mikołaj otworzył wreszcie teczkę z zapiskami Wanssen. Na górze znajdowała się korespondencja z Abażurem. Duże koperty zawierały po kilkanaście wierszy i odpowiedzi od wydawcy, za każdym razem takich samych: *Czekamy na więcej, proszę pisać. Pani poezja jest niezwykła.*

– Dlaczego nie udało się jej wyraźnie zaistnieć? To niesprawiedliwe.

Mikołaj otworzył kolejną teczkę.

– Popatrz!

W środku znajdowały się szkice Emmy. Stary, opleciony bluszczem dwór w cieniu rozłożystego dębu. Wnętrza pokoi z wysokimi, otwartymi na oścież oknami, za którymi była tylko pozbawiona życia przestrzeń. Ciemne korytarze, zakątki

piwnic, ściany z cegieł i ciętego kamienia, sklepienia krzyżowe, cieknąca po murach ciemna ciecz.

– Piękne... Piękne i straszne!

– To fakt. Podobnie jak wiersze... – Dorota skupiona była na studiowaniu ręcznie pisanych tekstów z kolejnej teczki. Analizowała każde skreślenie, notatkę, komentarz. Wiersze nie od razu były perfekcyjne. Z pewnością kosztowały wiele pracy. Proza dołączona do wierszy spisana była na maszynie i sprawiała wrażenie przepisanego pamiętnika, ale Dorota nie mogła znaleźć oryginału. Maszyna musiała mieć jakąś wadę, bo każde „o” było dużą czarną kropką, przez co zapis wyglądał jak pochłapany atramentem. Tutaj także znajdowały się skreślenia i poprawki.

Na samym dniu luźno leżały dwie koperty. Z treści pierwszego listu wynioskowali, że była to datowana na drugą połowę lat czterdziestych ubiegłego wieku korespondencja wydawnictwa z synem poetki, jednak nieopatrzona żadnym nazwiskiem. Wyglądało na to, że Wanssen nie może osobiście zjawić się w Poznaniu, że cierpi na jakąś poważną chorobę, dlatego wszystkim zajmie się syn, któremu ona daje wszelkie pełnomocnictwa.

– To wszystko jest takie niezwykle... – Mikołaj nie mógł oderwać wzroku od pożółkłych kartek, na których wyblakły atrament pozostawił nie do końca czytelne ślady. – Zanurzanie się w przeszłości jest zawsze... No wiesz...

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ:

pisarka, recenzentka i polonistka. Urodziła się w Trzciesku-Zdroju, od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. Jest autorką recenzji zewnętrznej oraz postowania w nominowanej do Nagrody Literackiej NIKE *Księgi ocalonych snów* Krysiny Sakowicz. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*, w tym roku wyszła jej druga powieść *Eratosfera* oraz zbiór opowiadań *Pomiędzy* wydany w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego.



WIERSZE

Lucyna Miosga

Wiosna w mojej głowie

Deszcz pada, wiatr wieje,
A ja z mokrą głową,
Wyglądam jak wariatka,
Z optymistki wznową.
Kwiecista sukienka,
Kiełkujące ziele,
Chociaż nie ma Wiosny,
Ja już mam odrosty.
Schylam się po kwiaty,
Których jest niewiele,
Udaję, że zbieram,
Zawijam w bukiety,
Niosę je do domu,
W marzeniach – niestety.

W Twoich oczach

Patrzę w Twoje oczy, twoich włosów brak,
Będzie dzisiaj uczta, czuję już Twój smak.
A po co Ci włosy, toć to martwa tkanka,
Mówiąc to zniknęłam, w szafirach kochanka.
Niczym gibka kotka, prężę krzywy grzbiet.
Przyduszam łapami, przyciągam ku sobie,
Trzy dekady temu, byliśmy po słowie.
Kładziesz się potulnie, udając ofiarę,
Chociaż jestem ciężka nie krzywisz się wcale.
Naprężasz muskuły, które Ci zostały,
Chociaż je trenujesz, widzę, że zmały.
Znowu patrzę w oczy, w nich wszystko zostało,
Ciągle głodna Ciebie, wciąż mi Ciebie mało.

LUCYNA MIOSGA: od paru lat mieszka w Santoku. Pisze poezję, prozę i artykuły dotyczące pracy z osobami z niepełnosprawnościami. Wydała zbiór artykułów *Pomóż mi być* (2015) oraz książki *Noc po nocy* (2013) i *Anioł Stróż czy czekolada* (2019). Jej teksty znalazły się też w publikacji *Z tej ziemi* pod redakcją Krystyny Kamińskiej.

POWRÓT

Hanna Bilińska-Stecyszyn

Z Hamburga do Lubniewic wróciłem wozem drabiniastym.

Dziś wydaje mi się to zabawne, lecz wtedy nie całkiem mi było do śmiechu. Kiedy ze strzępów cudzych relacji i własnej pamięci posklejałem tę historię, refleksję miałem tylko jedną. Że na stare lata będzie co opowiadać wnukom.

W Hamburgu mieszkał mój brat. Bliźniak, młodszy o kilka minut. Poldek. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym poznał Kryskę, swoją późniejszą żonę. Przyjechała z Katowic na obóz młodzieżowy do ośrodka Kaczy Dołek, gdzie on latem czarował dziewczyny jako przystaniowy. Po kilku miesiącach zostali małżeństwem, a tuż przed stanem wojennym wyjechali do Niemiec na pochodzenie.

Ile było gadania, gdy zdradzili swoje plany!

– Po to człowiek siedział w ziemlance i jadł zgnite kartofle, żebyś ty teraz na Niemca się przerabiał? – grzmiał nasz ojciec.

– To gdzie w końcu tata był? Bo w ziemlance to u ruskich, tak nam tata opowiadał – próbowałem rzecz wyjaśnić.

– Nauczyciel jesteś, Ildek, ale co ty wiesz! Ja u szwabów na robotach, stryjek u ruskich. Wszy tłukł i na dezynтеріę chorował.

– Dyżenterię.

– Nie mądruj się. Rusek czy Niemiec, wszystko jedno, wróg.

Młodzi dostali w Hamburgu mieszkanie i taki socjał, że pozazdrościć. Wkrótce Poldek znalazł pracę w warsztacie elektrotechnicznym. Już mógł jak panisko przyjeżdżać z rodziną do Lubniewic samochodem pełnym niemieckich geszenków. A stary wciąż się krzywił. Nawet telewizor kolorowy go nie udobruchał.

Mnie też nie ciągnęło na „zgnity Zachód”. Im bardziej bratowa przechwalała się kapitalistycznymi cudami, tym większą czułem przekorę. Dopiero Jędrus i Ela mnie namówili, koledzy z pracy, nauczyciele jak ja. W czasie wakacji, gdy otwierał się Hamburger Dom, jeździli tam, by zarobić na budowę chałupy.

– Szefowa udaje surową, ale ma miękkie serce – przekonywał Jędrus. – Napisałiśmy, że przyjedziemy z kolegą, nie będzie zaskoczona. Znasz niemiecki, dasz radę. Nad czym się zastanawiać? Metę masz u brata, w luksusy jedziesz. A jak ci się papa ucieszy na widok prawdziwych pieniędzy! Sam zobaczysz.

Tak. Dotarło do mojej tępej głowy, że tylko za prawdziwe pieniądze mogę zrealizować pewien plan. A może i przemeblować całe życie. Więc, choć ojciec znów wygłaszał monologi, jak to on nie po to od bauera uciekał, żeby teraz jego syn miał harować u Niemca, postanowiłem skoczyć na głęboką wodę. Tylko nikomu na razie nie zdradzałem, że mnie do tego skoku pcha miłość. Bo sam nie miałem pewności, czy mój plan wypali.

*

– Musimy tarabanić się maluchem, na lepsze auto na razie nas nie stać, budowa ważniejsza – powiadomił mnie Jędrus przed odjazdem. – Nie bierz za dużo bambetli, zmieścimy się. Auto jeszcze na włoskich częściach, da radę.

Wyjechaliśmy wieczorem z czwartku na piątek.

– Dom to po niemiecku katedra, w dawnych wiekach odbywały się w niej jarmarki – tłumaczyła mi po drodze Ela. – Katedra już nie istnieje, ale jarmarki Niemcy organizują nadal, trzy razy w roku. My jeździmy latem, a jest też Hamburger Dom jesienny i zimowy. To takie wielkie wesołe miasteczko. Diabelski młyn, pełno knajp, fajerwerki, tłumy ludzi.

Jędrus prowadził sam, bo Ela, świeżo upieczony kierowca, bała się jechać po niemieckiej autostradzie. Ja na kurs prawa jazdy nawet nie zdążyłem się łąpać, więc też nie mogłem pomóc. A mój ambitny plan wiązał się z nabyciem w Hamburgu samochodu. Nie byle czego. Porządnego niemieckiego wozu, opla lub volkswagena. Żeby w Lubniewicach wszystkim szczęki opadły. Tak, nadal będę wiejskim nauczycielem z gównianą pensją, ale za to z piękną furą. I ona niczym magnes przyciągnie ku mnie tę Jedyń... Coś wymyślę, żeby sprowadzić auto do Polski, a zaraz po powrocie z Hamburga zapiszę się na kurs.

Tak sobie marzyłem przez całą noc, bo zamierzone pięć godzin podróży mocno się przedłużyło. W Świecku staliśmy w korku, potem na przejściu w Gudow enerdowski celnik długo przetrzepywał nam samochód, nie kryjąc złości, że u Polaków już jest wolność i mogą wyjeżdżać do kapitalistów, a on wciąż nie.

Na Heiligengeistfeld dotarliśmy późnym ranem. Wszystkie budy czekały już na przyjęcie gości, choć w wielu wciąż trwała krzątania.

– To nasza pralnia-sypialnia. – Jędrus pokazał mi jeden z baraków na zapleczu, małą kanciapę z rozkładanym tapczanem wciśniętym między pralkę i blat do prasowania. – Ciasno, ale przez te cztery tygodnie idzie wytrzymać. Ja sprzątam w tych budach, Ela pierze i prasuje, i Wincklerowa mniej nam liczy za noclegi.

Gisela i Bruno Wincklerowie „na Domie”, jak mawiał Jędrus, prowadzili swój biznes od wielu lat. Ona, móżg interesu, załatwiała dostawy i płatności. Ale to Bruno patrzył pracownikom na ręce. Obwoźna knajpa, z którą wędrowali po jarmarkach i festynach, była całym ich życiem. Cztery stoliki w środku, przeszklona lada, na zapleczu mieszkania i toalety, w barakach przypominających wozy cyrkowe.

Od trzech lat zatrudniali Polaków. Oczywiście na czarno. Wincklerowa pewnie miała jakiś układ z policją, a i tak prosiła, by za głośno nie rozmawiać po polsku. Choć te środki ostrożności wydawały się zbyteczne, bo już w co drugiej knajpie na Hamburger Dom pracowali Polacy.

Gdy zostałem przedstawiony szefowej, po krótkiej rozmowie zdecydowała, że gut, nawet pochwaliła mój kulawy niemiecki. Tak oto w dwie minuty zostałem

pasowany na pracownika małej hamburskiej gastronomii i od następnego dnia miałem stanąć za ladą.

– Życzę udanego startu – powiedziała Gisela, gdy skończyliśmy robić ostatnie błyski w barze i na zapleczu, a obrzuciwszy naszą trójkę zadowolonym spojrzeniem, dodała: – Będę miała najładniejszą obsługę na całym Hamburger Dom.

*

– Cześć, szwagier – przywitała mnie bratowa, kiedy pod wieczór Poldek przywiózł mnie do ich mieszkania. – Żenidło ci już urosło?

To był jej ulubiony żart. Zawsze mnie wpieniał, zwłaszcza gdy i Poldek zaczynał się mądrzyć na temat zalet posiadania żony i dzieci.

– Urosło, ale nie twoja sprawa. Masz inny zestaw pytań? – Nie zamierzałem się zwierzać Kryście ani komukolwiek innemu.

– Daj mu spokój. – Tym razem Poldek nie dorzucił swoich trzech groszy. – Zazdrościsz, że jeszcze bryka na wolności? Zawołaj dzieciaki i siadajmy do stołu, bo pewnie po całym dniu chłopt umiera z głodu.

Leopold Walusiak, lat trzydzieści trzy, świeżo upieczony obywatel RFN narodowości polskiej, posiadał spory brzuch i lekko przeredzone, siwawe skronie. Nikt by nie pomyślał, że to mój bliźniaczy brat. Ja wciąż przypominałem tyczkę, a na głowie, nie chwając się, miałem falującą lwią grzywę.

Gdy chodziliśmy do przedszkola, rodzice mówili na nas Podjadek i Niejadek, bo Poldek od urodzenia był wielkim tasuchem, a ja stale marudziłem przy stole. W szkole dowiedzieliśmy się, że nosimy imiona wielkich twórców, Gałczyńskiego i Staffa. Lecz marną stanowiło to pociechę. Ildefons i Leopold! Dobre dla poetów, a nie dla chłopaków z pipidówki, nawet jeśli jeden z nich został później polonistą w wiejskiej szkółce, a drugi mistrzem ślusarskim. Jeszcze jako dorosty facet miałem żal do matki. Owszem, lubiła wiersze, ale żeby nadać synom takie imiona!

Aż któregoś dnia... Kończyły się ferie zimowe, zaszedłem do gminnej biblioteki, nie przeczuwając, że doznam tam porażenia, które za pół roku zaowocuje wyjazdem na saksy. Bibliotekarka rozmawiała z młodą dziewczyną. Myślałem, że to jakaś turystka, bo nigdy wcześniej jej w Lubniewicach nie widziałem. Szczupła, ciemnowłosa, bardzo zgrabna. Natychmiast przyciągnęły mój wzrok jej kształtne piersi pod obcistym sweterkiem.

Pytała, czy mogłaby zajrzeć do „Dzieł” Gałczyńskiego, bo chce sobie przypomnieć pewien wiersz.

– O, proszę. O wilku mowa. Witamy mistrza – powiedziała pani Karnowicz na mój widok i uśmiechnęła się tak promiennie, jakby do wiejskiej księżnicy wszedł sam Gałczyński. – Oto nasz miejscowy Ildefons – przedstawiła mnie dziewczynie. – Państwo się znają?

Pani Karnowicz, jako chyba jedyna w Lubniewicach, nazywała mnie pełnym imieniem. Zawsze była egzaltowana i nauczyłem się te jej powitania puszczać

mimo uszu, teraz jednak zrobiło mi się głupio niczym sztubakowi przytapanemu na oglądaniu „Playboya”.

– Chciałem oddać książki – mruknąłem, by jak najszybciej zmienić temat.

– Ildefons? – Tym razem powiedziała to dziewczyna. – Naprawdę ma pan takie imię?

– Tak. Mamę trochę poniosło. Ildek Walusiak – przedstawiłem się.

– Iga Welska. – Wyciągnęła drobną, delikatną dłoń, którą odrobinę za długo przytrzymałem w swojej. – A imię ma pan rzadkie i niebanalne, naprawdę. – Lekko się zaczerwieniła. – Uwielbiam Gałczyńskiego – dorzuciła.

Stałem przemurowany. Zamiast ją przyszpilić jakimś stosownym cytatem, przecież tyle ich znałem! Bibliotekarka podała jej książki. Dziewczyna zaczęła kartkować jeden z tomów, nie zwracając już na mnie uwagi.

Przyszpilenia nie dokonałem również następnego dnia, gdy ku swojemu zdumieniu zobaczyłem ją znowu. Przed lekcjami poszedłem zrobić zaległe wyniki do karty zdrowia i kolejny raz odjęto mi mowę. W oślepiająco białym fartuchu pielęgniarskim, trochę niestety ukrywającym jej walory, ze skupioną miną, szczyptymi palcami piękna Iga pobierała mi krew. Tak delikatnie i z wprawą, że nie poczułem ukłucia igły. Znowu, jak wtedy w bibliotece, znaleźliśmy się blisko siebie, wręcz czułem ciepło jej ciała pod sztywnym od krochmalu fartuchem. Lecz nawet nie próbowałem zagadywać. Po raz pierwszy w życiu bałem się, że walnę jakąś bzdurę, której już nie odkręcę. Podryw na chama wobec wykrochmalonej siostry miłosierdzia czytającej poezję nie wchodził w grę, a przecież nie mogłem w ośrodku zdrowia recytować wierszy!

– Proszę zgłosić się za tydzień po wyniki – powiedziała, przykładając mi do ręki nasączony spirytusem wacik. – Do widzenia.

Wydawała się być obojętna wobec moich wdzięków. A ja od młodości miałem słabość do pięknych brunetek i tym razem dopadła mnie ona ze szczególną siłą.

*

Po kolacji Poldek wyciągnął z barku butelkę.

– Rakija. Przywieźliśmy w wczasów w Jugostawii – pochwalił się.

Wypiłem kieliszek, za więcej podziękowałem.

– Jestem zbyt zmęczony, zaraz usnę, a chciałbym ten wieczór w spokoju spędzić z wami – wymówiłem się.

Zawsze miałem słabą głowę. Pierwszy raz przekonałem się o tym, kiedy z chłopakami poszliśmy nad jezioro uczcić zakończenie podstawówki. Jedna szklanka wina zrobiła mi w głowie karuzelę, po drugiej odleciałem. Brat przeciwnie, po całej butelce krzepko trzymał się na nogach. Ale musiał przecież wywlec mnie z krzaków, gdzie omal nie zostawiłem żołądka, i zaciągnąć do domu. W dupę dostaliśmy obaj, ojciec pasem próbował wybić z nas przedwczesny pociąg do alkoholu, matka dożyła swoje laczkiem. Dopiero na studiach odważyłem się sprawdzić, czy już mi się

wzmocnił organizm. Skutek znów był oplotany. Od kawiarnianego stolika, przy którym siedziałem z interesującą czarnulką, musiałem się ewakuować galopem, a i tak ledwo zdążyłem do toalety. Dziewczyna się obraziła, a ja zyskałem dowód, że użytki z procentami powinienem wykreślić z listy napojów.

– Nie ma sprawy – Poldek odstawił butelkę. – Przyda się, jak wrócimy. Zabieramy cię na spacer. Pokażemy ci kawałek Hamburga, bo od jutra już będziesz tyrał.

– Ela mówiła, że tu są jakieś grające, podświetlane fontanny, może tam się wybierzemy?

– A, tak, Pflanzen un Blumen. Ciekawe. Ale na dziś mam lepszy pomysł. Jesteś tak blisko siedliska rozpusty, grzechem by było nie zobaczyć. Skoczmy na Reeperbahn. Styszałeś?

– Coś niecoś. Ulica czerwonych latarni, tak? Dobra, jedźmy tam.

Widoki na Reeperbahn tak różniły się od szarych wieczorów w największych nawet polskich miastach, że zaniemówiłem. Mimo późnej pory, życie tętniło kolorowym, pulsującym rytmem lambady. Przelewały się tłumy, z otwartych drzwi i okien licznych lokali dobiegała głośnie muzyka.

– A widzisz? – Kryśka pyszniła się, jakby wszystkie atrakcje Hamburga były jej zastugą. – W Lubniewicach już byś spał, a tu proszę, życie jak w Madrycie.

W otwartych oknach siedziały roznegliżowane prostytutki, w niedbałych pozach czekające na klientów. Jedna, w mocno wydekoltowanej bluzce w fosforyzujące różowe paski, zaszczyciła mnie dwusekundowym spojrzeniem, ale zaraz ziewnęła. Widać uznała, że nie śmierdzą forszą. Tak samo zareagował ciemnoskóry naganiacz w barwnej liberii, stojący przed drzwiami jednego z przybytków płatnej miłości.

– Co, nie mieć nic pieniędzy? – spytał, rozpoznając w nas przybyszy z zażelaznej kurtyny.

– Mieć, ale już widzę, jak lecą na polskie złotówki. Chyba że brat mi skredytuje jeden numer. – Puściłem oko do Poldka.

– Nie ma sprawy. Ile chcesz, sto marek, dwieście? – Też do mnie mrugnął.

– Chyba na łeb upadłeś. – Kryśka pociągnęła Poldka za rękaw. – Na nowe buty mi miałeś dać, a nie bratu na dziwki – wyszczała. – Wracajmy już.

*

– Szwagier, co z ciebie za facet? – Do mojej bratowej dopiero w domu dotarło, że żartowaliśmy, i gdy Poldek ponownie wyciągnął flaszkę, podjęła swoją ulubioną śpiewkę. – Alkoholu nie lubisz, dziewczyny nie masz... Latka leca, a ty co?

Po cichu przyznawałem jej rację. Latka leciały, fakt. Z początku mi się nie śpieszyło, zwłaszcza do powielania scenariusza Poldka, który tak wcześniej się ożenił i obrósł trójką dzieci. Kilka studenckich romansów stanowiło odległą przeszłość. Ogniste brunetki, a tylko w takich gustowałem, łatwo ulegały wdziękowi tyczkowego romantyka z bujną plerezą i „rozczulającymi dotkami

w policzkach”, jak się wyraziła jedna z nich. Jednak szybko przekonywałem się, że z żadną nie chciałbym spędzić reszty życia. Do Lubniewic wróciłem z braku lepszego pomysłu. Pracowałem w miejscowej podstawówce i wciąż mieszkalem u rodziców. Choć matka codziennie wierciła mi dziurę w brzuchu, coraz mniejsze widziałem szanse. Jeśli nawet trafiała się interesująca dziewczyna, to albo była zajęta, albo taka, która po wakacjach spędzonych w Lubniewicach obiecywała napisać, a potem szkoda jej było na kopertę i znaczek.

Kiedy poznałem Iłę, pojąłem natychmiast – ta albo żadna. Widywałem ją niemal co dzień, w takiej małej miejscowości jak nasza to żadna trudność. Wprawdzie mieszkanie służbowe miała na drugim końcu wsi, na osiedlu Słowińskim, a po pracy w przychodni jeździła na dyżury w sulęcińskim szpitalu, jednak miałem swoje sposoby. Raz nawet zamieniliśmy kilka słów. O pogodzie, ale i tak czułem, że jestem na dobrej drodze. Przypadkiem się też dowiedziałem, że rodzinne miasto Igi to Lubsko. Lubniewice, Lubsko, Ziemia Lubuska, wszystko na „lub”, do tego nasze jednakowe inicjały – czyż nie stanowiło to dobrej wróżby? Już sobie podmrukiwałem znaną z harcerstwa piosenkę, jak to Ziemia Lubuska z nami zaśpiewa, fabryki, pola, łąki i drzewa... A krótko przed Dniem Kobiet wpadłem na genialny pomysł, że zaproszę Iłę na zabawę w kawiarni Wczasowa. Zastrzelę ją paroma cytatami z Gałczyńskiego, a potem to już pójdzie.

Przekombinowałem z tymi podchodami, romantyczny dupek do kwadratu. Nim zdążyłem zrealizować swój plan, ubiegł mnie inny Lubuszanin. Janusz, leśniczy z Nadleśnictwa Sulęcín. Pamiętałem go z liceum, chodziliśmy do równoległych klas, zawsze mnie śmieszyła jego ulizana fryzura. Ważniak, bo od niedawna stał się posiadaczem skody, którą ponoć zaczął wozić Iłę do teatru w Gorzowie. Złośliwie jęzory już roznosiły po wsi, że nie są to tylko niewinne wycieczki, ale starałem się nie przejmować plotkami. Pocieszać, że podobno pielęgniarka przeżyła w Lubsku rozczarowanie miłosne i na razie się nie pali do nawiązywania bliższych stosunków z pćcią brzydką. Tylko że na co miałem czekać? Aż mi ją ten bubek sprzątnie sprzed nosa?

Zwłaszcza że samochód rzeczywiście dawał mu fory. Przekonałem się o tym, gdy kiedyś spotkałem Iłę na poczcie. Odbierała ciężką paczkę.

– To z Lubuska, moje książki – wyjaśniła. – Wreszcie mam gdzie poustawiać.

– Pomogę – zaofiarowałem się. – Przecież nie będzie pani nieść sama. Mam nadzieję, że i w ustawianiu tych książek moja pomoc się przyda.

– Dziękuję, chętnie skorzystam. I proponuję przejście na ty. Ale ta paczka naprawdę dużo waży, chce się panu... chce ci się ją dźwigać taki kawał?

Ciepło mi się zrobiło na sercu po tym „ci”. Okazja, by poznać Iłę bliżej, sama pchała się w ręce.

– Dam radę. Skoczę do domu po rower, będzie łatwiej. Zaczekaj chwilkę, za parę minut wracam. – Wystawiłem to ciężkie cholerstwo na zewnątrz i po kilku minutach przyprułem na rowerze. Szurkowski mógłby mi pozazdrościć prędkości.

Już mocowaliśmy paczkę, gdy pojawił się Janusz. Akurat przejeżdżał tą swoją wiśniową skodą. Wyglądało na to, że przypadkiem, tylko co z tego.

– O, jest mój znajomy – powiedziała Iga, gdy na nasz widok wyskoczył z auta, a ja najwyższym wysiłkiem woli starałem się ukryć rozczarowanie i wściekłość. – Dziękuję za dobre chęci, lecz samochodem łatwiej będzie zawieźć tę paczkę. Do zobaczenia. – Podana mi rękę, uśmiechając się przepraszącą.

Wracalem do domu na tym ciulowatym składaku, znowu sam, choć szczęście było o krok. W głowie mi się nie mieściło, że Idze może się podobać taki mydtek. No, ale skoro imponowali jej mężczyźni z samochodem... Już wiedziałem na sto procent, że muszę gościa przebić, zanim będzie za późno.

*

Mimo życzenia szefowej, start miałem ciężki. Choć pracownicy mogli w barze jeść wszystko, co serwowano klientom, pierwszego dnia nie tknąłem ani kęsa. Nie tylko z emocji i w obawie, że szefostwo zobaczy we mnie głodomora z biednej Polski. Poprzedniego wieczoru, by zamknąć bratowej usta, osuszyłem jednak z Poldkiem tę butelkę. Skończyło się jak zawsze. Znow przysięgałem sobie, że już nigdy nie wezmę do ust żadnych procentów. Najwyżej piwo.

Bruno Winckler od razu zauważył, co mi dolega, i postanowił mnie przeegzaminować. Stojąc przy ladzie, długo przyglądał się, jak wykonuję swoje obowiązki. Aż mi z nerwów pot ściekał po krzyżu. Wreszcie zamówił kietbasę z sosem curry. Krojąc upieczoną kietbasę w specjalnej maszynie, omal nie uciąłem sobie palca. Kiedy nałożyłem porcję na tekturowy talerzyk i ją podałem, wyciągnąłem dłoń z zapłatą. Obejrzałem się w stronę szefowej. Przyzwalająco kiwnęła głową, więc wziętem pieniądze i wydałem resztę. Jędrus mrugnął do mnie. Zdałem.

Menu w imbisie mieli Wincklerowie skromne, ale smaczne. Currywurst, Krakauerwurst, Pommes Frites, Gebackene Kartoffeln, Gyros mit Tzatziki i Kartoffelsalat, jak stało napisane nad ladą. Przy kietbaskach, frytkach i kartoflach uwijałem się ja z Elą, w kącie po prawej stronie Jędrus elektrycznym nożem ciął słup pieczonego mięsa i polewał je sosem, zaś po lewej miał swoje królestwo Bruno. Serwował piwo, soki i mocniejsze napitki.

Praca sprzedawcy kietbasek była prosta jak zdanie pojedyncze. Wykładałem wursty na ruszt, przypiekałem, obracałem, pilnowałem, by się nie przypaliły, odkładałem na bok już upieczone, a stygnące podgrzewałem znowu. Gdy klienci prosili o frytki, Ela wrzucała je do frytkownicy, a ja nakładałem na tackę, pytając zawsze „Mit Ketchup oder Mayo?”, bo Niemcy jedli frytki z keczupem lub majonezem, a często z oboma sosami naraz. Rzadziej zamawiano pieczone w folii ziemniaki czy kartoflaną sałatkę, ale tym też zajmowała się Ela.

Ja królowałem wśród kietbas. Stanowiły również moje codzienne pożywienie. Nie narzekałem, choć nawet niemiecka krakowska mocno różniła się od polskich wędlin. Tylko że w Lubniewicach, aby kupić dobrą kietbasę, matka musiała

wstawać o czwartej rano i zajmować kolejkę w mięsny, a tutaj gastarbajterzy mogli jeść niemieckich wurstów, ile chcieli.

Przez naszą knajpę przewalały się tłumy wszelkiej maści. Nawet sobie myślałem, że może, gdy już będę na emeryturze, zrobię z tego jakieś opowiadanko. Sekretarki i gońcy z rozmaitych firm, eleganckie rodziny z dziećmi, grupy roześmianej młodzieży, różnokolorowi turyści, samotni staruszkowie. A zdarzali się i kloszardzi, bez żenady wygrzebujący resztki z kosza na śmieci. Wręcz stać mnie było, by jak krezus podsuwać takim parę fenigów. Każdego wieczoru dostawałem aż siedemdziesiąt marek, a czasem trafiał się i drobny napiwek. No i miałem w knajpie całodzienne, choć mało urozmaicone wyżywienie. Naprawdę dobrze traфіłem.

Pracę kończyliśmy zawsze o północy, potem sprzątaaliśmy. Bruno w swojej kanciapce liczył utarg, a Gisela zapraszała nas na piwo do jednego ze stolików, gdzie każdemu wręczała do ręki jego dzienną wypłatę. To był najmiłszy moment dnia. A jak mi smakowało zimne Bier vom Fass! Piwa też mogliśmy pić do oporu, lecz poprzestawałem na jednym, pamiętając o swoich postanowieniach.

Meta u Poldków znajdowała się niedaleko, mieszkali w dzielnicy Altona-Nord, a i tak podczas jazdy S-Bahnem pilnowałem się, by się nie zdrzemnąć i nie przejechać stacji. Potem zamieniałem z bratem trzy słowa i zasypiałem jak kamień, zawsze przedtem zdążywszy pomyśleć o Idze i samochodzie. I o nas obojgu w nim... Najlepiej na tylnym siedzeniu.

*

W ostatnią niedzielę przed zamknięciem festynu pojechaliśmy na giełdę. Miałem już sporo marek, na wszelki wypadek Poldek obiecał dołożyć.

Długo chodziliśmy wśród rzędów wystawionych do sprzedaży pojazdów. Tłum samochodów bynajmniej nie ułatwiał zadania. Czas naglił, musiałem się śpieszyć do pracy, a wciąż nie potrafiłem się zdecydować. Poldek też nie umiał doradzić nic mądrego.

– Jest lepsze rozwiązanie – wymyślił w końcu. – Tu sami Turcy, tylko patrzą, jak wykiwać klienta. Auto niby ładne z wierzchu, a cholera wie, czy nie powypadkowe. Bo to ci powiedzą? Na karoserii świeży lakier, a pod nią dziury. Mam znajomego w drukarni, poproszę go o „Zweite Hand” z ogłoszeniami, nim znajdzie się w kioskach. Tam będziemy szukać.

Ruszyliśmy w stronę wyjścia. Pod płótem drobni handlarze, najczęściej smagłolicy, stali przy swoich manelach z mydłem i powidłem.

– Bilig szere, gut szere, bite szejn – usłyszałem nagle i w sprzedającej, drobnej blondynce, rozpoznałem Polkę, zresztą potwierdzały to leżące przed nią opakowania z polskimi napisami. Nim zdążyłem podejść i zagadnąć, przy kramiku dziewczyny pojawił się wysoki, dobrze ubrany Niemiec.

– Nißt tojer, nur cwaj mark. – Wyciągnęła do niego rękę z nożyczkami.

– Nein, danke – powiedział i z uśmiechem odsunął dłoń handlarki. Następnie wręczył jej dwie marki, pogłaskał po głowie i odszedł.

Rumieniec na twarzy dziewczyny aż się prosił o wezwanie straży pożarnej. Dopiero po dłuższej chwili wróciła do swojego żałosnego „Bite szejn”. Nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy.

– Jesteśmy dla nich ludźmi drugiej kategorii – powiedziałem, gdy już trochę ochłonąłem. – Spadajmy stąd.

– Grunt, że ci płacą. – Poldek klepnął mnie po ramieniu. – Jeszcze nie przywykłeś?

W poniedziałek z samego rana obdzwoniłem kilka adresów i wybrałem się z Jędrkami sprawdzić ten, do którego mieliśmy najbliżej. Z sukcesem! Ledwo pamiętam okoliczności zakupu, w takim byłem amoku, i gdyby nie Jędrus, pewnie zostałbym z niczym. Dał radę nawet trochę utargować. Za jedyne 1500 DM stałem się właścicielem wymarzonego wozu, a we wtorek Poldek zwolnił się na kilka godzin z pracy i pomógł mi załatwić wszystkie kwity.

Wreszcie mogłem doświadczać uczucia dumy posiadacza. „HH – 948 V z 89/8”, raz po raz odczytywałem dane z tablic próbnych mojego auta. A jaki zapach miało w środku! Poprzedni właściciel musiał używać dobrej wody kolońskiej. Spetniał się główny punkt planu: Iga lubi samochody, niech ma. Taką bryką będę ją niebawem woził. Na osiedle, do Sulęcina, Gorzowa czy gdzie tam zechce. A wszyscy Januszę świata ze swoimi skodami cichutko podkulą ogony.

Strasznie mi się nie chciało rozstawać z moim wozem. Wymyśliłem, że Jędrus mógłby nim wracać, a Ela fiacikiem, jednak nie chciała ryzykować. Rad nie rad, musiałem pogodzić się z tym, że samochód będzie na razie stał na parkingu przed domem, w którym mieszkali Poldkowie.

– Nie martw się, nie zginie, tu nie Polska – mądrzyła się Kryśka.

– Przywiozę go niedługo – obiecał Poldek. – Ten kumpel z drukarni ma rodzinę w Gorzowie, za miesiąc wybiera się w odwiedzinę, więc będę miał z kim wracać. Wytrzymasz, szybko minie – pocieszał. – Może do tego czasu już zrobisz prawko.

Radość jednak nie była aż taka, jak kiedyś przypuszczałem. Nie tylko dlatego, że z bryką musiałem się na razie rozstać. Przypomniła mi się Polka sprzedająca nożyczki i chciałem znów coś powiedzieć o ludziach drugiej kategorii. W końcu machnąłem ręką. Pobyt w Hamburgu dobiegał końca, wkrótce dzięki nowemu nabytkowi miałem awansować w tych kategoriach co najmniej o oczko wyżej.

*

– Przyjechaliście tu do pracy, a nie radia słuchać. – Jakieś trzy dni przed końcem festynu Bruno wyszedł ze swojej piwnej dziupli i wyłączył nam odbiornik. Jędrus zaczął mu coś tłumaczyć, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

– Do pracy – powtórzył. Wincklerowa, akurat obsługująca klientów przy stolikach, nawet nie zwróciła uwagi, że radio zamilkło.

Ale nawet kiedy grało, rzadko udawało nam się wyłowić jakieś informacje, bo Gisela zwykle wdychała, że wciąż tylko ta polityka, i przełączała odbiornik

na stację nadającą stare niemieckie przeboje. Często tam śpiewał niejaki Drafi Deutscher, jej ulubieniec. „Marmor, Stein Und Eisen bricht, aber unsere Liebe nicht”, nuciła wraz z nim.

Marmur, kamień i żelazo mogły się skruszyć i rozwalić, ale kto przypuszczałby, że runie także mur berliński? Tymczasem tak się chwiał, że jego trzask docierał aż na Hamburger Dom.

– Niemca ze wschodnich landów poznam na odległość – ogłosiła Wincklerowa, gdy do Hamburga zaczęli przybywać pierwsi, jeszcze pojedynczy uciekinierzy. Wywiesiła za szybą swojej knajpy informację, że przybysze z DDR są w jej restauracji mile widziani, a po okazaniu dedeerowskiego auswajsu otrzymają za darmo jeden posiłek. Podobnie postąpili inni restauratorzy, lecz na razie niewielu wschodnich Niemców odwiedzało Hamburger Dom, fala uchodźców z Ostdeutschland dopiero miała nadejść.

Raz obsługiwałem takiego, którego szefowa „rozpoznawała na odległość”. Zagadnąłem go, pytając o wydarzenia w Polsce i NRD.

– O, wielkie zmiany. W Polsce już jest prawdziwa demokracja. U nas też będzie. – Chyba się wystraszył, że może go ktoś podsłuchać i zaarrestować, bo szybko się pożegnał i zniknął w tłumie.

„Prawdziwa demokracja” po wielu latach „demokracji ludowej” wciąż brzmiała mi w uszach egzotycznie. Lepiej znałem galopującą inflację. Kiedy po pierwszym dniu pracy dostałem od szefowej swoje 70 marek, od razu włączył mi się przelicznik. Z każdym dniem niemieckie marki zamieniały się w mojej głowie w coraz większą górę złotych.

– Ja tu zarabiam dziennie tyle, ile w szkole przez cały miesiąc – oznajmiłem któregoś wieczoru, gdy siedzieliśmy przy serwowanym przez szefową piwie.

– Przestań, bo nam obniżą zarobki – syknęła Ela, kopiąc mnie w kostkę. Lecz Wincklerowa tylko się uśmiechnęła, bardziej rozbawiona niż zdziwiona. Pewnie myślała, że się przejęczyłem. Już i tak z trudem pojmowała fakt, że nauczycielom opłaca się tyrać w jej knajpie.

Oczywiście, że się opłacało! I choć niemieckie media zachwycały się, że w Polsce mamy już wolność i pierwszego niekomunistycznego premiera, wciąż byliśmy sceptyczni.

– Już widzę, jak nam ta wolność zapetnia półki w sklepach – komentowała Ela. I instruowała mnie: – Lepiej nakup kawy i proszku do prania, zanim ta kapitalistyczna obfitość znajdzie się i u nas.

Więc kupiłem. Proszek dla matki, a kawę jako prezent dla Igi.

*

Odliczałem już godziny do powrotu. Ostatniego dnia Wincklerowa pozwoliła nam wyjść z baru parę godzin wcześniej, poinformowana, że nazajutrz rano mamy w szkole radę pedagogiczną. Zapowiedzieliśmy się na następne wakacje

i na pożegnanie poczęstowała nas tym ich dobrym piwem z beczki. Z radości, że wracamy, wypiliśmy dwa. To drugie za Jędrusia, bo on jako kierowca już nie mógł.

Ruszyliśmy znów na noc. Po paru godzinach zachciało nam się zapalić, a i potrzeby fizjologiczne pilny, więc zjechaliśmy na krótki postój. Choć na niemieckich parkingach znajdowały się murowane toalety, nawet z ciepłą wodą do mycia rąk, nie rozglądałem się za budynekczkiem z wc, tylko polskim zwyczajem pokłusowałem w las. Potrzeba okazała się poważna, więc kucnąłem dopiero w gęstych zaroślach, gdzie już nie docierały światła z parkingu.

Mój powrót do Jędrków, w zamiarze jak najszybszy, niespodziewanie uległ znacznemu wydłużeniu. Po niedawnej burzy wciąż kropiło, w lesie było zimno i mokro, wiał silny wiatr. Biegając, poślizgnąłem się na jakiejś nierówności. Tak chrupnęło mi w kostce, że zawyłem, a padając, walnąłem głową o twarde korzenie.

Nie wiem, po jakim czasie odzyskałem kontakt z rzeczywistością. Noga bolała sakramencko, na czole wyrosła mi sporych rozmiarów śliwka, sączyła się z niej krew. Chwiejnym krokiem ruszyłem naprzód, chcąc dotrzeć do parkingu. Szum drzew zagłuszał dźwięki pojazdów, na dodatek po tym upadku pokręciły mi się kierunki i szedłem w odwrotną stronę. Szedłem? To petzłem w ciemnościach, to skakałem na jednej nodze, bo druga spuchła jak bania. Szarpałem się po krzakach jak w jakimś cholernym labiryncie. W końcu usiadłem pod drzewem, by odsapnąć i zebrać myśli. W zimną, sierpniową noc, w cienkiej koszulce, przemoczony, ubtocony, telepałem się jak w gorączce. Choć to idiotyczne, przypomniała mi się baśń o dziewczynce z zapłkami. Czyżby w tym niemieckim lesie czekało mnie zaśnięcie na amen?

Dobrze, że maligna nie zaatakowała mi mózgu do końca i wreszcie spłynęło na mnie olśnienie. Księżniczka Iga czeka na swojego rycerza! Dostyc tego dupowatego liczenia na cud. Muszę przestać kluczyć. Byle do przodu, w końcu trafię na jakichś ludzi. Nie mam przy sobie pieniędzy ani paszportu, wyglądam pewnie jak leśny zbój, ale może nie naślą na mnie policji. A nawet gdyby, to lepszy dach nad głową w areszcie niż ten zimny las.

Już spokojniejszy, powlokłem się dalej. Niebiosa jednak czuwały nad zbłąkanym wędrowcem. Z każdą minutą spośród leśnych dźwięków moje ucho coraz wyraźniej wydobywało odgłosy cywilizacji. Brnąłem przez mokre chaszcze znów w kierunku szosy! W końcu przeczołgałem się przez rów ciągnący się wzdłuż pobocza. Ratunek wydawał się bliski.

Wciąż mi się to nie mieści w głowie – ale cud się stał. Pierwszy samochód, jaki ledwo mnie minąwszy, zatrzymał się z piskiem opon, to był fiacik Jędrków. Nawet w chwili gdy Jędrus wyskakiwał z auta, z trudem wierzyłem własnym oczom. On też. Ale nie stracił zimnej krwi.

– Właż szybko, bo nas gliny namierzą, tu nie wolno stać! – zawołał. – Elka, trudno, siadaj za kierownicą, ja muszę kumpla ratować. – Akcja odbyła się w ciągu kilku sekund, Ela nawet nie zdążyła zaprotestować. Pomógł mi się wgramolić na tylne siedzenie, usiadł obok, ruszyliśmy.

– Gdzieś ty był? Szukaliśmy, darliśmy się, nie słyszałeś? W końcu postanowiliśmy znaleźć zjazd z autostrady i zgłosić twoje zaginięcie. – Podał mi swój sweter, żebym się okrył, bo ledwo mi trafiał ząb na ząb.

– Nogę skręciłem. – Pokazałem mu opuchniętą kostkę. – Przydałby się lód.

– Lód sobie w domu będziesz przykładał. Na takie rozchłestanie potrzebna ci rozgrzewka. Miałem to otworzyć na Dzień Nauczyciela, ale teraz bardziej się przyda. – Wyciągnął z torby butelkę winiaku. – Pij – rozkazał.

– Rozchłestanie – poprawiłem go z belferskiego nawyku. – Ale wiesz, że ja...

– Żadne ale. Kieliszka nie mam, ciągnij z gwinta. Cały się trzęsiesz, to jest stan wyższej konieczności. Pij.

W uznaniu jego argumentacji, niepomny abstynenckich przysiąg, pociągnąłem spory łyk. Tak się skrzywiłem, że Jędrus zachichotał. Następny łyk należał do niego. Po chwili błogie ciepło rozlało mi się po wszystkich członkach i ból w nodze ciut zelżał. Więc pociągnąłem znowu. I znowu.

*

Dalszy przebieg wypadków znam głównie z opowieści, bo urwał mi się film.

Pogrążony w pijackim śnie, raz po raz pojękiwałem i meldowałem, że będę rzygał, na szczęście groźby okazały się tylko werbalne. Jędrkowie nie chcieli tankować w Niemczech drogiej benzyny, więc Ela jechała na oparach. Tuż za tablicą z nazwą naszej wsi auto zdęchło. Dopchnęli je do przystanku PKS i wywlekli mnie na ławkę, bo znów stwarzałem niebezpieczeństwo zafajdania samochodu. Na świeżym powietrzu mój odruch wymiotny się uspokoił, ponownie zapadłem w sen. Nie chcieli mnie tak zostawić, Jędrus już się szykował organizować kanister z benzyną, żeby odpalić malucha. I wtedy pojawił się stary Maciszonek. Jak co rano odwoził mleko do punktu skupu. Jędrus go poprosił, by mnie dostarczył do domu.

Wrzucili mnie na furę. Koń rżał, wóz tłukł się na nierównościach krzywo wybrukowanych uliczek, lecz ledwo to czułem. Ukołysany powietrzem wczesnego lubniewickiego poranka, jak niemowlę w kolebce, śniłem swój piękny sen. *...Zajeżdżam pod ośrodek zdrowia. Serce robi mi w piersiach radosne trrr, niczym raniuszek na gałązce rosnącego obok jaśminu. Wreszcie Iga wychodzi. Otwieram przed nią drzwi. Ona uśmiecha się i wsiada. Jak tu ładnie pachnie, mówi. Ruszamy. Po paru minutach parkujemy koło restauracji Rusatka. Trzymając się za ręce, schodzimy w dół ku jezioru. „Tyś jest jezioro moje, ja jestem twoje słońce”, recytuję Idze, w końcu nie na darmo mam na imię Ildefons. Całuję ją w dłoń, potem przytulam. „Światłami ciebie stroję, szczęście moje szumiące”, kontynuuję szeptem, a po sekundzie wołam ile sił w ptłuchach: kocham cię, kocham! Mój krzyk, jak para śnieżnobiałych łabędzi, wlatuje nad wodami Lubiąża. Kocham, kocham, powtarzają rosnące wokół drzewa. Niech całe Lubniewice, cały świat dowiedzą się o miłości Ildka i Igi...*

Wtedy w mój sen wdart się jeszcze jeden krzyk. Głos mojej matki. Biedaczka, całą noc przestała w oknie. Przed wyjazdem powiedziałem, że wracam najpóźniej

o pierwszej. Minęła druga, trzecia, czwarta. Matka tykała nerwosol i na przemian to mnie przeklinała, to modliła się o mój szczęśliwy powrót. Gdy usłyszała dźwięk skrzypiących kół, ledwo rozpoznała wóz Maciszonka. Zdziwiła się, bo droga do skupu wiodła inną ulicą. Tym bardziej zaskoczyło ją, że woźnica zatrzymał się koło naszego ogrodu i zaczął otwierać bramę.

– Wstawaj! Chyba coś się stało. Po co ten Maciszonek wjeżdża na nasze podwórze? – Zaczęła szarpać ojca.

Kiedy wypadli z domu, jeszcze nie zauważyli mnie na wozie.

– Pani Walusiakowa, lldka przywożem – oznajmił Maciszonek.

– Z Hamburga??? – Matka omal nie dostała zawału.

– Z jakiego Hamburga. Z przystanku pod pocztą. – Maciszonek przystąpił do ściągania mnie z wozu. – Śpieszy mi się, bierzcie go – wysapał, bo rodzice wciąż stali jak zamurowani.

– Ildek!!! – wydarła się matka, gdy ją wreszcie odetkało. Natychmiast wytrzeźwiałem. Sam zląłem na ziemię, zarówno z obtoków swojego snu, jak i całkiem fizycznie.

*

Podobno co drugi głupi ma szczęście. A gdy w dodatku ten co drugi to taki matał jak ja, szczęście jest podwójne. Rano, kiedy z obolałą głową i jeszcze mocno utykając, wyruszyłem do szkoły, jako pierwszą osobę ujrzałem Ige! Wracła od chorej, której zaniosła leki.

– Co się stało? – Zrobiła wielkie oczy.

– Nogę skręciłem, nic takiego. – Usiłowałem iść prosto, żeby mnie nie uznała za kompletne sieroctwo, zresztą na jej widok od razu poczułem się lepiej.

– Przyjdź do ośrodka, obejrzę, może trzeba jechać do chirurga. A ten plaster?

– Naprawdę drobiazg, samo przejdzie. – Serce mi rosnęło, że tak się o mnie troszczy.

– Biedactwo, pomogę ci się doczłapać, idziemy w jedną stronę. – Uśmiechnęła się i – to już nie był sen! – wzięła mnie pod rękę. Czuję, że to nie tylko gest pielęgniarskiego miłosierdzia. Niechby teraz pojawił się ten mydtek ze swoją skodą! Już by nie miał podskoku.

– Dawno cię nie widziałam, na wczasy gdzieś wyjeżdżałeś? – spytała po kilku minutach.

– Niezupetnie na wczasy. – Ucieszyłem się, że zauważyła moją nieobecność.

– Na saksy. Jeśli cię to interesuje... – Doszliśmy już do szkoły, dotychczasowa dupowatość Ildefonsa Walusiaka nareszcie robiła w tył zwrot! – Masz ochotę na kawę w moim towarzystwie?

– Mam – odpowiedziała po prostu.

Umówiliśmy się na spotkanie w kawiarence zamkowej. Chciałem się jeszcze pochwalić zakupem samochodu, ale odsunąłem tę myśl, bo musiałbym wspomnieć i o finale podróży. Końcówkę mojego powrotu postanowiłem na razie zachować w tajemnicy.

– Muszę lecieć, do zobaczenia wieczorem – pożegnała mnie z uśmiechem.

Nim zniknęła w drzwiach przychodni, maślanym wzrokiem odprowadzałem jej zgrabną sylwetkę w tym białym pielęgniarzkim fartuszk. Bynajmniej nie sztywnym i pozapinanym, jak kiedyś myślałem. Seksownym. Za kilka godzin mieliśmy się spotkać, a już tęskniłem.

Kiedy bardzo już spóźniony wkuśtykałem do pokoju nauczycielskiego, nawet nie musiałem się usprawiedliwiać.

– Wiemy, wiemy – powiedziała dyrektorka. – Cała wieś już wie. Pod koniec dwudziestego wieku, zamiast ósmym cudem niemieckiej motoryzacji, przyjechać z Hamburga do Lubniewic wozem konnym Maciszonka! Przejdzie pan do historii.

Cud motoryzacji niemieckiej przyjechał za mną pod koniec września. Dzieiesięcioletni VW „Passat”. Silber metallic z szarobłękitną tapicerką, radiem „Blaupunkt” i ozdobnymi deklami na kołach. Najpiękniejszy w całej wsi.

Miesiąc później, gdy wracaliśmy z teatru w Gorzowie, Iga wyznała, że od samochodu woli rower. Po zakup porządnych niemieckich „Herculesów” postanowiłem pojechać do Hamburga za rok.

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, literatka, recenzentka. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści: *Wbrew pozorom* oraz *Druga szansa, czasem trzecia*. Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomu się nie śniło*. Współpracuje z czasopismami literackimi. Autorka dziennika i blogerka („Kobieta domowa” – www.kobietadomowa.wordpress.com).



VILANELLA O WRÓBLACH NA DACHU

Zbigniew Witosławski

Wracam do miejsc, gdzie wspomnienia
jak wróble na dachu przysiadły,
wpót w blaskach lśnią, na wpót w cieniach.

Przebłyski, to znów zamglenia
pamięci zawodnej mam, gdy
wracam do miejsc, gdzie wspomnienia

tkwią zakłęte w kamieniach,
wciąż są, są – nie przepadły,
wpót w blaskach lśnią, na wpót w cieniach.

Czas krajobrazy pozmieniał,
mnie, co tu kryć, lekko nadgryzł,
lecz wracam tam, gdzie wspomnienia

mieszkają. Paru już nie ma.
Te, co nie całkiem pobladły
wpót w blaskach lśnią, na wpót w cieniach.

Czasem, ot tak, od niechcenia,
gdy impuls poczuję nagły,
wracam do miejsc, gdzie wspomnienia
jak wróble na dachu przysiadły.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

TAKIE OSOBISTE ŻYCIE

Czesław Sobkowiak

Swojskość, czyli to co mocno już przyswojone, bliskie, zakorzenione w podmiotowym wnętrzu. Jest ze mną to, co lubię myślami odwiedzać, rzeczy robocze ubierać, stare buty, połatane spodnie, spłówiatą koszulę, czapkę, ołówek trzymać w dłoni, mieć kilka przedmiotów na biurku, przy których dobrze się pisze, może głównie dzięki ich obecności. I to jest to odnalezione. Mam jedną szklanekę, z której chętnie piję herbatę, bo jest znajoma. Wraca czyjeś spojrzenie, przyjazna twarz i serdeczność, przypominam sobie imię i dobroć, i ciepłą tonację głosu. Potrzebny taki krąg najbliższy, ten prywatny świat, stały adres, do odnajdowania się w biegu życia, w urzędzie, na bruku miejskiej tej ulicy, która ma w sobie klimat dawności. Odpadający tynk. To pomaga w przewyciężaniu pustki w wielu osobistych kryzysowych sytuacjach. Sfera ważna jak tarcza obronna dla wnętrza. Odwiedzam więc te różne miejsca i ludzi, jakbym siebie samego odwiedzał. Tak. Po to, by nie czuć się na marginesie życia, nie być osobą niepotrzebną, zbędną, w przekonaniu, że innym los należycie się układa. Coś w sobie zachowywać i odnosić się do tego. Czuć się w domu jak u siebie tak, że wszelkie reguły i presje społecznie już nie dotyczą mnie. Mogę otwarcie przyznać się do swoich ułomności. Jest coś naprawdę bliskie i nikt nawet wzrokiem nie kontroluje, i nie zastanawiam się, o co komuś chodzi. Nie muszę być gorliwy ani koniecznie wiedzieć. Nie muszę się wysilać, siebie ukrywać ani ograniczać, nic nie przeszkadza, nic na pokaz, nakładanie maski nie ma miejsca ani dławienie emocji, ani udawanie. Swojska staje się cisza, patrzanie na obraz, na ogród, na deszcz. Na olchowy las. Chwila pewności. Tkliwość. Popetniony nietakt nie powoduje niczyjego afrontu. Swojskość i życzliwość są razem. Zwłaszcza w łóżku, na granicy snu. Czyż nie tak? Mogę zrezygnować z pilnowania siebie. Znikają progi ambicji, pułapki i skraca się dystans. Normalnie istnienie. Bardzo to cenię. Te stoneczniki w małym pokoju, w wazonie, te ramy do obrazów oparte o krzesło, bałagan na półce, to jest moje życie, dom. Słuchanie muzyki. Mycie rąk. Czasem zjawia się (jednak rzadko) coś niesamowicie wielkiego, jakby niezziemskiego. Tak było, gdy chmurną jesienią szedłem ulicą (16 października 1978 roku) i usłyszałem nagle głos z radia o wyborze kardynała Karola Wojtyły na tron papieski. Wszystko wtedy objawiło się na kilka dłuższych chwil jako wyjątkowo bliskie w porządku istnienia, jakaś metafizyczna radość obejmowała świat, myślałem, jesteśmy ocaleni. Nastąpiło przewartościowanie egzystencji. Pomyślałem. Trzeba żyć w Polsce. Znosić niepowodzenia. I ten fakt całkowicie wystarczał, jakby zmywał zaznane trudy życia. Było swojsko, bratersko. Raz po raz takimi stają się otaczające rzeczy, kolory, dźwięki, a nawet zapachy, przedmioty, krajobraz zdaje się sprzyjać i potwierdzać każdy liść, źdźbło trawy swoją urodę. Dom jest tym domem, przyjacieli

tym przyjacielem, kobieta naprawdę bliska. Mogę cokolwiek powiedzieć bez obawy. Obejrany film, słuchana muzyka, przeczytany wiersz sprawiają, że przestają znaczyć doznane krzywdy, obojętności, dolegliwości i następuje włączenie w coś wzruszającego. Wielkiego. Na przykład jak wtedy, gdy zasiadamy do wigilijnego stołu. I doznajemy piękna wieczoru. Kiedy niedawno pojechałem do Gorzowa na promocję zbioru wierszy Marii Borcz i zobaczyłem przy stoliku siedzącą Autorkę, pierwszy raz w życiu, to od razu wiedziałem, że żadna komplikacja emocjonalna nie będzie mieć miejsca. Tak byto. Właśnie swojsko. Bez silenia się, bez napięć albo rozterki. Rozmowa szła dobrze. Jak wtedy, gdy doznaje się ważnego dla wnętrza poczucia spokoju, niezakłóconego myślenia i zgody na bieg zdarzeń. Czyli rytm małej jakby arkadii codzienności, prywatności, intymności duchowej, ciała i myśli. Klimat domu sprzyja, więc swojskość. Dobroć jest doświadczana, więc swojskość. Nie pojawia się doznanie zniszczenia ani oszustwo, natarczywość winy lub lęk. Jest chęć smakowania prostoty życia. Potrzebuję, potrzebujemy swojskiego życia. Chcemy, by było co stałe, ten sam stół, talerz, twarz, okno, krzesło. Choćby raz po raz, po dłuższej nieobecności, gdy wracamy do domu, w znajome kąty. I jest ten sam domowy powiew pełni, uniesienia, bezinteresowności, okazania zwyczajnej sympatii. Nie spotyka nas odrzucenie, ośmieszenie ani poniżająca krytyka. Wypada nie pozbawiać się swojskości. Raz po raz trzeba po prostu przyłgnąć, komuś zaufać, jeść te same co zawsze potrawy, kogoś odwiedzić, bo wtedy się otworzymy, opowiemy sobie nawzajem swoje szczęśliwości i bolączki bez żadnej obawy. To są niezbędni dobrego widzenia życia albo i całego świata.

x

Dziecko płacze
Lecz tuli je mama
Zanim zaśnie małe
Błogo w ramionach

Stary człowiek
Łzy ma w oczach
Że pusto i strasznie
I donikąd już pora

x

Nie wiem co teraz dodać
Jaki kolor zwłaszcza ten nieobecny
Patrzę i dotykam szaro
Wstaję otwieram drzwi
Piję przepisaną szklankę wody
Nie tak dawno inne były oczy

Nie wiem co jutro
Poza tym za oknem
Jedzie auto idą szkolne dzieci
Jeszcze mnie to wzrusza
A istnienie zadziwia
Trwanie kropli na liściu

x

Jest ranek i oddycha ale
Kogoś naprawdę nie ma
Już każdy dzień taki ostatni
Od pewnego czasu tylko cień
Jest nic do powiedzenia

Jedno z drugim osobno
Jakby zużyły się liczby i narracje
Więc tylko zachować w sobie
Milczenie które jakimś sposobem
Chce wnikać w inne milczenie

x

Senny wieczór deszcz pada
Zapewne coś z tego wyniknie
Czy nikt się nie odezwie
Zrobiły się drogi błotniste
I narosło dużo obojętności

Dom w ciemności gubi się
Ciężkiej ciszy musi podolać
Żadne słowo tu odpowiednie
Sprawy idą zewsząd trudne
Nie wiadomo kogo wołać

CZESŁAW SOBKOWIAK: poeta, krytyk literacki, recenzent. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Ostatnio wydał książki: *Powszednie niebo* (2019), *Napisane w zeszycie* (2020), *Zanim spadnie śnieg* (2022). Trzykrotny laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1996, 2002, 2014). Mieszka w Zawadzie w Zielonej Górze.

WSZYSTKO, CO SIĘ STAŁO

Z. Marek Piechocki

Możecie już stąd odejść
Zostawcie mi tylko niezbędni
Papier
Atrament
Pióro

(Kazimierz Furman, pierwszy wers
 wiersza bez tytułu z tomu *Niedomówienia*)

Niewiele Kaziu chciałeś, niewiele.
 Ale może starczyłoby by żyć godnie,
 w miarę godnie?
 Ciekawe, że nie wymieniałeś piwa,
 którego szklanice wychylałeś
 niekiedy za moje złotówki.

Ja to bym jeszcze chciał
 stój z liśćmi melisy.
 Ich napar na poranne troski,
 na tak potrzebną spokojność.

A może, Kazimierzu, wystarczy, że odejdą,
 zostawią?
 Pójdziemy sobie środkiem pola w dojrzałym jęczmieniu.
 Może powiesz:
 – Marek, kurczę, ale piwa by z niego uwarzył!

Ale nie, tak nie będzie.
 Oni nie pójdą sobie,
 będą tu zawsze
 i stale w pobliżu nas.

Barbarzyńcy –
 – jak ci od Coetzee’go.
 Im ani papier, ani atrament, ani pióro,
 ani melisa.

Nawet piwo.

**w trumnie zręczniej
ściele się śmierć**

(Jerzy Hajduga, wiersz *Nie na łożu*
z tomu *Powieki wieków*)

Masz, Przyjacielu, doświadczenie.
Jesteś księdzem, więc po wielokroć widziałeś ją
ułożoną w wyścietanych atłasem trumnach.

Nad nimi woń stearyny,
kwiatów, świerków z wieńców.
Przerażenie tych, którzy obok.

Wiesz, nigdy nie zaglądam do trumien,
zwykle stoję w oddaleniu.

Ale kiedyś, być może, przyjdzie się zmierzyć.
Być blisko, obok.
I odpowiedzieć sobie na pytania właściwe
miejscu, czasowi, sytuacji.
Położyć na szalkach uczynki dobre, uczynki złe,
wynik zapisać.
Wybrać dla nich konta – aktywne lub pasywne,
umiejscowić na właściwych stronach –
– lewej lub prawej.

Zapach strachu
najsilniejszy kiedy *Salve Regina*.

krąży w nas to wszystko co stało się przez wieki

(Anna Maria Musz, pierwszy wers siódmej strofy
wiersza *Przypomnienia* z tomu *Odrastamy z kamienia*)

Tak, Anno, jesteście spadkobiercami nagłośni
zdarzeń.

We mnie ciągle krzyk czarownic z Salem,
zapach oświęcimskich dymów,
poczucie strachu przed Syberią,
najeźdźcami z karawel.

Ciągle we mnie hipotetyczna scena,
 że zbliża się z kałasznikowem młody człowiek
 o oczach bez wyrazu.

Ale też we mnie rzeźby i sonety Michała Anioła,
 wiersze Kawafisa,
 siedem symfonii Jeana Sibeliusa.

Na ciepłe popołudnia wybieram *Ale też*.
 I trwam.

***Faustowi śniły się kobiety
 z obrazów Egona Schielego***

(Leszek Żuliński dwa wersy z wiersza
Te straszne noce z tomu *Ja, Faust*)

Egon Schiele.
 Cóż, Przyjacielu,
 znów Ci coś zawdzięczam.

Egon Schiele.

Zapewne mój brat Juliusz
 już wiele lat wstecz (bo studiował malarstwo)
 wiedział o nim wszystko.

Ja dopiero teraz zobaczyłem obrazy Egona
 i krótkie życie zapisane kilkunastoma zdaniem
 w Wikipedii.

Dwadzieścia osiem lat
 i te trzy dni więcej od Edith
 i kilka szkiców jej umierającej.

Dwoje z dwudziestu milionów
 zabitych przez hiszpankę.

Cóż, Leszku, znaczy dwadzieścia milionów dolarów
 za sprzedany teraz *Pejzaż Krumau* –
 – miasta, z którego wydalono autora obrazów

z nagimi dziewczętami?

Cóż, Poeto, znaczy sen
co jak śmierć zabiera nas w inny stan,
wymiar,
rzeczywistość?

Nie wiem.

Ale może, Amigo, jest dobrze znać rzeczy piękne?
Obrazy Schielego, muzykę Chopina –
– na późniejsze sny
i tę ostateczną zmianę sytuacji.

Odmowę światła.

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Propagator muzyki klasycznej. Laureat Nagrody im. Janusza Słowika (2007) i Motyla – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Gorzowa Wielkopolskiego (2012). W 1998 roku wydał pierwszy tomik wierszy *Zaistniałem*, a jego *Sytuacje* (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się *Listy hipotetyczne*. Miłośnik i znawca muzyki klasycznej i fortepianowej. W 2012 roku odczytał i wydał *Drzwi otwarte na nicość* – częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia*.



RÓŻOWE STOPY IRENEJKI

Agnieszka Moskaluk

Rozmowa ze śpiewaczką ANNA MARIĄ ADAMIĄK, która 11 października wystąpiła w Bibliotece Herberta podczas wieczoru poświęconego Irenie Zielińskiej pt. „Impresje Irenejskie”. Wydarzenie zorganizował klub Na Zapiecku Barbary Schroeder, WiMBP i gorzowski oddział ZLP.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Aniu, przyjechałaś do Gorzowa na wieczór poświęcony Irence Zielińskiej nie tylko dlatego, że masz w repertuarze pieśni z jej tekstami. Podkreślasz, że przez lata stałyście się sobie bliskie. Zastanawiałam się, co was do siebie tak zbliżyło, i chyba wiem. To, że obie jesteście / byłyście z innego świata – świata wrażliwości.

Tak! Masz rację. Obie postrzegaliśmy ten świat inaczej. I uważam, że osoby, które chodzą po świecie *różowymi stopami*, muszą się kiedyś spotkać. Bo dostrzegają piękno, mimo otaczającej je tzw. szarej rzeczywistości i wszystkiego, co je dotyka. A jeśli tylko mogą wyrazić się artystycznie, wtedy pokazują, do czego tęsknią, co mają w środku, co kochają. Dzięki temu odsuwają od siebie brzydotę świata i wszystko, co dręczy. A to z kolei pozwala pięknie żyć.

Pięknie, choć nie bez cierpienia...

To prawda. Irenka miała bardzo trudne życie.

Irena Zielińska wspaniale potrafiła filtrować rzeczywistość przez swoją wrażliwość, swoje doświadczenie. Miała ogromną wiedzę, była czujną obserwatorką. Ty z kolei, interpretując jej teksty w pieśniach skomponowanych przez Andrzeja Zaryckiego, dodajesz swoją wrażliwość i emocję. Ból, smutek, cierpienie, tęsknotę, ale też radość czy ironię – metaforyzowane i uniwersalizowane przez Irenę Zielińską – przepuszczasz przez własny filtr.

Masz rację. Wiesz? Często zastanawiam się, czy jestem twórcą czy odtwórcą...

... twórcą! Bez żadnych wątpliwości!

Ja mówię, że jestem takim odtwórczym twórcą. Nie piszę własnych tekstów, ale mam ten komfort, że wybieram tylko takie teksty i takich autorów, którzy do mnie trafiają. Teksty, które napisała Irenka, też bardzo dobrze się we mnie krystalizują.

Często ze sobą rozmawiałyście, prawda?

O tak! Przedyskutowałam z Irenką wiele wieczorów i nocy. Zawsze pytała, czy podoba mi się to, co napisała. A ja odpowiadałam: A tobie podoba się to, co śpiewam?

(uśmiech) Każda z nas była skoncentrowana na swoim procesie twórczym i to się pięknie uzupełniało.

A pamiętasz wasze pierwsze spotkanie?

Oczywiście! Czy wiesz, że to było dokładnie 10 lat temu, 11 października 2013 roku? Podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami po raz pierwszy spotkałyśmy się fizycznie (wcześniej miałyśmy kontakt wirtualny i telefoniczny). I tam też po raz pierwszy wykonywałam przed nią i przed Andrzejem Zaryckim utwory napisane przez nich dla mnie. Ta konfrontacja z poetką i kompozytorem była dla mnie czymś niesamowitym. Czułam ogromną odpowiedzialność.

Na twojej płycie znalazło się aż pięć utworów z tekstami Irenki.

Tak. I są one bliższe mi niż teksty napisane przez innych twórców.

Dlaczego?

Przez tę wyjątkową wrażliwość, subtelność, ale i siłę. Irenka całe życie walczyła, prawda? Cały czas coś musiała sobie i innym udowadniać. Ale była też marzycielką. Życie życiem, ale nie pozwalała tych marzeń sobie odbierać. Pomagała jej w tym ucieczka w sztukę i literaturę. To było jej antidotum. Dlatego mogła czuć się wolna i spełniona.

Wolność dawała jej też muzyka, którą kochała.

O tak! I słysząc to w utworach Irenki. Kiedy wyczytasz się w słowa, ich rytm, czujesz, że one same w sobie już są muzyką. Podpowiadają, jak ta fraza muzyczna ma iść – czy ma opadać, wznosić się czy pozostawać w zawieszeniu. To była cenna wskazówka i dla kompozytora, i dla wykonawcy.

A twój ulubiony utwór ze słowami Ireny Zielińskiej?

„Modlitwa do zielonego Boga”. Bardzo często wykonuję ten utwór. Trochę też identyfikuję się z nim. Gdybym kiedyś pisała (a to raczej nie nastąpi), chciałabym napisać właśnie taki tekst, który opowiada o miłości do muzyki, o tym, co jest w ludzkich sercach, i o tym, że bez względu na wszystko jestem jakaś. A drugi utwór to „Zaczekaj na dotyk”. Tak też zatytułowałam moją płytę, choć wcześniej miałam inny tytuł. Ale kiedy poznałam Irenkę i kiedy napisała dla mnie słowa piosenek, zmieniłam plany. I wiem, że Irenka w tych słowach jest i pozostanie na zawsze.

Dziękuję.

ANNA MARIA ADAMIAK: śpiewaczka operowa, operetkowa i musicalowa, pieśniarka. Stypendystka ministra kultury. Laureatka i finalistka wielu konkursów wokalnych i interpretacyjnych. Wydała płytę *Zaczekaj na dotyk*, do której muzykę skomponował Andrzej Zarycki, a teksty napisali: Henryk Rejmer, Jan Stanisław Kiczor, Józef Baran oraz Irena Zielińska.

SZUKAŁ PIĘKNA W PRZYRODZIE

Helena Dobaczewska-Skonieczka

Mija właśnie 50 lat od śmierci Włodzimierza Korsaka, którego w domu nazywaliśmy Dziadziusiem. Podobało mu się, kiedy wnukowie tak zwracali się do niego. W Żninie (z nami) mieszkała Babunia (mama naszego taty), natomiast w Gorzowie mieszkali Dziadziusiowie (tak odróżnialiśmy rodziców naszej mamy). Prawie naturalnym było, że bardziej byliśmy zżyci z Babunią, która była z nami na co dzień, znała wszystkie małe radości i kłopoty całej naszej szóstki – tak zaczynam swoje wspomnienia „Żywe drzewo Włodzimierza”, nad którym obecnie pracuję.



Foto: archiwum domowe

Życiorysów Włodzimierza napisano wiele, on sam również to zrobił w swoim pamiętniku, zaznaczając ważne fakty i opisując barwnie szczególnie te, które dotyczyły jego różnych podróży, polowań i wypraw przyrodniczych.

Był piewą przyrody i przygody myśliwskiej. Od najmłodszych lat aż do śmierci przyroda była jego pasją życia i największą miłością. Potem dopiero rodzina. Był literatem i plastykiem, badaczem przyrody i myśliwym, leśnikiem i współtwórcą ochrony przyrody w Polsce. Spotykał się oko w oko ze zwierzętami, które dzisiaj możemy jedynie spotkać w ogrodach zoologicznych. Był historykiem puszczy i zwierząt, człowiekiem, którego całe życie, zarówno zawodowe, jak i prywatne, było związane z przyrodą, jej poznawaniem, ochroną i szerzeniem wiedzy o niej.

Już od dłuższego czasu zbierałam myśli (i materiały), aby postać Włodzimierza przekazać następnym pokoleniom. Nie udało się zachować „ciągłości” rodu Korsaków z linii Włodzimierza. Jego pierworodny syn Andrzej (z pierwszego małżeństwa) zmarł bezpotomnie, a ukochana córka, która zamieszkała w Żninie, już jako Włodzimiera Dobaczewska, miała sześcioro dzieci. Teraz rodzina Włodzimierza liczy już blisko 50 osób.

Przestudiowanie pamiętników Włodzimierza i wszystkich materiałów, dokumentów, które zostały zdeponowane w gorzowskim muzeum, bibliotekach w Zielonej Górze i Gorzowie, zajęło mi sporo czasu. Posiadam także (podarowane mi przez Dziadziusia), oryginalne pamiętniki Emilii Korsakowej (z domu Sołtan), czyli mamy Włodzimierza, z lat 1898-1908 i jej wspomnienia sięgające początków XIX wieku, pisane piękną kaligraficzną polszczyzną.

Jest to cenny materiał dla historyków. Pamiętniki jego żony Felicji, a także córki Włodzimierzy, to wszystko jest cennym źródłem prawdziwej historii rodzinnej.

Część materiałów udało mi się już wykorzystać dla przypomnienia postaci naszej mamy – Włodzimierzy Dobaczewskiej (z domu Korsak), która jak się okazało była odaną harcerką, nie tylko za czasów, które myśmy pamiętali, ale także w tajnych szeregach podczas wojny. Udało mi się odszukać, że jeszcze przed wojną swoje pierwsze kroki harcerskiej służby robiła w Cisowym Dworku, w szkole Olgi Małkowskiej. Okazuje się, że działa się to również dzięki ojcu – Włodzimierzowi, który już w Rydze (podczas swojej nauki) uczestniczył w tajnym harcerstwie (skautingu), znał i wiedział jak pozytywny wpływ ma ta organizacja na wychowanie młodego pokolenia.

Aby poznać całą historię „Żywego drzewa Włodzimierza”, trzeba cofnąć się do czasów, kiedy to mały Włódzio przyszedł na świat w Anińsku...

* * *

Jako wnuczce, trudno mi ocenić twórczość Włodzimierza Korsaka, ponieważ patrząc na nią – siłą rzeczy – trochę sentymentalnie, przez pryzmat rodzinny. Myślę, że jako pisarz prawie nigdy nie wykraczał w twórczości poza doświadczenia własnego życia, a jednocześnie książki pozwalają dokładniej poznać biografię Korsaka i jego podejście do przyrody, szczególnie do zwierząt. Twórczość Włodzimierza stanowi już zamkniętą kartę w dziejach polskiej literatury i plastyki. Jego najlepsze prace powstały w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Napisał wtedy najgłośniejsze książki, stworzył najlepsze prace plastyczne (rysunki, obrazy i fotografie), zauważone przez krytyków i miłośników sztuki, nie tylko łowieckiej.

Opisy dawnych polowań na zwierzęta, które dzisiaj są już pod ochroną, to egzotyka jego tematów, echa kultury kresowej. Jest to też świadectwo kultury i czasów, w jakim te książki powstawały. Były owocem wieloletnich doświadczeń myśliwskich niestrudzonego łowcy przygód, gorąco kochającego przyrodę.

Korsak był znakomitym praktykiem terenowym. Często lubił opowiadać o swoich wyprawach, polowaniach i myśliwskich przygodach. Był dobrym gawędziarzem, lubianym przez grono przyjaciół, zapraszany na różne spotkania autorskie. Z czasem coraz większą przyjemność sprawiało mu polowanie, ale obiektywem. Utrwalanie tych cudownych chwil obcowania z naturą.

W okresie międzywojennym wydał kilkanaście książek. Wspomnę tylko *Rok myśliwego* (debiutancka książka, która ukazała się ponad 100 lat temu) wydany w 1922 roku w nakładzie ponad 6 tys. egzemplarzy. To do dziś poszukiwana pozycja wśród pasjonatów. Nakład był kilkakrotnie wznawiany (w okresie międzywojennym), podobnie jak inne pozycje: *Na tropie przyrody* (1922) czy *Ku indyjskiej rubieży* (1923), które zostały wydane w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. *Pieśń puszczy* wydana w Warszawie (1924) to kolejna powieść myśliwska z rysunkami autora. W 1925 roku ukazała się niewielka monografia *Cietrzew*, która otrzymała główną nagrodę

na konkursie literackim „Przeglądu Myśliwego i Łowiectwa Polskiego” w 1924 roku. Była to pierwsza monografia myśliwska cietrzewia w Polsce z przedmową historyczną Juliana Ejsmonda. Kolejne pozycje to *Z polskiej kniei* (Warszawa 1924), *Łoś w Polsce* (Warszawa 1934), *Dary lasu* (Warszawa 1934), *Puszcza Rudnicka* (Lwów 1937), *Leśne ogniska* (Warszawa 1939).

Szczyt osiągnięć twórczych przerwała wojna, którą spędził Włodzimierz w Wilnie wraz ze swoją żoną i córką. Gdy został aresztowany (przez Litwinów), spędził kilka miesięcy w więzieniu na Łukiszkach, skąd cudem udało mu się wydostać. Trauma wojenna jednak pozostała i kiedy Państwowy Urząd Repatriacyjny rozpoczął transporty Polaków na „Ziemie Odzyskane”, Korsakowie zgłosili się jako pierwsi. Tym sposobem znaleźli się w Gorzowie i stali się pionierami odradzającej się polskości w tym mieście.

W Gorzowie zajmował się już przeważnie działalnością popularyzatorską, publicystyką, dużo fotografował i malował. Wydał jedynie dwie nowe książki: *Na tropach przyrody* (Olsztyn 1962, wznowiona 1978) i *Las mi powiedział* (Zielona Góra 1969). Za życia stał się postacią legendarną, zwłaszcza w środowisku myśliwych i miłośników przyrody. Nazywano go piewcą przyrody i przygody myśliwskiej, ostatnim prawdziwym polskim nemrodem. Określenie to chyba najtrafniej charakteryzuje jego twórczość. Książki były zalecane przez Ministerstwo Oświaty. Uczyły wrażliwości i skupionego patrzenia na przyrodę, szczególnie na zwierzęta. Był myśliwym, który zamienił broń na aparat fotograficzny. Jako jeden z pierwszych widział konieczność ochrony przyrody. Przeniósł do Gorzowa i zaszczerpił również w nas – wnukach, miłość do przyrody, ale również do kresowej obyczajowości, dawnej kultury polskiej, która już odeszła w przeszłość.

Dla dzisiejszego czytelnika książki Włodzimierza Korsaka mogą wydawać się pisane nieco przestarzałym językiem. Zauważyć można rozlewność stylu, często zbytnią egzaltację. Jednak niektóre fragmenty nadal mogą fascynować, czego przykładem była książka wydana już po jego śmierci (1983) przez Bibliotekę Literacką Gorzowskiego Towarzystwa Kultury *Tamte polowania*. Krystyna Kamińska dokonała w niej wyboru różnych ciekawszych fragmentów z poszczególnych wydawnictw „różnych polowań, nawet tych bezkrwawych”, a Zofia Nowakowska opatrzyła postawami i bogatym życiorysem Korsaka. Trzeba przyznać, że są to dwie postaci Gorzowa, które przyczyniły się do pielęgnowania dorobku twórczego Korsaka, za co, jako rodzina, jesteśmy bardzo wdzięczni.

Mottem do *Tamtych polowań* był cytat zaczerpnięty z książki, którą dostałam od Dziadziusia 27 września 1962 roku z osobistą dedykacją: „kochanej wnuczce Helenie Dobaczewskiej”. Wprawdzie miałam wtedy osiem lat, ale była ona dla mnie cenną pamiątką, którą zachowałam do dziś i która stała się drogowskazem na dalsze lata.

Piękno rzeczywiste można znaleźć wszędzie w przyrodzie. Nie tylko w jakimś imponującym widoku gór, malowniczym zakręcie rzeki czy szklanej

tafli lub wzburzonej falą powierzchni jeziora. Często nic nie znaczący szczegół zawiera skarbnicę tego właśnie piękna. Trzeba tylko umieć je zobaczyć i odczuć, umieć wyłowić ten szczegół z banalnego często otoczenia, dostrzec drobny chociaż przebłysk, tę iskrę, przemawiającą do naszej jaźni. Trzeba zwracać na wszystko uwagę, mieć oczy wciąż szeroko otwarte.

Wł. Korsak, *Na tropach przyrody*, s 83. Olsztyn 1962

Z ostatniej książki Włodzimierza Korsaka *Las mi powiedział*, również zachowałam w pamięci kilka fragmentów:

Las mi powiedział: czemu wy, ludzie, jesteście nieraz tak smutni i bezradni? Czemu myślicie tylko o swoich troskach i udrękach? Bo zapomnieliście o Matce-Przyrodzie, która mogłaby was przytulić, pocieszyć, wskazać właściwą drogę. Boście odeszli daleko od przyrody.

(...) Las mi powiedział: szukaj piękna wszędzie, gdyż wszędzie można je znaleźć i w całej przyrodzie, i w życiu człowieka, a zwłaszcza w jego wszelkiej twórczości.

(...) Las mówił: odzyskasz spokój ducha, który zatraciłeś w wiecznej krzątaniu koło spraw osobistych. Gdy ukochasz przyrodę – umiłujesz również ludzi, którzy mimo wszystko są jej nieodłączną częścią. A gdy umiłujesz ludzi, zyskasz i wśród nich szczerych przyjaciół, którzy również dopomogą ci nieść wielki nieraz ciężar życia, ośłodzą niejedną smutną chwilę – może właśnie w tym czasie, gdy ze mną nie będziesz mógł obcować.

Zofia Nowakowska w *Tamtych polowaniach* tak m.in. pisze o Włodzimierzu Korsaku:

(...) W Gorzowie Włodzimierz Korsak był popularny. Młodzię znana go przede wszystkim jako pisarza, dorośli jako – pisarza, myśliciela i plastyka. Delikatne prace plastyczne wykonane piórkami kolorowym eksponowane były kilkakrotnie w MPiK-u i w muzeum. W Gorzowie obchodził w 1972 roku jeden ze swoich jubileuszy – 50. rocznicę wydania pierwszej książki – „Roku myśliciela”. Z tej okazji otwarto w muzeum gorzowskim Izbę Pamięci poświęconą jego życiu i twórczości. Szanowny Jubilat współuczestniczył w organizacji tej uroczystości, a na otwarcie zaprosił wszystkich swoich przyjaciół. Zjechali się więc leśnicy z okolicznych leśniczówek, приятелие po piórze, a wśród nich Tytus Karpowicz, który zabierając głos nazwał Wł. Korsaka swoim nauczycielem. Gorzowianie obecnością i wypowiedziami podkreślali szacunek dla pierwszego twórcy kultury w mieście po roku 1945. Była to ostatnia wizyta Korsaka w Gorzowie. W rok potem już nie żył.

Rzeczywiście, zmarł 23 września 1973 roku w Krakowie, mając 87 lat. Jednak dzięki staraniom władz miasta Gorzowa i takim pasjonatom jak pani Zofia Nowakowska, po dziesięciu latach sprowadzono prochy Włodzimierza Korsaka i został on pochowany, wspólnie z żoną Felicją, na cmentarzu w Gorzowie przy ul. Żwirowej w Alei

Zasłużonych. Miało to miejsce 20 listopada 1983 roku. Do dziś powstało w Gorzowie i na Ziemi Lubuskiej wiele miejsc upamiętniających twórczość Włodzimierza, o którym Leopold Pac-Pomarnacki pisał: „Ten skromny pisarz nie ubiegał się nigdy o sławę i wawrzyny. Tworzy – wiedząc, że prace jego są potrzebne”.

Michał Pawlikowski w „Wiadomościach Londyńskich” (9.IX.1958 roku) pisał:

Włodzimierz Korsak nie należał do żadnego klanu, do żadnego cechu, do żadnej kliki. Był samotnikiem artystą. Szedł własnymi drogami, a nauczycielami były mu knieje i doświadczenia. W świecie myśliwskim był sławny.

Legitymację Związku Literatów Polskich dostał w 1959 roku, był więc współtwórcą, jednym z sześciu założycieli, w 1962 roku Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, chociaż do końca czuł się gorzowianinem. Szkoda, że oddział w tym mieście powstał dopiero po 30 latach. Jaka byłaby to radość dla Włodzimierza. Stulecie od jego debiutu i 50-lecie odejścia i tak zostało zauważone i docenione przez miasto, które tak pokochał.

HELENA DOBACZEWSKA-SKONIECZKA

PAJĘCZYNA MYŚLI

Pajęczyna utkana
z marzeń
spływających dni
urwanych pragnień
i słów splecionych
przeznaczeniem

Słowa
tączą się w wiersze
wiersze wybijają
godziny wspomnień

Dzisiaj szukamy
bramy do jutra
która otworzy
kolejny dzień

Przerwaną nić
tkamy od nowa
a myśli przesypane
plażowym piaskiem
wzbijają się obłokami
do nieba



Foto: archiwum domowe

JESIENNY DYWAN

Dywan liści szumią
pod nogami
nagie drzewa kłaniały się przegładaty
w kałużach – lustrach
nie byłam Alicją
co przeszła na drugą stronę

Stałam i patrzyłam
na zasypiający świat
on obudzi się wiosną
jesień daje nadzieję
złoto zmieni się
w szmaragd

Wersetem blasku
przestałam szyfr tęsknoty
w granice cienia
gdzie inkantacja
z taktowaniem życia
staje się ołtarzem
przeznaczenia

CO LAS CI POWIEDZIAŁ

Wiatr w gałęziach
otwierał inny świat
zielonych bram
struktury cudu

Zieleń ślizgała się
w słońcu
drzewa rosły w ciszę

Teraz złomy drzew
na karczowisku
świszcze wiatr

Zraniony las
krzyczy
przyciętymi pniami

OKAMNIENIE

Otworzyłeś oczy
 Nastuchiwałeś, leżałeś
 dreptałeś, chodzites
 biegales i śmiales się

Garściami
 zajadales młodość
 ulicami szczęścia
 paradowales dumnie

Pocieszales zautki
 smutku i zwątpienia
 Ora et labora
 szumiato życie

Spijales nektar trudu
 z kroplami dnia powszedniego
 tak samotne drzewo
 zmienilo się w las

Śmiales się, biegales
 chodzites , dreptales
 lezales i nastuchiwales
 Zamknales oczy...

ŚWIATŁO

Smuga światła
 wciśnięta
 między okiennice
 rozdziera ciemność
 w ramionach
 zmęczenia

Muzyka nieba maluje
 nuty szczęścia
 naga rzeczywistość
 rozjaśnia świat

Życie przeplata się
 ze śmiercią
 zawsze jest czas
 i nigdy go nie ma

WŁODZIMIERZ KORSAK (1886-1973): polski podróżnik i popularyzator przyrody. W okresie międzywojennym Główny Łowczy Rzeczypospolitej Polskiej i łowczy w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie. Pisarz. Autor licznych powieści przyrodniczo-podróżniczych. Utrwalał tajemnicę lasu w słowach, rysunkach i fotografiach, a także w pisanych przez siebie książkach. Po wojnie był prekursorem życia literackiego w Gorzowie i założycielem Oddziału Ligi Ochrony Przyrody. Był gorącym zwolennikiem edukacji przyrodniczej w Polsce. Pochowany w Gorzowie w Alei Zasłużonych.

HELENA SKONIECZKA (Z D. DOBACZEWSKA): urodzona w Gorzowie, wychowała się na Patukach, od 1973 roku mieszka w Bydgoszczy. Poetka, eseistka i animatorka kultury. Autorka licznych projektów literackich i artystycznych, szczególnie w Okręgu Kujawsko-Pomorskim PZN. Redaktorka wydawnictw związkowych, m.in. serii Biblioteka OKATiK-a PZN. Literacko zadebiutowała w Kielcach (2006). Autorka kilkunastu publikacji (dziesięciu tomików poetyckich), które publikuje pod nazwiskiem Helena Dobaczewska-Skonieczka. Członkini Związku Literatów Polskich, instruktorka ZHP i wieloletnia działaczka w ruchu esperanckim. Wnuczka Włodzimierza Korsaka.

WIĘCEJ NIE ZNACZY CIEKAWIEJ

Roman Habdas

Po raz wtóry poproszono mnie o napisanie wspomnienia dotyczącego gorzowskiej poetki Marii Przybylak. Pierwszy szkic, który zamieszczony został w „Pegazie Lubuskim” nr 5 (34) w 2008 roku, a który przed pisaniem owego, raz jeszcze przeczytałem, zawiera bodaj wszystko, co chciałem od siebie przekazać. Czy zatem dopowiadanie na siłę czegoś więcej o Pani Marii wyostrzy Jej postać? Dla jednych tak, dla innych nie. Co mi pozostaje zatem?

Po napisaniu powyższego wstępu przez resztę dnia szukałem dla siebie odpowiedzi. Raz jeszcze przeczytałem wcześniejszy szkic i zauważyłem, iż dwukrotnie odniosłem się w nim do Ducha Świętego, który jest mi nieustannie ucieczką. Tak i tym razem, rozmawiając z Nim, tak zwyczajnie po męsku, usłyszałem w swojej głębi: „Nie wysilaj się na wodolejstwo, więcej nie znaczy ciekawiej”.

Maria była mi (piszę to bez patosu) jak Matka prowadząca za rękę w pierwocinach wierszyków. Ojcem zaś bezpośredni, konkretny, a nawet – jak ojcu do syna w nauczaniu przystoi – ciut szorstki, Kaziu Jankowski, który jest niemniej odnotowania wart właśnie tu i teraz. Oboje tworzyli nie tylko kadrę pracowniczą „Stilonu”, ale trzon tzw. erestekowej gorzowskiej grupy literackiej. Solidni warsztatowo i wystarczająco adekwatni, by raczkujący w stowarzyszeniu wierszokleci pod ich okiem wspinali się po lokalnej „drabince krytyków” na gorzowski literacki „Parnasik”. Maria Przybylak, co należy przytoczyć, urodzona w poleskiej krainie szuwarów i bagien w 1929 roku, ukończyła zaledwie trzy klasy szkoły powszechnej. Dużo i mało, ale wystarczająco, aby rozwijać i pielęgnować w sobie to coś, co w Jej duszy zagrało. A poleszuckiej dziewczynie grała nie tylko wołynka czy żeleżka, ale także wyniesiona z domu wiara mocowana w głębi, jak pisała, pieśniami z kantyczki. Wiersze Przybylakowej tchną religijnością i zwyczajnością dni, dostatek w nich Dekalogu, esencji czułości dla drugiego człowieka, trudu i radości z pracy. Doświadczona życiowo wczesnym odejściem męża, opieką nad dziećmi, w tym, nieomal do chwili śmierci, nad niedowidzącym synem, wносиła z każdym przyjściem na czwartkowe spotkania Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury tchnienie pogody ducha. Skąd Pani Maria, tak doświadczana przez życie, miała w sobie tyle światła? A dlatego, że – jak pisała w jednym z przepięknych wierszy o swojej matce – wniosiła w swoje trwanie powtarzane przez matkę słowa (cytuję z pamięci): [...] *zakochaj się, dziewczyno, zakochaj się w robocie* [...]. W jakiegokolwiek, byle rzetelnie i uczciwie wykonywanej. I taka postawa poparta pełnią wiary daje wewnętrzną pogodę i światło na chwile drogi w ciemnościach, gdzie potknięcia i upadki.

Niosło i mnie Jej zaangażowanie, przykładanie rąk do wszystkich, za Jej życia, organizowanych przez RSTK Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych, od Dankowa zaczynając, przez Lubniewice, aż po Garbicz. Zawsze oddana każdemu z uczestników, zawsze przygotowana do autorskich wystąpień, do wszelakich tam działań. Nie mniej czasu poświęcała, od chwili przyjęcia do ZLP i utworzonego w Gorzowie Wielkopolskim jego oddziału, na współpracę z prezesem Ireneuszem Krzysztofem Szmidtem. Pamiętam, jak bardzo zależało Pani Marii na zrodzeniu się naszego „Pegaza Lubuskiego”. Obowiązkowa – jak mało kto – przynaglała mnie, by razem pojawić się u wspomnianego Irka w dniu, w którym zaplanował pierwsze, do powołania pisma, spotkanie. Późnym i zimnym popołudniem dotarliśmy na ulicę Matejki, ale pozostali zaproszeni, niemający poczucia obowiązkowości takiego jak Maria, zawiedli. Nie pozostało mi wtedy nic innego, jak Panią Marię odwiedzić do domu. Ową przystugę czyniłem dla Niej zawsze z wewnętrznej potrzeby. I z tej potrzeby owo wspomnienie. Niebawem, 29 grudnia, minie 15 lat od chwili Jej śmierci.

ROMAN HABDAS: urodzony w 1956 roku w Mosinie koło Poznania, w Gorzowie mieszka od 1978 roku. Z zawodu technik technologii żywienia i mistrz kelnerski. Pasjonat wędkarstwa spinningowego. Wydał cztery tomiki wierszy, ostatnio *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017). Autor dwóch książek prozatorskich: opowieści *Maty Paryż* (2015) i zbioru opowiadań *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). W 2012 roku opracował i wydał Stacje Drogi Krzyżowej z tłumaczeniem na język litewski. Członek ZLP.



IRENA DOWGIELEWICZ – IN MEMORIAM

Mirostawa Szott

Foto: Czesław Łuniewicz



Irena Dowgielewicz – dla mnie najciekawsza pisarka (obok Papuszy) związana z Gorzowem Wielkopolskim. Osobowość, nad którą nie raz zastanawiał się w mojej obecności Janusz Koniusz. Obecnie wiele zawdzięcza pani Janinie Kaliszan, która niestrudzenie oprowadza mnie po Gorzowie i Witnicy (narażając się niektórym). Ale do naszych wspólnych poszukiwań będę miała okazję jeszcze powrócić.

Chciałabym skupić się na kilku faktach dotyczących Ireny Dowgielewicz. Urodzona 31 grudnia 1917 roku (według własnoręcznie napisanego życiorysu) w Kijowie. Około roku 1922 przeprowadziła się z rodzicami

do Polski. Mieszkała m.in. w Warszawie, a na Ziemię Lubuską przybyła dopiero po wojnie, w 1946 roku i podjęła tu pracę na ważnych stanowiskach. Pracowała jako dyrektorka fabryki mebli w Witnicy, a także jako naczelnik Wydziału Pracy i Płacy w Zjednoczeniu Przemysłu Meblowego w Poznaniu. W wieku 34 lat wyszła za mąż za Michała Dowgielewicza. Zajmowała się dwiema córkami męża z pierwszego małżeństwa. Przerwała pracę zawodową z powodu choroby (w dostępnych źródłach nie pada jej nazwa). W działalność literacką zaangażowała się stosunkowo późno, bo dopiero pod koniec lat 50. XX wieku, mimo że jako poetka debiutowała już w roku w 1933 roku na łamach „Kuźni Młodych”. Irena Dowgielewicz jest autorką trzech zbiorów opowiadań (*Lepszy obiad* 1962; *Przyjadę do ciebie na pięknym koniu* 1965; *Most* 1968), jednej powieści (*Krajobraz z topolą* 1966), zbioru opowiadań o zwierzętach dla młodzieży (*Wujaszek Snep i inni przyjaciele*, 1999) oraz sześciu tomików wierszy, w tym wyborów utworów (*Sianie pietruszki* 1963, *Stadion dla biedronki* 1970; *Tutaj mieszkam* 1973; *Wiersze wybrane* 1977; *Znalazłam świątko* 1989; *Tutaj mieszkam «wybór utworów»* 2001). Jej pisarstwo było pod wieloma względami pionierskie, dość zauważyć, że zbiór opowiadań *Lepszy obiad* z roku 1962 to pierwsza lubuska książka prozatorska. Pod koniec życia poetka mocno chorowała i w ogóle nie wychodziła z domu. Zmarła w roku 1987 w Gorzowie Wlkp.

Pisarstwo Ireny Dowgielewicz wyróżnia się na tle literatury lubuskiej, powstającej w latach 60. i 70., zarówno pod względem tematyki, jak i perspektywy kobiecej – w centrum tej twórczości znajdują się sprawy rodzinne i życie codzienne. Jej

opowieści wpisują się w nurt określany współcześnie mianem antropologii codzienności, a ona sama reprezentuje pisarki klasy *minor* (koncept Elaine Showalter) i z tej perspektywy przypadek Dowgielewicz wydaje się bardzo interesujący. Utwory gorzowskiej pisarki nie zostały dotąd poddane wyczerpującej analizie, nie interpretowano ich także pod kątem biografii autorki. Dotychczas ukazały się jedynie pojedyncze artykuły na temat jej pisarstwa (pisali o niej m. in. Henryk Bereza, Tomasz Burek, Bohdan Zadura, Ksymena Filipowicz-Tokarska, Katarzyna Krysińska) oraz niezwykle cenne wspomnienia Janusza Koniusza. Powstały też dwie audycje radiowe na jej temat (Ireny Linkiewicz, *Stadion dla biedronki*, 1986; Izabeli Patek, *Przyjadę do ciebie na pięknym koniu*, 2019).

Twórczość Dowgielewicz można odczytywać na dwa sposoby. Pierwszy uwzględnia to, co zostało eksplicytnie wyrażone, nazwane, drugi jest poszukiwaniem tego, co przemilczane. Ta druga ścieżka lektury zwraca uwagę na sposób narracji, w której „margines zajął miejsce centralnego zapisu” (I. Dowgielewicz, *Krajobraz z topolą*, Poznań 1966, s. 123). W tej narracji uderza np. brak sentymentalnych opisów miejsca dzieciństwa, ale też ukryta tęsknota za Warszawą i innymi miejscami, z którymi pisarka czuła się związana, nieprzypadkowo w jednym z jej wierszy pojawiają się słowa: „Więc milczymy. Stare miasta dźwigamy” (***) *Mamy takie stacje...*). Z pewnością sytuacja polityczna nie sprzyjała „prawdzie uczuć”, a styl pisarki nosi ślady obowiązującej w PRL-u poetyki, ale oszczędność uczuć ma jeszcze inne, biograficzne podłoże, któremu warto się przyglądać.

Irena Dowgielewicz jest też znakiem kultury lubuskiej. Jej imię obecne jest w nazwie jednej z gorzowskich ulic, istnieje także głąz z tablicą pamiątkową poświęconą jej osobie przy ulicy Dąbrowskiego w Gorzowie Wielkopolskim, a także w Witnicy. Ponadto warto wspomnieć o gorzowskiej Alei Gwiazd (przy Starym Rynku), gdzie znajduje się tablica poświęcona m.in. Dowgielewicz, oraz o jej piersiu znajdującym się w Bibliotece Herberta. Cieszy to, że gorzowianie pamiętają o swojej pisarce. Warto byłoby podjąć prace nad wznowieniem jej twórczości (o ile udałoby się wyjaśnić, kto jest spadkobiercą praw do jej utworów).

MIROŚŁAWA SZOTT: poetka, krytyczka literacka, literaturoznawczyni, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku*, *Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie, wspiera projekty wydawnicze, ale przede wszystkim lubi niespieszne rozmowy z napotkanymi ludźmi. Obecnie mieszka w Zielonej Górze.

POGRANICZA, CZYLI MIEJSCA WRAŻLIWE W TWÓRCZOŚCI RYSZARDA KRYNICKIEGO

Katarzyna Taborska

Ryszarda Krynickiego określić można mianem poety wędrowca po różnych czasach, miejscach i przestrzeniach. Podróże literackie twórcy wiążą się z jego przeżyciami. Ilustruje to między innymi film biograficzny Adama Sikory zatytułowany *Nadal wracam. Portret Ryszarda Krynickiego*, który powstał 2016 roku. Ukazuje on bohatera jako człowieka dookreślanego czy dookreślającego się poprzez miejsca, na przykład urodzenia w Austrii w 1943 roku czy zamieszkania na terenach przyłączonych do Polski po II wojnie światowej. Krynicki jest absolwentem liceum w Gorzowie (niem. Landsberg an der Warthe) i między innymi właśnie to pogranicze niemiecko-polskie uwidacznia się w jego poezji. Jedną z interpretacji wiersza o pograniczu landsbersko-gorzowskim znajduje się we fragmencie tekstu Małgorzaty Czermińskiej – badaczki, która wprowadziła do literaturoznawstwa kategorię miejsca biograficznego jako istotnego punktu odniesienia odbioru tekstów kultury. Gdańska uczona przedstawiła swoją wizję geobiograficznych treści wiersza zaczynającego się od słów *Nie wiedziałem*:

„[...] dzięki poezji możliwe okazuje się znalezienie więzi z przypadkowym miejscem dzieciństwa, jakim był dla Krynickiego Gorzów Wielkopolski. Nie łączyła z nim młodego chłopca żadna rodzinna tradycja [...]. Dopiero ślad innego poety, niemieckiego ekspresjonisty Gottfrieda Benn, pozwala Krynickiemu włączyć do własnej twórczości miejsce dzieciństwa, w którym dawniej żył nieświadom jego tradycji.

*Nie wiedziałem
W drodze do szkoły
widywałem codziennie
górujące nad miastem pruskie
koszary: nie wiedziałem
że podczas wojny pracował tutaj
jako lekarz wojskowy poeta Gottfried Benn.
Nie wiedziałem wtedy zbyt wiele o chorobach
ani o poezji.*

Autor opatrzył wiersz przypisem: *Pisane w Gorzowie Wielkopolskim (wcześniej: Landsberg an der Warthe)* (cytat za K. Taborska, *Literatura miejsca. Landsberski przypadek Gottfrieda Benn, [w:] Nowy regionalizm w badaniach literackich. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, red. M. Mikołajczak, E. Rybicka, Kraków 2012, s. 295).

Nie jest dla mnie jasne, skąd bierze się założenie interpretacyjne, że Ryszard Krynicki żył „nieświadom tradycji miejsca”. Wprost przeciwnie, świadomość niemieckiej historii stanowi – w moim przekonaniu – dominantę konstrukcyjną obrazu miasta wytaniającego się z tego tekstu. Jak wskazują różnorodne przekazy medialne z drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku, poczucie niemieckości znaków kultury na przejmowanym przez Polskę obszarze było powszechne wśród polskich przybyszów. Odkrycie przez Ryszarda Krynickiego obecności w Landsbergu niemieckiego twórcy – Gottfrieda Benna (który jako lekarz zmuszony był w czasie wojny do służby medycznej w koszarach, położonych na wzgórzu w niedalekiej odległości od landsberskiego dworca kolejowego), wskazuje na wnikliwe zainteresowanie historią miejsca, a sam wiersz dowodzi umiejętności syntetyzowania historii mieszkańców miasta sprzed 1945 z historią powojennych przybyszów. Bohater wiersza Krynickiego jest człowiekiem poznającym ziemię wielu kultur i tradycji, jakim stały się nowe pogranicza niemiecko-polskie utworzone na mocy układów jałtańsko-poczdamskich.

Niezwyčajność tekstów Krynickiego wiąże się z rodzajem paradoksu charakteryzującego wielką sztukę: z jednej strony odnoszą się one do konkretnego przeżycia, wydarzenia czy terytorium, z drugiej mają charakter uniwersalny, ponadczasowy. Utwory Krynickiego ukazują doświadczenia ludzi żyjących na pograniczach, ludzi egzystujących w przestrzeniach wielokulturowych oraz różnojęzycznych. Przykładem może być – obok wcześniej cytowanej liryki – fragment narracji z utworu *Kamień z Nowego Światu*:

„Dopiero kiedy odwróciłem go na drugą stronę, okazało się, że ten ciężki piaskowcowy krąg, wyglądający jak górna część żaren, kamień szlifierski lub studzienna pokrywa, został wycięty ze starej macewy. Z okaleczonej inskrypcji można jedynie domyślać się imienia zmarłej: [Br]ejnche [Bräunche?], tego, że była wdową oraz daty śmierci [...]

Znalazłem ten kamień na zarostym pokrzywami i chaszczami podwórku, niedługo po tym, jak kupiłem podupadły dom w przysiółku Nowy Świat, bardziej ze względu na tę wiele obiecującą nazwę, niż na miejsce. Po wojnie mieszkali tu wysiedleńcy zza Buga, jak ja, wcześniej Niemcy, po których został jeszcze strzęp gazety z 1936 roku na strychu i mnóstwo potłuczonych buteleczek po lekach” (R. Krynicki, *Kamień z Nowego Światu*, [w:] *Kamień, szron*, Kraków 2005, s.15).

W tym tekście ujawnia się empatia i niezwykła wrażliwość na znaki tradycji i sacrum Innych – tych, którzy żyli wcześniej na ziemi zasiedlanej od 1945 przez mieszkańców z różnych terytoriów Polski. W ostatnim akapicie *Kamienia z Nowego Światu* ukazane jest poczucie odpowiedzialności za los odnalezionego fragmentu nagrobka. Co więcej: fragment uwidacznia antyhoracjańskie zwątpienie w siłę słowa pisanego i brak możliwości odwołań do instytucjonalnych strażników pamięci kulturowej miejsc pograniczy. Narrator czuje, że znaleziony przez

niego symbol żydowskiej przeszłości miejsca wymaga budowania społecznej pamięci o znakach kultury dawnego świata oraz uczenia się wyrażania szacunku dla nich i ludzi, którzy je tworzyli.

„Nie pytam, kiedy i jak tutaj się znalazł, ani kto dopuścił się barbarzyństwa. Chcę go tylko uchronić przed dalszym zniszczeniem, szukam dla niego schronienia trwalszego niż moje kruche litery. Nie wiem, co zrobić. W jaki wmurować go mur, skoro po najbliższym w okolicy kirkucie [...], z którego zapewne pochodzi, nie pozostało żadnego śladu, i nikt mi nawet nie może powiedzieć, gdzie się znajdował? Nie wiem, co wolno mi zrobić, a czego nie wolno. Nie wiem nawet, czy wolno mi być chwilowym strażnikiem nagrobnego kamienia. Nie wiem, kogo zapytać o radę i nie wiem, czy zdążę” (R. Krynicki, dz. cyt., s.15).

Te same dylematy dostrzec można w liryce pośredniej z 1979 roku, kreującej wizerunek ówczesnego Poznania:

„Miasto

Nade wszystko ceni gospodarność, porządek i czystość:

zmieniło synagogę w miejską pływalnię,

na parkingach targowych

nie ma śladu po żydowskim cmentarzu” (R. Krynicki, *Miasto*, dz. cyt., s. 21)

Oskarżonym jest tu personifikowany Poznań, którego dzieje tworzyli ludzie co najmniej trzech kultur. Wiersz ma wymiar etyczno-dydaktyczny, uczy trudnej historii miasta. Skłania do refleksji nad odpowiedzialnością za tworzenie i pielęgnowanie miejsc pamięci. Dzięki takiej wrażliwości, jak ukazana w cytowanym utworze, zmieniło się oblicze Poznania w XXI wieku – upamiętniono miejsce cmentarza, oddano synagogę prawowitym właścicielom. Współcześnie wiersz Ryszarda Krynickiego ma już wartość historyczną – świadczy to o sile oddziaływania słowa.

Pogranicze w twórczości tego poety ma też wymiar intertekstualny. W jego utworach występują gry z innymi tekstami kultury. Nawiązania do myśli barokowej, jak i twórczości Johanna Wolfganga Goethego znajdziemy w wierszu *Mińtorzq̄b* – charakterystycznym drzewie miejscowości wielu nowych pograniczniemiecko-polskich, w tym Gorzowa Wielkopolskiego. Oto pierwsza część tego utworu, w której Krynicki postępuje się znanym wyrażeniem z sonetu Mikołaja Sępa Szarzyńskiego ukazującym wątłą kondycję człowieka – „rozdwojonego w sobie”, a także przypomina Goethego jako poetę – miłośnika mińtorzq̄bów:

Był pojedynczy, rozdwojony w sobie

Posadziłem mińtorzq̄b japoński

(na cześć Goethego,

to jasne).

(R. Krynicki, *Mińtorzq̄b*, dz. cyt., s. 44)

Fenomen rozdzielenia „iglastych” liści miłorzębów opisywał też przywołany przez Ryszarda Krynickiego poeta niemiecki. W tłumaczeniu Juliana Przybosia często cytowanym na różnych stronach internetowych pojawia się następujący obraz flory:

„To drzewo ze Wschodu,
Memu powierzone ogrodowi,
Budzi tajny zmysł ku czemuś,
Czego smak li wieszcz wystowi.

Czy to jedność, w swej jedności,
Żywiej rozszczepiona w sobie,
Czy też dwie są to istności,
A za jedną mamy obie?”

J. W. Goethe, *Gingo biloba*, przeł. J. Przyboś, <https://wachtyrz.eu/stary-milorzab-w-pawlowiczkach-w-potrzebie> (dostęp: 20 IX 2023).

Miłorząb jest w przedstawionych wierszach nie tylko drzewem, ale także symbolem różności w jedności. Można go zatem uznać za drzewo symboliczne miejsc różnych kultur.

Czytanie utworów Krynickiego to wędrowanie po miejscach pograniczy nie tylko niemiecko-polskich czy niemiecko-polsko-żydowskich, miejscach wymagających szczególnej wrażliwości i otwartości odbiorczej. W tytule szkicu nazwano pogranicza miejscami wrażliwymi. Takie określenie wynika z faktu, że niezwykle łatwo pominąć – tworząc czy kreując w sobie historię wyobrażoną pograniczy – dorobek kulturowy tych, o których w danym momencie z różnych względów się nie pamięta. Twórczość Ryszarda Krynickiego nie pozwala na takie pominięcia i w tym także tkwi jej szczególna siła – siła czutego narratora zdefiniowanego mistrzowsko przez Olę Tokarczuk.

dr hab. KATARZYNA TABORSKA: profesor AJP, wykłada na Wydziale Humanistycznym AJP; kieruje Pracownią Badań nad Literaturą i Czasopiśmiennictwem Pogranicza, która funkcjonuje w ramach Akademickiego Centrum Badań Euroregionalnych. Bada różnojęzyczną literaturą pograniczy; interesuje się również zagadnieniami polimedialności. Jest autorką monografii: *Krytyka jako autokreacja. Wizerunki Marcela Reicha-Ranickiego; Lektury polimedialności. Studium odbioru; Literatura miejsca. Piśmiennictwo postlandsberskie*. Współredagowała m.in. cykliczne zbiory: *Literatura w mediach. Media w literaturze* oraz tomy *Pogranicze wschodnie i zachodnie* (seria *Kultura na Pograniczach*) i *Literatura zza granic Polski. Diagnozy-prognozy-prowokacje. Wschód*.

MURKI**Maria Fraszewska**

kazał mi
policzyć żebra
nie wiem ile ich mam
nakazał jedno oddać
Adamowi

grabarze
życia codziennego
wyruszyli w świat
piewcy życia
gdzie się podziwacie?!

pytasz jak długo
będę cię kochała
nie wiem ale fantazję
z płatkami jem już
siedem lat bez przerwy

księżyc owoc wieczoru
pręży noc do skoku
siedzimy oboje nad krawędzią
podpierając się horyzontem
zapadamy w panoramę znaczeń

Dokąd podążasz,
wyobraźnio?
Dokąd
mnie
zaprowadzisz?

MARIA FRASZEWSKA: poetka, eseistka, prozautorka. Członkini zarządu ZLP o/ZG. Jest autorką trzynastu publikacji, w tym czterech tomików poetyckich: *Wio w snach* (1995), *Z wiatrem* (1997), *Płonące jęczyczki* (2021) i *Posypana wiatrem* (2022). Współpracowała z gdańską grupą poetycką TOTART. Publikowała m.in. w „Tygodniku Literackim – Śmigło”, „brulionie”, „Pro Libris”, kwartalniku literackim „ReWiry” i miesięczniku literackim „AKANT”. Od 2013 roku uczestniczy w programie unijnym Emultipoetry: „Wiersze na murach”. Mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Współpracuje z Lubuskim Stowarzyszeniem na Rzecz Kobiet BABA.

NIE JEST ŁATWO UWIĆ GNIAZDO

Beata Igielska

Gniazdowanie to powieściowy debiut Kasi Jurczyk. Książka ważna, bo pierwsza w życiu autorki i poruszająca problem przemocy w rodzinie. Mimo poważnej tematyki, całość czyta się szybko, bo akcja obfituje w wiele wydarzeń. Dzieje się dużo. Czasem może nawet zbyt wiele.

Główna bohaterka, Alicja, jest młodą mężatką i matką. To, co początkowo wydawało się rodzinną sielanką, szybko zamienia się w koszmar. Kobieta jest całkowicie uzależniona od męża. Musi minąć kilka lat, zanim zdobędzie się na ostateczne rozstanie.

Jedyną osobą, na której pomoc Alicja może liczyć, jest starsza sąsiadka. Zawodzą nawet rodzice, którzy uważają, że ich córka dramatyzuje. Ostatecznie decydują się przyjmując ją i wnuka do siebie, ale przypadek sprawia, że bohaterka trafia w zupełnie inne miejsce.

Czy uda jej się tam ułożyć życie na nowo? I czy obcy ludzie okażą się godni zaufania? Te pytania towarzyszą czytelnikowi podczas całej lektury, gdyż perypetie Alicji okazują się bardzo burzliwe.

Wciąż coś się zmienia, pojawiają się nowi bohaterowie i nowe wątki, a dzieje się to tak szybko, że w pewnym momencie zaczyna się odczuwać przesyt tych wydarzeń.

Gniazdowanie, jak sugeruje tytuł, to powieść o szukaniu swojego miejsca, bezpiecznego, będącego azylem, dającego poczucie stabilizacji i rodzinnego ciepła. Nie musi to być raj na ziemi, bo to byłaby utopia.

Bohaterka książki Kasi Jurczyk pragnie spokoju i miłości dla siebie, ale przede wszystkim dla dziecka. Wie, że musi o to zaważczyć i jest gotowa na zmaganie się z przeciwnościami losu, bo życie wciąż rzuca jej kłody pod nogi. Dodatkową trudnością w codzienności okazuje się bolesna przeszłość, która nie pozwala o sobie zapomnieć.

Postać Alicji wzbudza w czytelniku współczucie, ale też zwraca uwagę na problem przemocy w rodzinie. Ostatnio dużo się o nim mówi i pisze. I bardzo dobrze, bo tak właśnie można z tym zjawiskiem walczyć.

Niestety, w *Gniazdowaniu* brakuje psychologicznej głębi. Postaci są schematyczne, a mnogości zdarzeń nie towarzyszą opisy przeżyć wewnętrznych. Dlatego nie raz sceny i dialogi wypadają banalnie, a część akcji okazuje się przewidywalna albo naciągana.

Pod względem językowym i stylistycznym książka jest poprawna. Dużo tu krótkich, prostych zdań, które pasują do wartkiej akcji.

Czasem zdarzają się frazy, które na pewno można by napisać lepiej, np. gdy bohaterowie „zamknęli drzwi sypialni i kontynuowali czułość”, bo brzmi to sztucznie. Podobnie rzecz ma się z wypowiedziami sześcioletniego synka bohaterki, który raz mówi jak dziecko, a innym razem wypowiada się tak dojrzałe jak dorośli.

Trochę to irytuje, ale nie psuje lektury.

Czy warto przeczytać *Gniazdowanie*?

Na pewno tak, bo to dobra powieść, niosąca optymistyczne przesłanie, mimo iż odnosi się wrażenie, że autorka nie wykorzystała swojego potencjału. Może następnym razem będzie lepiej...

Kasia Jurczyk, *Gniazdowanie*, Wydawnictwo Na Szczęście, Gorzów Wielkopolski 2023.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 wiceprezeska gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktor naczelnej „Pegaza Lubuskiego”.



OD SWOJSKOŚCI DO WOLNOŚCI. MAGDZIE TURSKIEJ RAZ JESZCZE

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Kiedy milczeniem nie można wyrazić tego, czego nie dało się powiedzieć słowami, a słowami nie da się wypełnić ciszy, warto sięgnąć po Magdę. Dlaczego? Bo pisze ona w przestrzeni między tym, co jest a tym, co może się zdarzyć. Tworzy na granicy światów, uzupełnia luki w wyobraźni, zostawiając jednocześnie miejsce na przemyślenia. Nie byle jakie. Prowokuje do analitycznego zajrzenia w głąb siebie, do przyjrzenia się rzeczywistości z innej perspektywy, a nade wszystko – do znalezienia różnic między faktami a ich interpretacją. Między tym, co nasze a tym, co wtórne – odtworzone, skopiowane i obce.

Turska wypełnia karty swojej książki cierpliwie i starannie, pozwala smakować słowa, jakby chciała powiedzieć: „Cieszcie się chwilą, łapcie ulotne momenty szczęścia albo chociaż spróbujcie je dostrzec”. W pierwszym odbiorze wydaje się, że *Szczęśliwostki* opowiadają nam historie o codziennych radościach, o wzlotach, które nie od razu zauważamy i o szczęściu, które w nas mieszka. Że są przekazem, że szczęście znaleźć można wszędzie, że jest ono w dużych i małych elementach, które spotykamy na drodze zwanej życiem. To poranna kawa osnuta papierosowym dymem, obejrżany film, zwiedzanie Wrocławia czy zbieranie grzybów w jesiennej aurze. To kontakt ze sztuką, rozmowy z ludźmi, podróże, przemyślenia, wypoczynek i praca. Tak. Wszystko się zgadza. I ja też się z tym zgadzam.

Jednak nadrzędną wartością, o jakiej pisze Magda jest... wolność. Coś, o czym coraz częściej zapominamy, czego nie potrafimy już zauważyć, zrozumieć i zatęsknić. Bo jak mamy tęsknić, skoro nigdy wolni nie byliśmy? Wolność tracimy tuż po narodzinach – wraz z wtłoczeniem w system, stajemy się częścią rozmaitych grup. Wolność odbierana jest pierwszym szczepieniem, rejestracją w urzędzie, nadaniem imienia i oczekiwaniami, które mają wobec nas inni. Nie mamy szansy poznać, czym jest i jak smakuje. Możemy jednak wyzwolić nasz umysł, choć i nasze myśli są pętane od najmłodszych lat. Teksty Turskiej są przede wszystkim o wolności. W absolutnie każdym tego słowa znaczeniu.

Autorka maluje nam obraz życia takim, jakim ono jest. Bez jaskrawych, nie-naturalnych kolorów, bez zbędnego upiększania. Świat ukazuje oczyma czystej duszy, niezasmańconej mnogością porównań, do których „należy się odnieść”, choć sama się do źródeł odwołuje. Ale te intertekstualne odwołania służą do pokazania prymarnych emocji i odczuć, niezniekształconych jeszcze opiniami innych. To przekaz szczęśliwego dziecka, które widzi rzeczywistość taką, jaką ona jest – w całym jej prostym pięknie i pięknej prostocie – bez zdziwienia, że mogłoby być inaczej. Ta cecha jest darem, jest szczęściem pierwszego odbioru,

nieskażonego lękiem zastaniającym małe i duże radości, jest wolnością myśli.

Magda Turska szuka więc szczęścia w sobie, starając się przy tym, by zdobyta wiedza i doświadczenia nie były obciążeniem. Chce znaleźć sposób na pełne przeżywanie ulotnych chwil szczęścia. Próbuje, sprawdza i... nie ocenia.

W książce rzeczywistość opisana jest na rozmaitych planach – od najmniejszego, który jest tylko myślą i impulsem do działania, do planu szerokiego, zahaczającego o ponadczasowość. *Szczęśliwostki* stają się zatem połączeniem koła hermeneutycznego i konfesji, które same w sobie stanowią egzegezę życia. Żaden szczegół nie może być analizowany bez ogólnego spojrzenia na tekst i odwrotnie. Tu ważne jest wszystko.

Na uwagę zasługuje także język, którym posługuje się autorka. Każde z opowiadań napisane jest w stylu dobranym do treści, podkreślającym odrębność poszczególnych historii. Formą mówi nam o tym, że – choć jesteśmy inni – pewne doświadczenia i odczucia są uniwersalne. Sens dosłowny i ponadczasowy przeplatają się w słowach, obrazach, kształtach i rymach.

Kolejnym walorem książki jest ciekawy zabieg połączenia narracji pierwszoosobowej z jednoczesnym przedstawianiem siebie z pozycji kogoś, kto stoi z boku, kto obserwuje własne ciało jak obcy byt z uwięzioną wewnątrz niego duszą – zmuszaną do życia według ustalonych reguł.

Całe życie dążymy do szczęścia, do poczucia spełnienia. Jest to naszym celem, wyzwoleniem i... przypadłością, którą często zgniatamy w załączku, nie pozwalając się jej rozwinąć. Turska pisze o ograniczeniach, jakie narzuca nam własny umysł – to zbytne analizowanie rzeczywistości i ciągłe porównania. To także ramy, które przygotowali dla nas inni. Wyzwolenie z nich własnego „ja” i dążność do wolności nie jest szczęśliwostką. Jest szczęściem najwyższej rangi. Jest, jak pisze autorka, „normą bez normy”.

Magda Turska podarowała nam jasność. Pełnia życia to nie tylko jego bierne odczuwanie. Szczęście to możliwość dzielenia się nim z innymi. Szczęście to ekspresja, spontaniczność, twórczość, możliwość wyrażenia siebie czynami i słowami. Po te ostatnie Turska sięga jak po swoje, z niezwykłą lekkością przenosząc czytelnika w sferę refleksji nad sobą. Nakłania do zapewniania kart życia starannie, minuta po minucie i godzina po godzinie w taki sposób, w jaki ona stworzyła *Szczęśliwostki*. W tej niespieszności i smakowaniu życia znajdziemy siebie. I wolność.

PRZEBUDZENIE POEZJI PO DŁUGOLETNIEMU DRZEMCE

Robert Rudiak

Pochodząca z Żar poetka Grażyna Rozwadowska-Bar wydała właśnie swój trzeci zbiór poetycki zatytułowany *Obudziłam wiersze*, który ukazał się po... 23 latach milczenia. I mimo że poetka debiutowała w prasie wierszem w wieku 20 lat, to na debiut książkowy zdecydowała się dość późno, bo w wieku 38 lat. Wówczas ukazał się jej tomik *Zapraszam do domu* (Wyd. AND Zielona Góra-Wrocław 1999), a trzy lata później drugi *Nie lubię zegarów* (Wyd. Pro Libris, Zielona Góra 2000). Przed ukazaniem się tych książek poetyckich autorka należała do żarskiej Grupy Literackiej Dziewin-Młodzi, a po ich wydaniu została członkinią Związku Literatów Polskich, zamieszczała wiersze w prasie oraz w antologiach poetyckich. Przez pięć lat była również przewodniczącą Klubu Literackiego ZLP w Żarach, powołanego z ramienia zielonogórskiego Oddziału.

Cóż zatem się stało, że aktywna poetka zamilkła wydawniczo na ponad dwie dekady? Wiersze, które znalazły się w najnowszym zbiorze, a jest ich 24, podzielone zostały na trzy cykle – *Stare fotografie*, *W drodze i Lubię powroty*. I mimo że autorka nie stosuje przy swoich tekstach datacji, wiele z nich pochodzi właśnie z okresu jej wieloletniego „zamilczenia”. Można zatem by rzec, że budząc do życia nowe, przebudza stare i to w kontekście całościowym, gdyż nie idzie tu tylko o materię wiersza, ale o retrospektywną tematykę. Rozwadowska-Bar powraca bowiem do wspomnień, do lat dzieciństwa, do historii, rozpamiętuje dawność i ocala własną przeszłość. Ale po kolei, choć zacznę od... końca, bowiem ostatnim, zamykającym tomik wierszem, jest właśnie ten tytułowy, i – co ciekawe – jest bez tytułu. W nim to podmiot wyznaje, dlaczego dokonał przebudzenia swojej twórczości:

*obudziłam wiersze
uśpione snem wielozimowym*

*drzemały na półkach
między książkami
wtulone w słowa*

*latami
szukałam swoich wierszy
po całym świecie mojego pokoju (...)*

*wiersze
długo spały ukryte
między książkami*

i długo ich szukałam

Poezja służy autorce „zbudzonych wierszy” do nazywania i opisywania, do zatrzymywania czasu, wspomnienia, zapamiętywania i przypominania tego, co zatarte. W części otwierającej zbiór „Stare fotografie” w sentymentalny sposób podmiot opowiada, często też gorzko i z bólem, ale też z rozrzwiniem, o matce, babce, ojcu, którzy już odeszli. Przypomina przedmioty zapamiętane z dzieciństwa, które przywieźli po drugiej wojnie dziadkowie i rodzice z Kresów i Grodna, przypomina ich sylwetki, słowa, czyny oraz w przejmująco opisuje śmierć rodziców.

*W ostatniej minucie
trzymałam cię za rękę

ty pytałeś – co teraz będzie

nie wiem
mamo
(„Twój świat”)*

O ojcu zaś, któremu poetka poświęciła kilka liryków, napisze, że *cały świat / zamykał się w tobie* („Portret z pamięci”) i *szukałam twoich śladów / świadków młodości* (***) gdy nie było...). To z ojcem autorka powróci w jego rodzinne strony w poszukiwaniu śladów jego dzieciństwa, o czym traktuje liryk (***) *zabrałeś mnie...*) i jemu towarzyszyć będzie aż do odejścia.

W cyklu „W drodze” Rozwadowska-Bar opisuje swoje liczne podróże i przemyslenia z nimi związane. Odwiedza Włochy, Francję, Holandię, Grecję i Bośnię, opisując zabytki, muzea, obrazy europejskich mistrzów pędzla, ale też zwykłych ludzi, np. sprzedawców – sardynek na Capri, owoców w Bośni czy pielgrzymów w drodze na górę Križevac nieopodal Medziugoria. A sielankę peregrynacji przerywa radiowy komunikat o wybuchu wojny na Ukrainie, który zakłóca odpoczynek przy kawiarnianym stoliku i wprowadza wewnętrzny niepokój. Ale nie opisywanie samych ekskursji po Europie jest istotne, ale życiowa filozofia poetki, dla której wojaże i wędrówki są istotnym sposobem na poznawanie świata i zarazem to, co w nich najbardziej urzeka, czyli... powroty. Dla autorki *Obudzonych wierszy* powroty właśnie stanowią ważny element licznych wypraw, by nie rzec sedno wyjazdów, bowiem po nich można znów cieszyć się rodzinnym miastem, domem i otoczeniem, na nowo można rozpamiętywać to, co się zobaczyło, przeżyło, doświadczyło. Stąd podmiot stwierdzi, że:

*oczy znów błąszczą światłem
napętniają pamięcią
(*** kefalońskie koty...)*

Podróże i powroty, niemal jak u mitycznego Odysa, pozwalają poznawać i podziwiać świat, zachwycać się jego pięknem, przyrodą i architekturą metropolii,

nurtują i zmuszają do głębszych przemyśleń i poszukiwań sensu ziemskiego trwania. A rodzinny dom, niczym Itaka, przynosi ukojenie i spokój, pozwala na odpoczynek i wychnienie, na retrospekcję, na beztroskie zagłębienie się w rozmyślania i rozpamiętywanie minionego. Dlatego w wierszu bez tytułu (***) *idę do ciebie...*) podmiot wyzna:

*idę do ciebie miasto tam gdzie mój dom
idę przez kartki książek ciągle ciepłe
oddechem poetów umarłych
i tych jeszcze żywych
którzy jak ja zagubieni błądzą pytają
i dziwią się że odpowiedź
to kolejny znak zapytania*

*róże pachną wszędzie tak samo
jak dotyk
sens życia człowieka*

Podmiot liryczny w utworach żarskiej poetki szuka i poznaje piękno w drobnych rzeczach, w zapachu róż, pomarańczy, macierzanki, leszczyny lub w smaku zielonych liści herbaty czy śliwek, które przypominają okres dzieciństwa, do którego z nostalgią chętnie powraca.

Ostatnia część tomu *Lubię powroty* najwięcej uwagi poświęca właśnie owym idyllicznym powrotom do domu, do ukochanego miasta, znajomych skwerów i ulic. To w wierszach tego cyklu uwidacznia się najlepiej istota i cel poetyckich wędrówek. Powie wprost: *to z ciekawości / biegam po ulicach świata*. Dlatego poetka wyjawi: *w podróży lubię powroty* albo *podróżując szukam prawdy*, które brzmi niczym autorskie credo. To właśnie w utworze bez tytułu (***) *w podróży lubię powroty...*) podmiot rozwinie myśl i dopowie:

w podróży lubię powroty

*zakurzone myśli
w zmęczonych walizkach
do domu zwożę*

Radość i otuchę przynoszą także małe rzeczy, wspomniane zapachy i smaki, ale też cisza i gwar, cień i światło, dotyk i muśnięcia, ciepło i pogodna aura pór roku, krajobrazy i spacer. Podmiot więc przechadza się ulicami i parkami swojego miasta, najchętniej jesienią i latem lub też rankiem i wieczorami. W wierszu bez tytułu (***) *krajobraz który noszę w sobie...*) podmiot wyzna:

*próbuję złapać
mijane obrazy*

*zamknąć w pamięci
oswoić nieznane*

*w krajobrazie który noszę w sobie
jest też moje dzieciństwo (...)*

*przypadkowe obrazy
ważne i nieważne historie
i czas zostawiony za sobą*

Podmiot liryczny autorki poprzedniego zbioru *Zapraszam do domu* był przede wszystkim domatorem. W najnowszej książce jest podobnie, znów najlepiej czuje się we własnym ognisku rodzinnym, dlatego wypowie znamienne słowa:

*a ja udomowiona
najbardziej mieszkam
w moim pokoju*

*między komputerem
a półką z książkami*

W postwoiu do zbioru wierszy Grażyny Rozwadowskiej-Bar, zatytułowanym *Długo ich szukałam*, dr Mirosława Szott słusznie zauważyła, że „w świecie bohaterki odbywają się równolegle dwie wyprawy: jedna prowadzi do dalekich miejsc, druga – to jej wewnętrzna peregrynacja. (...) Etap podróży i poszukiwań tego, co poza domem, przyniósł najistotniejsze odkrycie – że warto jest wrócić”. I tym właściwie sposobem powróciliśmy do punktu wyjścia – czyli odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak długo trwał poetycki zastój autorki. Odpowiedź znajdujemy w jej ostatnim, zamykającym tom utworze (***) *obudziłam wiersze...*, gdy szczerze powie:

*moje życie było niepełne
nie umiałam nazwać
radości ani smutku
nie rozumiałam łzy
ani kwiatów w wazonie*

*rozmowy prowadziłam
za pomocą ciszy
zapomniałam języka słów*

*przez ten czas
nic nie było
na swoim miejscu*

*jak dobrze że
obudziłam wiersze*

To dzięki poezji można nazwać to, co było tylko przeżute i zrozumieć to, co było niejasne lub zgoła niepewne. Wiersze pozwalają przetrwać nawet najdłużej trwający marazm i zapętnić językową pustkę. Pomagają ocaleć i tak stało się w przypadku długoletniego zamilczenia Grażyny Rozwadowskiej-Bar.

Nie ma w zbiorze *Obudziłam wiersze* zawrotnej metaforyki, wydumanych konceptów poetyckich, zawitej symboliki i abstraktów myślowych, nie ma też napuszonego słownictwa czy wirtuozerii językowej. Poetka nie sili się na takie chwytły, pisze prosto, od serca, tak, jak czuje i myśli, bez ubierania słów w barwny i elegancki kostium poetycki. Jej wiersze skomponowane są w przyzwoitej formie warsztatowej i opisowej, stąd recepcja ich nie jest trudna, acz zdarzają się świetne, wręcz urocze perleki liryczne w postaci: *najtrudniej zatrzymać człowieka / tak szybko znika; wyrzuta nagość samotnych drzew / porzuconych przez liście; kielszek czerwonego wina / nieśpiesznie kotysze myśli; o świcie czuć jak rośnie światło* oraz *twierdza uśpionego czasu*.

Najnowsze wiersze Grażyny Rozwadowskiej-Bar stanowią dojmującą z jednej i ujmującą z drugiej strony zwartą, logiczną poetykę emocji. Są to wiersze bardzo mądre, przemyślane i dojrzałe, poparte życiowym doświadczeniem i autentycznym przeżyciem. Wiersze bardzo osobiste, retrospektywne, często sentymentalne i nostalgiczne, a przy tym bardzo kobiece i ciepłe. „U żarskiej poetki kobiecość uwiadacznia się na pewno poprzez bliską relację z tekstem, brak jakiegoś kamuflażu, zdystansowania – wyjaśnia w postwowie wspomniana Mirosława Szott. – W końcu są to wiersze w dużym stopniu autobiograficzne”. I wiele w tych słowach prawdy, gdyż poezja przefiltrowana przez własne doznania jest do bólu szczerą, nad wyraz realną, niewymuszoną, żywą i naturalną, a przez to własną i oryginalną. Zbiór „przebudzonych wierszy” ozdabia i zarazem uzupełnia czarno-biała ikonografia żarskiego artysty plastyka i pedagoga Ryszarda Tomczaka, co sprawia, że edytor-sko i artystycznie prezentuje się on bardzo przyzwoicie i intrygująco.

Grażyna Rozwadowska-Bar, *Obudziłam wiersze*, opracowanie plastyczne Ryszard Tomczak, postwowie Mirosława Szott, Wyd. Pro Libris, Zielona Góra 2023, s. 52.

Dr ROBERT RUDIAK: poeta, prozaik, krytyk literacki, prezes Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze. Wydał 14 tomików wierszy i opowieści, 8 książek monograficznych i szkiców, współredaktor antologii i katalogów. Otrzymał dwukrotnie Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra (2007, 2019), Lubuską Nagrodę Literacką ZLP (2011), Zielonogórką Nagrodę Literacką „Winiarka” (2015) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2016) oraz Małego Eryka – Nagrodę SPAK (2019). Odznaczony medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej (2017).

WIERSZE

Łukasz Terlecki

Uwielbiam deszcz
 — wraz z nim skrapla się
 we mnie niebo.
 Czasem musi wpieryć sobie
 z kurzem, który osiadł na szklanym
 sercu.
 Później jednak sptywa, jak tza
 za tzą
 albo jak słowo za słowem
 — niosąc nowe...
 Uwielbiam deszcz,
 bo w nim jestem bez smugi
 cienia —
 czysta nadzieja
 uwielbiam deszcz
 jeszcze
 jeszcze...

tonę tobą
 zanurzony
 i tracę oddech
 chcę by uratował mnie
 Pan
 więc modłę się
 dławiając w grzechu
 słowa
 — Panie, ratuj! Ratuj...
 Odnowa

Cień wiatru przemknął
 w słowach
 o miłości i o marzeniach
 niedokończonych —
 Zafóna już nie ma...
 jest Goethe
 — są cierpienia
 Miłości nie brak...
 brak mi jest Twojego
 dotyku i ciepła

ŁUKASZ TERLECKI: pochodzi z Trzciana, obecnie mieszka w Niemczech. Licencjusz politologii na UZ. Poeta, autor *Krzywych myśli*. Wiersze pisuje od dwudziestu lat. Od 2020 roku udostępnia swoją twórczość w mediach społecznościowych. Inspiracje czerpie z życia: z obserwacji ludzi i natury.

POCZCIWI WIEJSCY WARIACI

Katarzyna Sztuba-Fraćkowiak

Niezwykła normalność ludzi nienormalnych to bardzo interesujący temat
Agatha Christie

Kiedy czytamy książki o Zakładzie dla Obłąkanych w Obrzycach koło Międzyrzecza, możemy się wiele dowiedzieć o otwarciu placówki w 1904 roku, o zabudowie pawilonowej, o numerach oddziałów dla chorych...

Czy wiemy jednak coś o przebywających tam pacjentach? Kim byli? Jak tam trafili? Nieco światła na to zagadnienie rzuca księga Okręgowego Posterunku Policji w Trzcielu (*Acta Specialia des Polizeidistrikttantes Tirschtiel/ Kuschten*), w której odnotowano wiele ciekawych przypadków wiejskich obłąkanych, trafiających po zawitych procedurach urzędowych do szpitala psychiatrycznego.

MARTA PAWLIK IDZIE DO SZPITALA

28 maja 1907 roku komisarz Okręgowego Posterunku Policji w Trzcielu Bürger skierował do landrata von Kleya w Międzyrzeczu pismo o umieszczenie ubogiej mieszkanki z jego okręgu w Zakładzie dla Obłąkanych w Obrzycach koło Międzyrzecza.

Sprawa dotyczyła młodej robotnicy Marty Pawlik, stanu wolnego, podopiecznej Stowarzyszenia Ubogich z Rybojadów (*Rybojadel*), u której pojawiły się problemy natury psychicznej (w domyśle chodzi o ślady niepoczytalności). Jej stan psychiczny znacznie pogorszył się w ciągu kilku ostatnich tygodni, dlatego konieczne było jej pilne przyjęcie do Prowincjonalnego Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach koło Międzyrzecza. Jednocześnie skrupulatny komisarz policji wnioskuje o zwrot kosztów leczenia Marty Pawlik we wspomnianym wyżej szpitalu z funduszy landratury i późniejsze odzyskanie ich przez powiat ze składek zdrowotnych od Starosty Krajowego w Poznaniu.

1 czerwca 1907 roku do komisarza z Trzciela przyszła ze Starostwa Krajowego w Poznaniu odpowiedź na pismo z 31 maja w sprawie przyjęcia do Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach wyżej wymienionej Marty Pawlik i rachunku za jej leczenie. Według starostwa za zaptacenie rachunku jest odpowiedzialne Stowarzyszenie Ubogich z Rybojadów (*Ortsarmenverbände Rybojadel*). Jednocześnie urzędnicy starostwa przypominają, że pacjentka do zakładu musi być dostarczona umyta, bez pasożytów i chorób zakaźnych (w myśl § 3 Regulaminu z 7 marca 1893 w *Amtsblatt* Nr. 20). Pacjentka jest zobowiązana również zabrać ze sobą przepisowe ubranie. Brakujące lub będące w złym stanie sztuki odzieży będą uzupełnione przez szpital, a koszty za wypożyczenie garderoby zostaną dodane do ustalonych kosztów opieki szpitalnej.

Jeśli chodzi o wypożyczenie brakujących części odzieży kobiecej, to w szpitalu pobierana jest za nie następująca kwota ryczałtowa:

spódnica – 8 Mk (marek),

żakiet – 4 Mk,

halka – 5 Mk,

para rajstop – 1 Mk 50 Pf,

para butów – 3 Mk,

fartuch – 60 Pf,

bluzka – 1 Mk 50 Pf,

chusteczka do nosa – 40 Pf.

Koszty opieki nad osobą przyjmowaną, które wynoszą 300 marek rocznie, od 1 kwietnia 1907 roku będą opłacane kwartalnie przez Zakład dla Obłąkanych w Obrzycach z mocą wsteczną i zgodnie z § 9 ust. 3 powyższego regulaminu będą zwracane do kasy instytucji z funduszy Starostwa Krajowego. W załączeniu urzędnicy starostwa przesyłają formularz skierowania pacjentki do placówki.

Jednak chyba nie wszystkie procedury przyjęcia pacjentki do szpitala zostały przez urzędników z Poznania dostatecznie wyjaśnione i w piśmie z 3 czerwca komisarz Bürger z Trzciela zwrócił się do landrata z Międzyrzecza von Kleya z zapytaniem o to, kto właściwie ma dostarczyć Martę Pawlik do szpitala. Landrat von Kley zalecił przewiezienie chorej psychicznie właśnie przez władze gminne (za co dostaną zwrot kosztów). W odpowiedzi komisarza Bürgera z Trzciela z 9 czerwca dowiadujemy się, że kobieta ostatecznie zostanie dostarczona do placówki przez sőtysa Rybojadów Brondkego.

I w końcu sukces: pismo przyjęcia młodej pacjentki do Obrzyc: „Protokół przyjęcia nr. 93/1907. Zaświadcza się, że chora psychicznie robotnica Marta Pawlik z Rybojadet dzisiaj przed południem o godzinie 11:15 została przyjęta do Prowincjonalnego Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach koło Międzyrzecza, 11 czerwca 1907 r. Podpisane: z upoważnienia Dyrektora, ordynator, dr J. Christoph”.

Zwichrowana psychicznie robotnica z Rybojadów Marta Pawlik właśnie zaczęła swoje leczenie we wzorcowej placówce Prowincji Poznańskiej.

WIELKA UCIECZKA WALENTYNA SZCZEPAŃSKIEGO

30 stycznia 1907 roku na Obwodowy Posterunek Policji w Trzcielcu zgłosił się aferaowany gospodarz Gotthilf Jänsch z Łęczna (*Lentschen*). Złożył obszerne zeznanie, że do jego gospodarstwa dnia poprzedniego, około godziny 4.00 po południu przybył nieznany mężczyzna i poprosił o nocleg. Zaskoczony Gotthilf oczywiście był przeciwny udzieleniu noclegu temu dziwnemu wędrowcowi. Najwidoczniej

nie wiedział, że czynkiem miłosiernym każdego chrześcijanina jest podróżnych w dom przyjmować. Przybysza nie zraziła jednak niegościńność gospodarza i nie dał się zbyć. Chcąc, nie chcąc, Gotthilf Jänsch przygotował mu postanie w zabudowaniach gospodarczych. Jednak ten obcy człowiek wydał mu się mocno podejrzany. Miał na sobie ubranie wyglądające na szpitalne, ponadto nie chciał gospodarzowi pokazać swoich dokumentów ani podać nazwiska i miejsca pochodzenia. Nawiasem mówiąc, wędrowiec trafił niezbyt szczęśliwie, gdyż łącznie (*Lentschen*) było osadą skolonizowaną przez osadników z Niemiec, podejrzliwie odnoszących się do obcych.

Według rysopisu podanego na posterunku policji przez gospodarza, przybysz znikąd był średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Miał od 45 do 50 lat. Jego włosy były szpakowate, podobnie, jak krótko przycięta bródka i wąsy. Gotthilfovi nie umknęło nawet to, że nosił żółte sznurowane buty. Po długim wieczornym dumaniu gospodarz z łączna doszedł do wniosku, że najwidoczniej chodzi tu o chorego psychicznie pacjenta z oddalonego o 33 kilometry Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach. Kiedy strudzony wędrowiec słodko jeszcze spał na sianie, gospodarz Gotthilf Jänsch wymknął się szybko o świcie i pojechał furmanką do Trzciela zameldować o tej dziwnej sprawie na posterunku.

Na komisariacie w Trzcielu wspólnie ze świadkiem policjanci ustalili, że mężczyzna nosił ciemnozieloną dzianinową czapkę z naszywką „P.I.A.O. 1906”, chodziło więc najwidoczniej o chorego psychicznie z Zakładu Obłąkanych w Obrzycach (skrót od pierwszych liter „Provinzial Irren Anstalt Obrwalde”).

Po telefonicznym powiadomieniu szpitala okazało się, że uciekinierem jest niejaki Walentyń Szczepański, któremu udało się zbiec z Obrzyc i dotrzeć aż do łączna. Jednak dzięki czujności niemieckiego gospodarza nadszedł kres jego swobody. Walentyńa schwytano i w eskorcie policji dostarczono na posterunek w Trzcielu. Tu został odebrany przez naczelnego pielęgniarza z Obrzyc, niejakiego Stachowiaka, o godzinie 5:30 po południu.

Dyrekcja Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach za swoją niefrasobliwość musiała uiścić koszty wynikłe ze schwytania i przewiezienia niedopilnowanego pacjenta. Skrupulatnie wyliczone przez posterunek policji opłaty wynosiły, co następuje:

- 3 marki za eskortę zbiega na Obwodowy Posterunek Policji w Trzcielu,
- 20 fenigów za telefoniczne powiadomienie przez policję Zakładu dla Obłąkanych w Obrzycach,
- 84 fenigi za eskortę policyjną pacjenta z Trzciela do Obrzyc,
- 1,96 marki dla dzielnego gospodarza Gotthilfa Jänscha z *Lentschen* za luksusowe przenocowanie pacjenta na sianie i szaleńczą jazdę o świcie z łączna do Trzciela w celu powiadomienia policji.

Wszystkie dokumenty z procedury zgłoszenia zostały skrupulatnie wypełnione przez policjanta z Trzciela, który swoimi bazgrołami mógłby iść w konkury z egipskimi hieroglifami, podpisane przez trzecielskiego komisarza Reinholda Bürgera, a Walentyn Szczepański po swojej ekstremalnej styczniowej eskapadzie szczęśliwie wrócił na oddział szpitalny.

Źródło: Acta Specialia des Polizei Distriktamtes Tirschtiegel/ Kuschten, Archiwum Państwowe w Zielonej Górze.

KATARZYNA SZTUBA-FRĄCKOWIAK: mieszka w Pszczewie. Jest historykiem, zajmującym się historią Szpitala Psychiatrycznego w Obrzycach w latach 1904-1945. Do jej zainteresowań należą również dzieje pszczewskiego Koła Związku Polaków w Niemczech w latach 1922-1945. Regularnie pisze artykuły naukowe do rocznika „Ziemia Międzyrzecka”. W 2021 roku wydała książkę o wybitnej chłopskiej działaczce ZPwN Walerii Misiewicz z Szarcza. Wiele lat była nauczycielką historii w szkole, a od 2022 roku jest pracownikiem naukowym Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego w Międzyrzeczu. Obecnie pisze książkę o Akcji T4 w Szpitalu Psychiatrycznym w Obrzycach. Należy do Towarzystwa Historycznego Ziemi Międzyrzeckiej.



Z MOJEGO PODWÓRKA O WSZYSTKIM I O NICZYM

Roman Habdas

Dla wielu z nas dopiero po latach mała ojczyzna nabiera wartości. Zazwyczaj wtedy, gdy roztropność skutkuje doborem dojrzałych przemyśleń i wyrażeń. W szczenięctwie tak łatwo o krytykę miejsca życiowego zacznym, dajmy na to: placu zabaw, kwartału czy osiedla. Takiej swoistej kuchni naszego... garowania i wyrastania. Fundamentalny jest również dla dobrego wypieku „placka czy babki” piekarnik rodzinnego domu. Dbłość rodziców o temperaturę wzrastania, by wypiek osobowości zakalcem nie trącił.

Mała ojczyzna to lokalność, jej granice obejmują dla jednych zaledwie dzielnicę, dla innych miasto z obszerną okolicą. Od 45 lat wrastam w gorzowskie osiedle Staszica. Ciągłe się ukorzeniam, choć niejeden owoc z małżonką światu daliśmy. Każdy z nich wiedzie już żywot w swojej lokalności i swojskości własnych rodzin. Ale jeden z owoców trąci... zakalcem starokawalerstwa. Nie zamierza wrócić do kraju, gdzie w matczynej kuchni ciągle zapach drożdżowego ciasta. Wrasta w wyspę nadmorskich klifów i wiecznie zielonych pastwisk, z niebem o niskim pułapie chmur i nadmiarem wiatru w oczy. Raz po raz pojawia się głodny stawiania kroków w miejscach niezapomnianych. Odkrywa wtedy niedostrzeżone wcześniej niuanse: dorodniejsze drzewo kasztanowca, tego od „pierwszoklasnych” ludzików, maskary z frontonów kamienic i detale ich bram. Może mieć to po mnie, bo kiedy wracam do dzieciństwa, do miasteczka pamiętającego zdarte kolana, wypatruję przy ulicy Garbarskiej, dawno temu już zaasfaltowanej, szlaki, a dalej, we wspomnienia idąc, wsiąkam w park wybryków okresu dojrzewania. Tamta Mała Ojczyzna, kiedy oddycham jej klimatem, odmtadza. W obecnej przybywa mi już tylko zmarszczek, ale to ona dodała skrzydeł i ciągle kształtuje. I drażni, aż do rwania resztek piór z głowy na widok odwiecznych dziur, choćby przy „górnjej Matejki”, Kottątaja czy Staffa.

Z kuchennego okna spoglądam na szkolne boisko, które po zapowiadany na zimę remoncie ma wybrzmieć nowością. Będzie wzorcowe dla odbijania, rzucania i kopania piłki. Wątpię jednak, by renowacja uwolniła nas, pobliskich mieszkańców, od wystuchiwania wulgaryzmów, jakie towarzyszą młodzikom i juniorom hasającym po sztucznej murawie? Dawno temu napisałem w jednym z wierszy, zadamowionym w tomiku pt. *Z gliny ulepieni: Bez obroży / bez kagańców / spuszczone ze smyczy / nasze dobrze ułożone dzieci / zaraz za progiem szczekają / przekleństwami [...]*. Dzisiaj dodałbym, że jeszcze wyją, bez względu na fazę księżycy, a trzask rozbijanych wieczorami, opodal boiska butelek, nazwałbym wątpliwym „folklorem”. O szlifowanych przeze mnie osiedlowych chodnikach i napotykanym ludziach układam nowe wersy. Wątków nie brakuje i nowego spojrzenia na... osierocone trzepaki.

Jeśli już w nurcie dostrzegania brodzą, to nie odpuszczę sobie wypłynięcia na wody, a jakże, Zalewu Bledzewskiego. *Prosto z Windsoru* zobowiązuje mnie do uszczknięcia z lokalności siedliska, miejsca mojego odpoczywania, gdzie zdrowe powietrze wdycham z sąsiadami i fauną wszelaką, florze darując dwutlenek. Zmierzam zatem w leśnistość przybrzeżną, komunikując, że nieznośne do niedawna, rozpanoszone tam szopy pracze wyemigrowały. Prawdopodobnie, według obserwatorów tych zwierząt, na wschód. Nie kumam jednak, dokąd wyniosły się ptazy, konkretnie żaby, które w okresach wiosenno-letnich rechowały stadnie. Co jest tego powodem? Czyżby wyraźny ubytek skupisk przybrzeżnej roślinności, głównie grzybienii, grąźeli i żabiścieku? Może zmniejszające się połacie trzcinowisk, w tym tzw. pływającej wyspy? Szukając naturalnych przynęt, zauważam brak larw chruścików i komarów. Dorosłych postaci pałatek i ważek. Z ryb, zalew zatracił liny, zubożony jest o płoć, okonie i szczupaki. Przybyło natomiast wszystkożernych sumów, którym sprzyja w rozrodzie stałe ocieplanie się klimatu. Kończąc owo „Z mojego podwórka...”, łamię się – nie zatamując jeszcze – opłatkami bożonarodzeniowych życzeń, by swojskość i lokalność pozostała potrzebą nie mniej ważną, niż tlen w powietrzu i zgoda w narodzie.



Foto: Roman Habdas

POSTCARDS FROM GORZÓW

Natalia Ślizowska

Marzyłam o kolekcji *Postcards from Gorzów*, odkąd zaczęłam tworzyć w Gorzowie, czyli od ośmiu lat. Jestem zakochana w różnorodności tego miasta. To tu kreuję swoje pomysły, które lubię eksplorować w różne ciekawe miejsca. I właśnie w tym roku nadszedł odpowiedni moment, by stworzyć pocztówki z Gorzowa i wysłać je w świat.

Ta kolekcja ubiorów unikatowych to najlepsze odbicie mojej estetyki – jest geometryczna. Niesie maksimum przekazu w minimalnej konstrukcji. Ubiory zawierają nadruki na tkaninach, które są fotografiami autorstwa Tomka Szulżyckiego. Kolorystyka jest taka, jak Gorzów, czyli nieprzesłodzona.

Projekt *Postcards from Gorzów* doprowadził do zrzeszenia wielu twórczych osób i stworzenia czegoś unikatowego! Został zrealizowany film z udziałem modeli i modelek ubranych w kolekcję w inspirujących miejscach. Jego autorem również jest Tomek Szulżycki, a występują w nim Maja Głós i Jagoda Szymczak oraz Szymon Wojtczak i Aleksander Knysz ze składu Landsberg Familia. Makijaże wykonała Edyta Kościów, a fryzury Katia Machmur. Dodatki do ubiorów to – oczywiście – dzieła Pana Kaletnika.

Nigdy nie zapominam o Gorzowie, bo Gorzów to nie tylko miasto! Gorzów to mój stan umysłu!



WYDARZYŁO SIĘ U HERBERTA

Gabriela Rodak

WYSTAWY



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Od 8 września do 10 listopada w Galerii pod Kopułą prezentowano wystawę pt. „Roman Piciński – malarstwo”. W trakcie wernisażu twórca, uczeń Akademii Jana Korcza w latach 70., oczarował publiczność techniką splatającą pociągnięcia pędzlem z pociągnięciami nitki, jako że elementami obrazów były materiały wszyte w płótno.

6 października otwarto wystawę dzieł wykonanych przez Włodzimierza Korsaka. W ten sposób upamiętniono 50. rocznicę jego śmierci. Ekspozycja składała się z ponad 100 prac z lat 1911-1972.

W filiach miejskich Książnicy prezentowano też m.in. malarstwo Katarzyny Sanoockiej-Tureczek, a do końca marca 2024 roku w Filii nr 14 można oglądać „Świat malowany kolorami i emocjami” Walerii Waskunowicz.

Ciekawą propozycją są również rysunki NeuroGraficzne grupy terapeutyczno-artystycznej SUPERNOVA Jolanty Kopki, które wystawione będą do końca marca 2024 roku w Filii nr 4.

SPOTKANIA AUTORSKIE

27 sierpnia Biblioteka gościła Aleksandrę Herzyk. Spotkanie moderowane przez Piotra Jakubowskiego przybliżyło widowni komiksową twórczość utalentowanej autorki, której debiutancka praca zdobyła uznanie w kraju.

18 września gorzowian odwiedził Piotr Gąsowski, aktor teatralny i filmowy, prowadzący telewizyjne programy rozrywkowe. Na spotkaniu zrealizowanym w ramach Dyskusyjnego Klubu Książki promował książkę *Co mi w życiu nie wyszło*.

21 września zorganizowano spotkanie autorskie Michała Książka, autora *Atlasu dziur i szczelin*. Reportażysta, podróżnik, kulturoznawca, inżynier leśnik i poeta rozmawiał na temat poezji i przyrody z dyrektorem Biblioteki Sławomirem Szwaldem. Dyskusję zwieńczył spacer przyrodniczy po parku Wiosny Ludów z autorem jako przewodnikiem.

25 września Biblioteka Herberta powitała Sylwię Chutnik – pisarkę, felietonistkę, krytyczkę literacką i propagatorkę czytelnictwa. Bohaterka spotkania jako aktywistka społeczna wyróżnia się walką

z wielopłaszczyznowymi problemami ptcy żeńskiej. Wraz z Agnieszką Kopaczyńską-Moskaluk konwersowały o kobietach, literaturze i wolności. Spotkanie odbyło się w ramach programu DKK.

9 października Biblioteka zaprosiła do swojej siedziby Wojciecha Rogacina – dziennikarza, redaktora naczelnego Agencji Informacyjnej Polska Press. Pisarz opowiadał o swojej książce – pierwszej w Polsce biografii Wołodymira Zełenskiego.

23 października do gorzowskiej Książnicy przybył Wojciech Tochman, znany reporter i pisarz, wielokrotny laureat nagród otrzymanych za swoją twórczość. Z moderatorką spotkania, Agnieszką Kopaczyńską-Moskaluk, rozmawiał o swoich dziełach, m.in. *Eli, Eli, Jakbyś kamień jadła*, *Dziś narysujemy śmierć* i najnowszej – wydanej w tym roku książce *Historia na śmierć i życie*.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

VARIA

Podczas 12. odsłony Narodowego Czytania (9 września) czytelnicy mogli wstuchać się we fragmenty lektury *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej w piknikowej i rodzinnej atmosferze. Czytali: prof. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, Waldemar Sadowski, Mirosława Winnicka, Czesław Ganda oraz dyrektor Biblioteki Sławomir Szenwald. Słowu towarzyszyła oprawa muzyczna w wykonaniu Dawida Gigoły.

15 i 22 września upłynęły pod znakiem spotkań literacko-muzycznych Café Wenecja. Pierwsze, prowadzone przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk i Ferdynanda Głodzika, odbyło się przy akompaniamencie Przemysława Kojtych-Kłysza. Drugie to wyjątkowy dla miasta benefis uznanego w środowisku artysty i literata Jerzego Gąsiorka.

27 września autorka gry mobilnej Klaudia Makasów zorganizowała niekonwencjonalną metodę zapoznania się z twórczością i biografią Zbigniewa Herberta. Młodzi uczestnicy poszukiwali w zaprzyjaźnionych z Biblioteką placówkach kody QR, które podawały zadania do wykonania. Całość zakończyła się quizem wiedzy o patronie naszej Książnicy.

7 października Biblioteka Herberta uczestniczyła w kultowej, ogólnopolskiej akcji – Nocy Bibliotek. Na uczestników czekało sporo atrakcji takich jak bookcrossing, karaoke, wygłaszanie przemówień czy prezentacja na temat filmów grozy. Rozrywkę zapewniono również młodszym czytelnikom – Oddział Dziecięcy przygotował grę terenową o tematyce popularnego serialu młodzieżowego *Stranger Things*.

11 października odbyły się Impresje Irenejskie – wieczór wspomnień o Irenie Zielińskiej. Wiersze i piosenki autorki (skomponowane przez Andrzeja Żaryckiego) w aranżacji Anny Marii Adamiak wprowadziły zebranych w melancholijny nastrój, a całość dopełniły rozmowy o zmarłej w kwietniu tego roku artystce prowadzone przez Barbarę Schroeder, Annę Marię Adamiak, Hannę Kaup i Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk. Wiersze czytał m.in. Roman Habdas.

Pora jesienna ma to do siebie, że gwarantuje czytelnikom gorzowskiej Biblioteki szczególną uroczystość – Gorzowską Herbertiadę. Tegoroczna, szósta edycja wydarzenia pt. „Doświadczenie amerykańskie w twórczości Herberta”, nie mogłaby się odbyć bez dofinansowania ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. 27 października pierwszą atrakcją były warsztaty dla młodzieży *Dolina Śmierci wieczną inspiracją*. Prowadzone przez nauczyciela Mariusza Mężyńskiego dały uczestnikom możliwość artystycznego i kreatywnego odniesienia się do wierszy Herberta. Wraz z godziną 17:00 oficjalna część obchodów zainicjowana została przez dyrektora Biblioteki Sławomira Szenwalda. Publiczność miała sposobność odstuchania głosu poety dzięki podcastowi Polskiego Radia pt. *Zbigniew Herbert: na pustyni należałoby założyć szkołę poetyczną*. Kolejnym punktem programu był wykład

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak pt. „Tropy amerykańskie w poezji Herberta”. Na zakończenie aktor Przemysław Tejkowski przedstawił monodram *Ostatnie Tango z Herbertem*.

NOWA MARCHIA

11 września w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” w Książnicy odbył się wykład „Puszcza Notecka – nie tylko DRZEWA” autorstwa Pawła Andersa – zastępczego krajoznawcy, regionalisty zachodniej Wielkopolski, autora wielu przewodników i map turystycznych.

16 października dr Katarzyna Zielińska gościła w gorzowskiej Książnicy z wykładem pod tytułem „Zbąszynek – dziecko granicy. Kilka słów o historii miasta w setną rocznicę założenia” w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”.

PEGAZ

28 września 2023 roku lubuskie środowisko literackie na spotkaniu moderowanym przez redaktorkę naczelną pisma Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk oraz jej zastępczynię Beatę Igielską zapoznano się z zawartością najnowszego wydania „Pegaza Lubuskiego”. W drugiej części inicjatywę przejął Jerzy Alski – na co dzień lekarz medycyny, literat, krytyk, publicysta i eseista. Spotkaniu autorskiemu towarzyszyły inspirujące dyskusje, przeplatane dykteryjkami, między pisarzem a moderatorkami rozmowy – Agnieszką Kopaczyńską-Moskaluk i Anną Dominiak.

KONFERENCJE

25 sierpnia w gmachu głównym Książnicy liczne grono organizatorów pod patronatem honorowym wojewody lubuskiego oraz patronatem medialnym „Przeglądu Tatarskiego” zaaranżowało konferencję naukową „Tatarzy na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski po 1945 r.” Oficjalna część odbyła się w patio, gdzie odstonięto tablicę pamiątkową. Jednocześnie wręczono odznakę honorową „Zasłużony dla Miasta Gorzowa Wielkopolskiego” dr. Aleksandrowi Miśkiewiczowi. Wystąpił Tatarski Zespół Dziecięco-Młodzieżowy Buńczuk. Po wygłoszeniu referatów (kolejno: prof. Selim Chazbijewicz, prof. Dariusz Rymar, dr Aleksander Miśkiewicz) goście zapoznali się z książką *Tatarzy na ziemiach zachodnich i północnych Polski po 1945 roku* zaprezentowaną przez Piotra Krzyżanowskiego oraz filmem dokumentalnym *Pomerania Ethnica – Tatarzy*.

29 września w Książnicy odbyła się konferencja naukowa „Ocalone, Utracone. Zbiory bibliotek publicznych ziem zachodnich i północnych Polski po II wojnie światowej”. Honorowy patronat objęła prof. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, rektor gorzowskiej AJP. Obrady otwarte przez dyrektora WiMBP Sławomira Szenwalda odnosiły się do tematu strat wojennych, konkretnie zbiorów bibliotecznych po 1945 roku. Jako pierwsza wypowiedziała się prof. Beata Orłowska, uprzedzając współczesne prawo międzynarodowe w kontekście ochrony dóbr kultury. Przedstawiciel Biblioteki Narodowej dr Jacek Kordel zademonstrował problematykę strat bibliotecznych w obliczu akcji II wojny światowej. Anita Romulewicz – delegowana z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie – omówiła losy księgozbiorów Olsztyna po 1945 roku. Podobną tematykę przywołał dr Grzegorz Urbanek z WiMBP w Gorzowie, zgłębiając losy księgozbiorów gorzowskich w latach 1945-1950. Agata Michalska oraz Przemysław Garlicki z Książnicy Pomorskiej opowiadali kolejno o przemieszczeniu i rozproszeniu księgozbioru dawnej Zbiorczej Biblioteki Kościelnej w Szczecinie oraz o problemach organizacji sieci bibliotecznej na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1950. Dr Agnieszka Magiera z Biblioteki Śląskiej w Katowicach odniosła się do dokumentów z lat 40. i 50. XX w. Dr Przemysław Bartkowiak z WiMBP w Zielonej Górze mówił o oczyszczaniu zielonogórskich księgozbiorów w latach 1948-1956. Jako ostatnia przemawiała Natalia Zhmurkova z gorzowskiej Książnicy, przedstawiając efekty zniszczeń poczynionych przez wojska rosyjskie w trakcie inwazji na Ukrainie w latach 2022-2023.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

26 października młodzież z IV LO uczestniczyła w wykładzie prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak pt. „Tropy amerykańskie w poezji Herberta”. Tematem wystąpienia był pobyt Zbigniewa Herberta w Stanach Zjednoczonych oraz wpływ tej wyprawy na poezję twórcy. Spotkanie odbyło się w ramach programu „Ameryka w twojej bibliotece” finansowanego ze środków Departamentu Stanu USA.

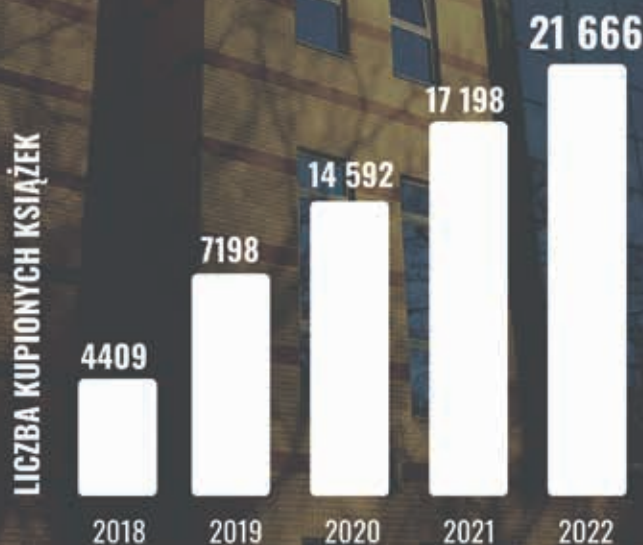
OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: SWOJSKOŚĆ	1
WIERSZ NA OTWARCIE	
Janina Jurgowiak: MIESZKAMY SOBIE BYLE GDZIE	2
TEMAT NUMERU: SWOJSKOŚĆ	
Konrad Pruszyński: TEATR MOSTÓW, CZYLI #JESTEMSTĄD	3
MŁODZI PISZĄ	
Julia Kruszakin, WIERSZE: język domem bycia	7
Z PAMIĘCI	
Ryszard Jasiński: MŁYNY MEŁŁY, MEŁŁY	8
#WIERSZEDOSUSZENIAWŁOSÓW	
Agnieszka Moroz, WIERSZE:	10
***[„Kiedy włączam suszarkę..”]	10
***[„Jeśli byłam niemita to przepraszam...”],	10
***[„Co rano wypracowuję w sobie męską gruboskórność..”]	11
***[„Syrena z lustra powiedziała mi...”]	11
PRZED PREMIERĄ	
Maciej J. Dudziak: TRANSLANDIA, CZYLI ODER/ ODER	12
POEMAT	
Joanna Ziemińska-Kurek, PRÓBA UPORZĄDKOWANIA: Pestka	19
OPOWIADANIE	
Hanna Kaup: CODZIENNOŚĆ	21
POEZJA	
Jerzy Hajduga: JESIEŃ W LATACH, MAM BOSKIEGO TRENERA	32
URYWKI	
Olga Smolec-Kmoch: ROZMOWY PODSŁUCHANE	33
POEZJA	
Kalina Moskaluk: CZERWIEC	36
OPOWIADANIE	
Jerzy Alski: SPACER	37
POEZJA	
Tomasz Korbanek: REFLEKSY I REFLEKSJE	56
OPOWIADANIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: NARODZINY	57
POEZJA	
Aneta Długotęcka: WIERSZE	59
ciężko	59
wieczorem	60
OPOWIADANIE	
Janina Jurgowiak: SWOJSKIM SPOSOBEM	61
HUMORESKA	
Ferdynand Głodzik: TORBA	63
PATRONAT PEGAZA LUBUSKIEGO	
Danuta Szulczyńska-Miłośz: ERATOSFERA (FRAGMENTY)	66
POEZJA	
Lucyna Miosga WIERSZE:	72
Wiosna w mojej głowie	72
W Twoich oczach	72

OPOWIADANIE	
Hanna Bilińska-Stecyszyn: POWRÓT	73
POEZJA	
Zbigniew Witostawski: VILANELLA O WRÓBLACH NA DACHU	87
Z POŁUDNIA	
Czesław Sobkowiak: TAKIE OSOBISTE ŻYCIE	88
POEZJA	
Z. Marek Piechocki: WSZYSTKO, CO SIĘ STAŁO	91
WSPOMNIENIE	
Agnieszka Moskaluk: RÓŻOWE STOPY IRENEJKI	95
O WŁODZIMIERZU KORSAKU	
Helena Dobaczewska-Skonieczka: SZUKAŁ PIĘKNA W PRZYRODZIE	97
PAJĘCZYNA MYŚLI	101
JESIENNY DYWAN	102
CO LAS CI POWIEDZIAŁ	102
OKAMGNIE NIE	103
ŚWIATŁO	103
O MARIII PRZYBYŁAK	
Roman Habdas: WIĘCEJ NIE ZNACZY CIEKAWIEJ	104
W 106. ROCZNICĘ URODZIN	
Mirostawa Szott: IRENA DOWGIELEWICZ - IN MEMORIAM	106
SZKIC O RYSZARDZIE KRYNICKIM	
Katarzyna Taborska: POGRANICZA, CZYLI MIEJSCA WRAŻLIWE W TWÓRCZOŚCI RYSZARDA KRYNICKIEGO	108
MINIATURY POETYCKIE	
Maria Fraszewska: MURKI	112
***[„kazał mi...”]	112
***[„pytasz jak długo...”]	112
***[„Dokąd podążasz...”]	112
***[„grabarze...”]	112
***[„księżyc owoc wieczoru...”]	112
RECENZJA	
Beata Igielska: NIE JEST ŁATWO UWIĆ GNIAZDO	113
Danuta Szulczyńska-Miłosz: OD SWOJSKOŚCI DO WOLNOŚCI. MAGDZIE TURSKIEJ RAZ JESZCZE	115
Robert Rudiak: PRZEBUDZENIE POEZJI PO DŁUGOLETNIJ DRZEMCE	117
POEZJA	
Łukasz Terlecki: WIERSZE	122
***[„Uwielbiam deszcz...”]	122
***[„tonę tobą...”]	122
***[„Cień wiatru przemknął...”]	122
HISTORIA	
Katarzyna Sztuba-Frąckowiak: POCZCIWI WIEJSCY WARIACI	123
PROSTO Z WINDSORU	
Roman Habdas: Z MOJEGO PODWÓRKA O WSZYSTKIM I O NICZYM	127
SZTUKA	
Natalia Ślizowska: POSTCARDS FROM GORZÓW	129
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: WYDARZYŁO SIĘ U HERBERTA	130

NOWOŚCI WYDAWNICZE W BIBLIOTECE HERBERTA

PONAD 60 TYSIĘCY NOWYCH KSIĄŻEK W LATACH 2018-2022

W 2022 ROKU POZYSKALIŚMY
21 666 NOWOŚCI WYDAWNICZYCH!





PADOK PEGAZA

warsztaty literackie
Związku Literatów Polskich
oddział w Gorzowie

5 STYCZNIA 2024

17:00

WIMBP W GORZOWIE
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8

Nie wiesz, jak przełać swoje pomysły na papier?
Wymyślasz historie, ale brak ci pewności, że uda się z nich stworzyć formę literacką?
Piszesz wiersze, opowiadania, powieści, ale zależy ci na tym, by rozwijać warsztat i tworzyć coraz lepiej?
Zabierz swoje teksty!
Przygotuj pytania do prowadzącego i przyjdź na otwarte bezpłatne warsztaty!
ZAPRASZAMY!